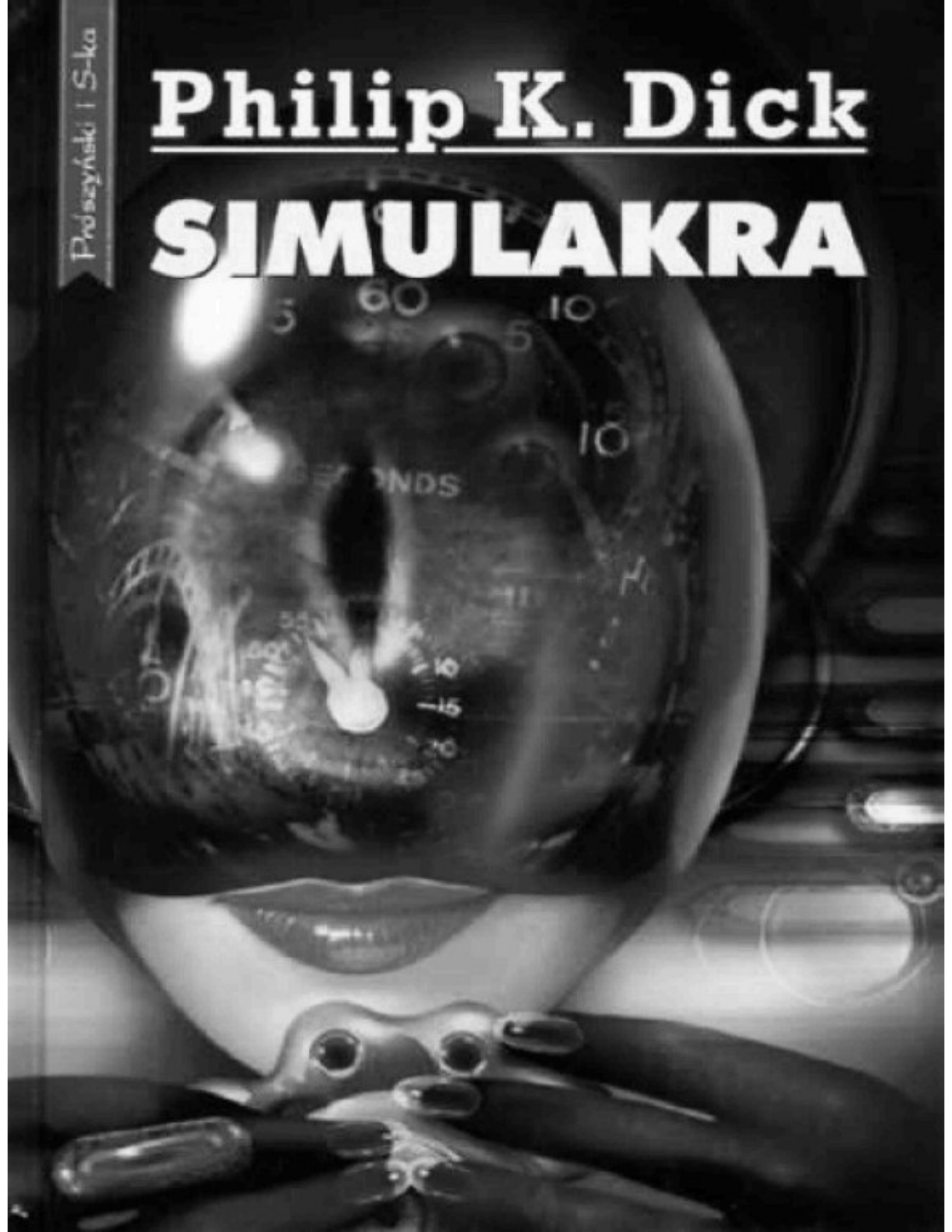


Prószczyński i S-ka

Philip K. Dick

SIMULAKRA



DICK PHILIP K.

Simulakra

(przełożył Jarosław Józwiak)

PHILIP K DICK

I

Notatka biurowa pozostawiona w Electronic Musical Enterprise przestraszyła Nata Fliegera, choć właściwie nie wiedział czemu. Mówiła przecież o nadarzającej się wielkiej okazji. Sławny radziecki pianista, Richard Kongrosian, psychokinetyk, który grywał Brahmsa i Schumanna nie dotykając palcami klawiatury, został wytropiony w swojej letniej rezydencji w Jenner, w Kalifornii. Szczęśliwie zgodził się odbyć kilka sesji nagraniowych dla EME. A mimo to...

Flieger pomyślał, że być może, czuje strach przed tymi ciemnymi, wilgotnymi lasami rozciągającymi się w odległych północnych regionach wybrzeża Kalifornii; zdecydowanie wolał jednak suche południe wokół Tijuany, gdzie EME posiadała swoją główną siedzibę. Według notatki Kongrosian nie chciał opuszczać letniej rezydencji; był właściwie na emeryturze, do której zmusiła go prawdopodobnie sytuacja rodzinna; plotki głosiły, że miało to coś wspólnego z tragedią z udziałem jego żony lub dziecka. Jak wynikało z notatki, tragedia wydarzyła się wiele lat temu.

Była dziewiąta rano. Nat Flieger w zamyśleniu nalał wodę do filiżanki i nakarmił żywą protoplazmę zintegrowaną z systemem nagrań Ampek F-a2; ta ganimedańska forma życia nie odczuwała bólu i nigdy nie sprzeciwiała się wykorzystywaniu jej jako części systemu elektronicznego. Z neurologicznego punktu widzenia była raczej prymitywna, jeśli jednak chodziło o zapis dźwięku, okazywała się niezastąpiona.

Woda przesączała się przez membrany ampeka F-a2, po czym weń wsiąkała; obwody żywego systemu pulsowały. Mógłbym zabrać go ze sobą, pomyślał Flieger. System był przenośny, a Nat wolał jego parametry od bardziej nowoczesnych i wyszukanych rozwiązań. Nacisnął "delicado" i podszedł do okna w swoim biurze, by przełączyć kotary na odbiór; zamrugał, bo oślepiło go ciepłe meksykańskie słońce. F-a2 zaczął wykazywać wzmożoną aktywność, po czym, wykorzystując światło i wodę, zainicjował procesy metaboliczne. Flieger odruchowo przyglądał się jego pracy, myślami jednak nadal był przy notatce.

Podniósł ją jeszcze raz, ścisnął, a ona natychmiast jęknęła: "...stawia to naszą firmę przed wielkim wyzwaniem, Nat. Wprawdzie Kongrosian odrzuca propozycje występów publicznych, ale dzięki kontraktowi uzyskanemu przez naszego partnera w Berlinie, firmę Art-Cor, mamy prawo zmusić go do nagrań dla nas... jeśli tylko uda nam się utrzymać go wystarczająco długo w pozycji stojącej. I co ty na to wszystko, Nat?".

–Taaak – odparł Nat Flieger przeciągle, odpowiadając głosowi Leo Dondoldo.

Dlaczego sławny pianista radziecki kupił dom w północnej Kalifornii? Już to samo w

sobie było dziwne i wywołało pomruk niezadowolenia ze strony rządu centralnego w Warszawie. A skoro Kongrosian nauczył się lekceważyć ukazy najwyższej władzy komunistycznej, można się było spodziewać, iż bez trudu uchyli się od nagrań dla EME; sześćdziesięcioletni Kongrosian był profesjonalistą, jeśli chodziło o ignorowanie aktów prawnych dotyczących współczesnego życia społecznego – i w krajach komunistycznych, i w SZEA. Jak wielu artystów, Kongrosian chadzał własnymi ścieżkami, które wiły się gdzieś między dwiema wszechpotężnymi formacjami ustrojowymi.

Aby wyrzeć na niego odpowiedni nacisk, należało posłużyć się pewną dozą przebiegłości. Publiczność ma krótką pamięć, należało jej więc z całą stanowczością przypomnieć o obecności Kongrosiana oraz o jego muzyczno-psionicznych talentach. Lecz dział reklamy EME mógł się z tym uporać bez problemu. Zdołali sprzedać tylu nieznanym, a Kongrosian, mimo chwilowego zapomnienia, był już przecież u szczytu popularności. Ciekawe jednak, jak też poczyną sobie dzisiaj, pomyślał Nat Flieger.

Notatka starała się przekonać go także co do tego: "...wszyscy wiedzą, że do niedawna Kongrosian grywał na prywatnych spotkaniach", oświadczył głos. "Dla grubych szych w Polsce, na Kubie i przed puertorykańską śmietanką w Nowym Jorku. Rok temu, w Birmingham, wystąpił przed pięćdziesięcioma czarnoskórymi milionerami na koncercie dobroczynnym. Zebrane fundusze poszły na rzecz afromuzułmańskiej kolonizacji typu księżycowego. Rozmawiałem z paroma współczesnymi kompozytorami, którzy brali w tym udział; przysięgali, że Kongrosian nie stracił ani odrobiny swojego kunsztu. Zastanówmy się... to było w 2040. Miał wtedy pięćdziesiąt dwa lata. Poza tym przychodzi zawsze do Białego Domu, gra dla Nicole i dla tego zera der Alte".

Powinniśmy zabrać F-a2 do Jenner i nagrać go na taśmę tlenkową, zdecydował Nat Flieger. To może być przecież nasza ostatnia szansa. Osobnicy tacy jak Kongrosian, u których psi występuje w połączeniu ze zdolnościami artystycznymi, zazwyczaj wcześniej umierają.

Odpowiedział na notatkę.

–Zajmę się tym, panie Dondoldo. Polecę do Jenner i spróbuję z nim osobiście ponegocjować.

"Fiuuu...", zachwyciła się notatka. Nat Flieger jej współczuł.

Brzęcząca, natarczywa i ohydnie wytrwała maszyna reporterska spytała:

–Czy to prawda, doktorze Egonie Superb, że zamierza pan wejść dziś do swojego biura?

Ktoś powinien wreszcie wymyślić jakiś sposób na pozbycie się z domu maszyn reporterskich, pomyślał doktor Superb. Na razie jednak takiego sposobu nie było.

–Tak. Kiedy tylko skończę śniadanie, które akurat jem, zasiądę za kierownicą, pojadę do San Francisco, zaparkuję i pójdę do swojego biura przy Post Street, gdzie jak zwykle rozpocznę sesję psychoterapii z moim pierwszym pacjentem. Nic mnie nie obchodzi prawo ani cała tak zwana ustawa McPhearsona – odparł, po czym napił się kawy.

–I ma pan poparcie...

–MSPP całkowicie popiera moje działania – potwierdził doktor Superb. Właściwie rozmawiał z zarządem Międzynarodowego Stowarzyszenia Praktykujących Psychoanalityków dopiero dziesięć minut temu. – Nie wiem, dlaczego wybrałaś właśnie mnie do wywiadu. Każdy członek MSPP przyjdzie dzisiejszego ranka do swojego biura. – A było ich dziesięć tysięcy, rozsianych po całych SZEA, zarówno w Ameryce Północnej, jak i Europie.

Maszyna reporterska spytała po cichu:

–Jak panu się wydaje, kto jest odpowiedzialny za uchwalenie ustawy McPhearsona oraz zamiar der Alte jak najszybszego jej podpisania?

–Dobrze wiesz – machnął ręką doktor Superb – równie dobrze jak ja. Nie armia i nie Nicole, ani nawet nie PP, lecz wielka firma farmaceutyczna, kartel A.G. Chemie z Berlina. – Każdy to wiedział, nie była to żadna nowość. Wszechmocny kartel niemiecki, który sprzedał światu ideę leczenia chorób umysłowych środkami farmaceutycznymi. Mogli na rym zarobić fortunę. Ów kartel sprawił, że psychoanalitycy zostali uznani za znachorów, podobnie zresztą jak uzdrawiacze zdrową żywnością i energią orgonalną. Nie było już tak jak w dawnych czasach, w ubiegłym wieku, kiedy to psychoanalitycy cieszyli się wysoką pozycją społeczną. Doktor Superb westchnął.

–Czy cierpi pan z tego powodu – ciągnęła maszyna, drażąc temat – że musi pan porzucić swój zawód z przyczyn od pana niezależnych? Hmm?

–Powiedz swojej publiczności – wycedził powoli doktor Superb – że zamierzamy walczyć o swoje, nawet wbrew prawu. My także potrafimy pomagać pacjentom, podobnie jak terapia farmakologiczna. Szczególnie jeśli chodzi o zaburzenia charakterologiczne, kiedy znaczenie ma właściwie całe życie pacjenta. – Zauważył teraz, że maszyna redaktorska reprezentuje jedna z wielkich stacji telewizyjnych. Relację oglądała prawdopodobnie około pięćdziesięciomilionowa publiczność. Doktor Superb poczuł nagle, że język staje mu kołkiem.

Po śniadaniu, kiedy szedł do samochodu, spotkał czekającą już na niego drugą

maszynę redaktorską.

–Panie i panowie, oto ostatni z wiedeńskiej szkoły analityków. Jest to, być może, jedyny znany psychoanalityk, doktor Superb. Czy powie nam pan parę słów, doktorze? – Maszyna podjechała, zastępując mu drogę. – Co pan czuje?

Doktor Superb odparł:

–Czuję się beznadziejnie. Proszę zejść mi z drogi.

–Idąc po raz ostatni do swojego biura – ciągnęła maszyna, kiedy starał się jej uciec – doktor Superb wygląda jak człowiek skazany, a jednocześnie dumny z tego, że zgodnie ze swoim przekonaniem wykonał to, co do niego należało. Lecz czas zrobił swoje i wyprzedził doktora Superba... i tylko przyszłość pokaże, czy dobrze się stało. Podobnie rzecz się miała z praktyką upuszczania krwi; psychoanalitycy świetnie prosperowali, po czym poszli w zapomnienie i teraz ich miejsce zajęła nowa terapia.

Po wejściu do samochodu doktor Superb włączył układ jezdny i jechał właśnie autobahnem w kierunku San Francisco; nadal czuł się beznadziejnie i oczekiwał tego, co – jak wiedział – było nieuniknione: spotkania z policją, które miało nastąpić za chwilę.

Nie był już młodzieniaszkiem. Zdążył obrosnąć tłuszczkiem. Sięgał wieku średniego i był na to wszystko po prostu za stary. Miał łysinę, którą lustro w łazience ujawniało bezwstydnie każdego ranka. Pięć lat wcześniej rozwiódł się z trzecią żoną, Livią, i więcej się nie ożenił. Kariera była całym jego życiem, zastępowała mu rodzinę. Więc co teraz? Nie było żadnych wątpliwości, że tak jak powiedziała maszyna reporterska, szedł dziś do biura po raz ostami. Pięćdziesiąt milionów ludzi w Ameryce Północnej i Europie miało się temu przyglądać, ale czy mogło mu to zapewnić nową posadę? Nowy, transcendentalny cel życia, który miał zastąpić poprzedni? Nie, na pewno nie.

Aby podnieść się na duchu, sięgnął po słuchawkę samochodowego telefonu i wybrał numer modlitwy.

Kiedy zaparkował przy Post Street, znalazł tam sporą grupę gapiów, kilka maszyn reporterskich i paru policjantów w niebieskich mundurach.

–...dobry – rzucił im doktor Superb, wchodząc po schodach z kluczem w dłoni.

Tłum rozstąpił się przed nim. Superb otworzył drzwi i pchnął je, pozwalając, by światło poranka zalało długi korytarz upiększony reprodukcjami Paula Klee i Kandinsky'ego. Razem z doktorem Bucklemanem zawiesił je siedem lat temu; wspólnie dekorowali wtedy ten dość stary budynek.

Jedna z maszyn reporterskich poinformowała widzów:

–Wszystko zdecyduje się, kiedy nadejdzie pierwszy pacjent doktora Superba.

Policjanci czekali w milczeniu.

Zatrzymując się w korytarzu przed wejściem do biura, doktor Superb odwrócił się i rzekł do wszystkich:

–Ładny dzień. W każdym razie jak na październik.

Starał się wydusić z siebie coś jeszcze, jakąś heroiczną sentencję, która odpowiadałaby jego szlachetnym uczuciom i sytuacji. Nie mógł jednak nic wymyślić. Być może, pomyślał, po prostu nie ma w tym nic szlachetnego. Robił to co zawsze, przez pięć dni w tygodniu od wielu lat i uczynienie tego jeszcze raz nie wymagało żadnej odwagi. Oczywiście zapłaci za swój ośli upór aresztowaniem. Jego umysł to wiedział, lecz ciało, jego niższy układ nerwowy, nie. Odruchowo kontynuował swoją drogę.

Ktoś z tłumu krzyknął – jakaś kobieta:

–Jesteśmy z panem, doktorze! Powodzenia!

Parę innych osób uśmiechnęło się do niego i wyraz nieśmiałej zachęty przebiegł przez tłum. Policjanci wyglądali na znudzonych. Doktor Superb zamknął drzwi i poszedł dalej.

Siedząca w pierwszym pokoju za biurkiem sekretarka, Amanda Conners, podniosła głowę i rzekła:

–Dzień dobry, doktorze.

Jej jasnorude, związane wstążką włosy lśniły, a zza dekoltu krótkiego moherowego swetra wylaniały się boskie piersi.

–...dobry – odparł doktor Superb, z przyjemnością widząc ją tego dnia, i to w dodatku w tak miłym nastroju. Podał jej płaszcz, który powiesiła w szafie. – Hmm... kto jest pierwszym pacjentem? – spytał, zapalając łagodne florydzkie cygaro.

Po sprawdzeniu w zeszycie Amanda odpowiedziała:

–Pan Rugge, doktorze. O dziewiątej. Ma pan jeszcze czas na filiżankę kawy. Przygotuję panu. – Szybko ruszyła w kierunku ekspresu stojącego w kącie pokoju.

–Wie pani, co się tu będzie działo za chwilę, prawda? – upewnił się Superb.

–Och, tak. Ale MSPP zapłaci kaucję, prawda? – Przyniosła mu mały papierowy kubek i podała trzęsącymi się palcami.

–Obawiam się, że oznacza to koniec pani pracy.

–Tak – przyznała Mandy; nie uśmiechała się już. Jej duże oczy pociemniały. – Nie rozumiem, dlaczego der Alte nie zawetował tej ustawy. Nicole była jej przeciwna i do ostatniej chwili oczekiwałam, że zgłosi weto. Mój Boże, rząd ma przecież ten sprzęt do podróżowania w czasie. Mogą przenieść się w przyszłość i zobaczyć, ile zła w ten sposób wyrządzą i jak zbiednieje nasze społeczeństwo.

–Może już sprawdzili. – Pomyślał, że społeczeństwo od tego pewnie nie zbiednieje.

Drzwi do biura się otworzyły. Stał w nich pierwszy tego dnia pacjent, Gordon Rugge, blady ze zdenerwowania.

–Ach, przyszedł pan – stwierdził doktor Superb. Prawdę mówiąc, Rugge przyszedł za wcześnie.

–To dranie! – rzucił Rugge. Był wysokim, dobrze ubranym szczupłym mężczyzną około trzydziestki. Z zawodu broker, pracował przy Montgomery Street.

Za Rugge'em pojawiło się dwóch policjantów w mundurach. Ich wzrok zatrzymał się na doktorze. Maszyny reporterskie wyciągnęły żurawie szyje rejestratorów, łapczywie wchłaniając obrazy i dźwięki. Przez pewien czas nikt nie ruszał się ani nic nie mówił.

–Wejdźmy do mojego gabinetu – rzekł doktor Superb do Rugge'a – i zacznijmy od tego, na czym skończyliśmy w ubiegły piątek.

–Jest pan aresztowany – powiedział natychmiast jeden z policjantów. Podeszedł i podał doktorowi złożone pismo. – Proszę z nami. – Wziął Superba za ramię i zaczął prowadzić go do drzwi. Drugi policjant też stanął u boku Superba, aby mogli go trzymać między sobą. Wszystko rozgrywało się spokojnie, bez zamieszania.

Superb zwrócił się do Rugge'a:

–Przykro mi, Gordon, niestety nie mogę nic zrobić w sprawie kontynuowania twojej terapii.

–Te skurczybyki chcą, żebym brał jakieś prochy – odparł Rugge gorzko. – Wiedzą, że po pigułkach robi mi się niedobrze, one mi szkodzą.

–Ciekawe, jak dużą lojalność wykazują pacjenci analityków – mruknęła jedna z maszyn reporterskich do swojej publiczności. – Ale właściwie czemu nie mieliby być lojalni? Pewnie już od wielu lat ufali wyłącznie swojemu psychoanalitykowi.

–Od sześciu lat – sprecyzował Rugge. – I jeśli będzie trzeba, mogę chodzić do niego

przez kolejne sześć.

Amanda Conners zaczęła cichutko łkać w chusteczkę. Kiedy doktora Superba, eskortowanego przez dwóch mundurowych, odprowadzano do oczekującego samochodu patrolowego, tłum jeszcze raz nieśmiało zaszemrał, okazując mu poparcie. Superb dostrzegł jednak, że większość z nich stanowili ludzie starsi. Wspomnienie dawnych czasów, kiedy psychoanalicycy byli szanowani. Byli, podobnie jak on, częścią zupełnie innej epoki. Superb wolałby zobaczyć wśród nich paru młodzieńców, ale z przykrością stwierdził, że ich tam nie ma.

Na posterunku mężczyzna z pociągnął twarzą, w ciężkim palcie, palący robione ręcznie filipińskie cygaro Bela King, spojrzął przez okno płaskimi, zimnymi oczyma, sprawdził godzinę na zegarku i w zdenerwowaniu przeszedł przez pokój.

Właśnie gasił cygaro i przygotowywał się do zapalenia następnego, kiedy zauważył samochód patrolowy. Natychmiast pospieszył na zewnątrz, na platformę załadowniczą, gdzie policjanci przygotowywali się do przyjęcia przywiezionego osobnika.

–Doktorze – zaczął. – Nazywam się Wilder Pembroke. Chciałbym z panem porozmawiać. – Skinął w kierunku policjantów, którzy odeszli, pozostawiając Superba bez obstawy. – Proszę do środka. Chwilowo zająłem pokój na drugim piętrze.

–Nie jest pan policjantem – zauważył Superb, przyglądając mu się uważnie. – Może jest pan PP? – spojrzął na niego z przestraszeniem. – Tak, pewnie tak.

–Proszę po prostu traktować mnie jako stronę zainteresowaną... – rzekł Pembroke, kiedy szli do windy. Zniżył głos, gdy mijali grupę policjantów. – Zainteresowaną sprowadzeniem pana znowu do biura i tym, aby znów zaczął pan leczyć pacjentów.

–Mógłby pan to zrobić?

–Tak mi się wydaje. – Winda przyjechała i weszli do środka. – Zajmie nam to godzinę albo coś koło tego. Proszę być cierpliwy. – Pembroke zapalił nowe cygaro, nie częstując doktora.

–Czy mogę spytać, jakiej agencji jest pan pracownikiem?

–Powiedziałem panu. – Pembroke zaczął się irytować. – Niech mnie pan po prostu uważa za stronę zainteresowaną. Nie rozumie pan? – Spojrzął na Superba i żaden z nich nie odezwał się więcej, dopóki nie dojechali do drugiego piętra. – Przepraszam, jeśli byłem niemili – zreflektował się Pembroke, kiedy szli korytarzem. – Jestem bardzo zdenerwowany aresztowaniem pana. Nie daje mi to spokoju. – Otworzył drzwi, a Superb ostrożnie wszedł do pokoju 209. – Oczywiście dosyć łatwo się denerwuję. Na tym polega moja praca, mniej więcej. Tak jak pana pracą jest nie

pozwalać sobie angażować się emocjonalnie. – Uśmiechnął się, lecz Superb nie odwzajemnił uśmiechu. Jest zbyt spięty, zauważył Pembroke. Reakcja Superba zgadzała się z profilem zawartym w dossier.

Usiedli naprzeciw siebie w ciszy, patrząc sobie w twarz.

–Wkrótce przyjdzie do pana pewien człowiek – zaczął Pembroke. – Będzie pana pacjentem. Rozumie pan? Chcemy więc, żeby pan przyjmował. Chcemy, by pańskie biuro i gabinet działały, by mógł go pan przyjąć i leczyć.

Doktor Superb z kamiennym wyrazem twarzy skinął głową.

–Rozumiem.

–Inni, pozostali pacjenci, których będzie pan przyjmował, nas nie obchodzą. Może im się pogorszyć, polepszyć, mogą zapłacić panu fortunę, może pan spać na czekach, nieważne. Chodzi nam tylko o tego człowieka.

–A po tym, jak go wyleczę – zaciekawiał się Superb – zamkniecie mnie? Jak pozostałych psychoanalitików?

–Porozmawiamy o tym później. Nie ma teraz na to czasu.

–Kim jest ten człowiek?

–Nie powiem panu – odparł Pembroke.

–Domyślam się – rzekł po chwili Superb – że użyliście maszyny Lessingera do podróżowania w czasie, by przekonać się o rezultatach mojej terapii.

–Tak – przyznał Pembroke.

–Więc nie macie wątpliwości, że go wyleczę.

–Wprost przeciwnie – przerwał mu Pembroke. – Nie będzie pan w stanie mu pomóc. I dlatego właśnie chcemy, żeby pan tam był. Gdyby był leczony farmakologicznie, odzyskałby równowagę psychiczną. A my chcemy koniecznie, żeby był nadal chory. Widzi więc pan, doktorze, potrzebujemy dalszego istnienia profesjonalnego konowała, praktykującego psychoanalitika. – Pembroke spokojnie zapalił cygaro, które już zdążyło zgasnąć. – Tak więc instrukcje dla pana są takie: niech pan nie odprawia z kwitkiem żadnych nowych pacjentów. Rozumie pan? Niezależnie od tego czy będą szaleni albo raczej czy będą ewidentnie zdrowi. – Uśmiechnął się. Zdenerwowanie doktora go rozbawiło.

Mimo późnej pory światła w wielkim komunalnym budynku mieszkaniowym zwanym Abraham Lincoln świeciły się nadal, gdyż była to noc zaduszna. Wszystkich sześciuset mieszkańców poproszonych zostało przez członków rady o przyjscie do podziemnej sali komunalnej. Mężczyźni, kobiety i dzieci tłoczyli się w kolejce, a stojący przy drzwiach Vince Strikerock, typowy biurokrata, z namaszczeniem i spokojem obsługiwał nowy czytnik identyfikatorów, sprawdzając każdego z osobna, by upewnić się, że nikt z zewnątrz, z innego budynku komunalnego nie dostał się do środka. Mieszkańcy bez sprzeciwu poddawali się procedurze i wszystko szło dość sprawnie.

–Hej, Vince, ile nas to kosztowało? – spytał stary Joe Purd, najstarszy z mieszkańców budynku. Wprowadził się wraz z żoną w dniu zakończenia budowy, w maju 1992 roku. Jego żona umarła jakiś czas temu, a dzieci dorosły i założyły własne rodziny, ale Joe pozostał.

–Dużo – rzekł cicho Vince. – Ale za to jest niezawodny. I to nie tylko moja opinia.

Dotychczas w czasie pełnienia służby porządkowy wpuszczał ludzi jedynie na podstawie znajomości ich twarzy. Lecz kiedyś wpuścił w ten sposób dwóch rozrabiaków z Robin Hill Manor, którzy zaburzali przebieg spotkania swoimi pytaniami i komentarzami. Nic podobnego więcej się nie powtórzy; Vince Strikerock obiecał to sobie i swym współmieszkańcom. I miał zamiar dotrzymać obietnicy.

Rozdając kopie z planem przebiegu spotkania, pani Wells uśmiechała się i monotonnie napominała:

–Punkt 3A, kredyt na naprawę dachu, jest teraz punktem 4A. Proszę to sobie zapisać.

Mieszkańcy brali swoje programy i dzielili się na dwa strumienie płynące w przeciwnie strony sali. Liberalna część mieszkańców siedziała po prawej stronie, konserwatywna po lewej, a każda z nich demonstracyjnie ignorowała obecność drugiej. Kilka niezorientowanych osób – nowych mieszkańców i miejscowych oszołomów – usiadło po cichu z tyłu, w czasie gdy w sali rozpoczęły się rozmowy. Sam dźwięk, szum w pomieszczeniu był całkiem przyjazny, ale mieszkańcy wiedzieli, że dziś dojdzie do konfliktu. Prawdopodobnie obie strony już się na to przygotowały. Niekiedy dawał się słyszeć szelest czytanych i wymienianych dokumentów, petycji oraz wycinków z gazet.

Siedzący na podeście, wraz z czterema opiekunami budynku, przewodniczący Donald Tishman czuł ból w żołądku. Był człowiekiem spokojnym, który wzdragał się przed tego rodzaju waśniami. Już samo siedzenie w tym miejscu było dla niego zbyt

dużym wysiłkiem, a na dodatek wiedział, że dzisiejszego wieczora będzie musiał brać aktywny udział w dyskusji. Od czasu do czasu zmuszony był do tego każdy mieszkaniec budynku, poza tym dziś miała rozstrzygnąć się kwestia szkoły.

Sala wypełniła się prawie po brzegi, a Patrick Doyle, obecny duszpasterz budynku, nie wyglądający na zbyt szczęśliwionego w swojej długiej białej szacie, podniósł dłonie, prosząc o ciszę.

–Modlitwa na powitanie – rzekł szybko, chrząknął i wyciągnął małą kartkę. – Proszę zamknąć oczy i pochylić głowy. – Spojrzał na Tishmana i opiekunów, a Tishman skinął na niego głową, by kontynuował. – Ojciec Niebieski – czytał Doyle – my, mieszkańcy budynku komunalnego Abraham Lincoln, błagamy Cię, byś pobłogosławił to spotkanie. Hmm, prosimy, byś w swojej łasce pozwolił nam zebrać fundusze na naprawę dachu, gdyż jest to bardzo pilna sprawa. Prosimy także, by nasi chorzy ozdrowieli. Obdarz nas mądrością, która potrzebna będzie przy rozpatrywaniu wniosków o przyjęcie do naszej społeczności, byśmy przyjmowali właściwych ludzi, a innym odmawiali. Błagamy Cię, nie pozwól żadnym obcym wejść pośród nas i zakłócać życia tej kochającej prawo społeczności, i na koniec prosimy Cię w szczególności o to, by Nicole Thibodeaux przestała miewać okropne bóle głowy, z powodu których nie mogła ostatnio wystąpić dla nas w telewizji, i żeby te bóle nie miały nic wspólnego z wypadkiem sprzed kilku lat, kiedy to pomocnik na scenie niechcący zrzucił jej na głowę odważnik, przez co musiała spędzić parę dni w szpitalu. Na tym zakończmy, amen.

–Amen – zgodziła się publiczność.

Tishman wstał z miejsca i rzekł:

–Zanim rozpoczniemy spotkanie, proponuję kilka miłych chwil prezentacji talentów z naszego budynku. Najpierw wystąpią dziewczęta Fetersmoellerów, z mieszkania numer 205. Zatańczą nam do melodii I'll Build a Stairway to the Stars.

Usiadł, a na scenie pojawiła się trójka blondwłosych dzieciaków, znanych publiczności z wcześniejszych występów.

W czasie gdy dziewczęta Fetersmoellerów, w spodniach w paski i świecących srebrnych marynarkach, z uśmiechem wykonywały kolejne figury, otworzyły się drzwi na korytarz zewnętrzny i pojawił się w nich spóźniony Edgar Stone.

Przyszedł tego wieczora za późno, bo oceniał test swego sąsiada, Iana Duncana. Stał teraz w drzwiach i nadal zastanawiał się nad testem i bardzo słabym wynikiem, jaki uzyskał jego sąsiad, którego zresztą ledwo znał. Nawet nie przeglądając testu do końca, mógł stwierdzić, że Duncan oblał.

Dziewczęta Fetersmoellerów śpiewały piskliwymi głosikami, a Stone zastanawiał się,

czemu właściwie tu przyszedł. Może tylko po to, żeby nie zapłacić kary, ponieważ obecność wszystkich mieszkańców była obowiązkowa. Amatorskie przedstawienia, które często odbywały się podczas spotkań, były jego zdaniem nic niewarte. Przypomniawszy sobie dawne czasy, kiedy telewizja z dobrymi przedstawieniami, przygotowanymi przez profesjonalistów, dostarczała mnóstwa rozrywki. Teraz oczywiście wszyscy profesjonalści musieli podpisać kontrakt z Białym Domem, a telewizja miała charakter bardziej edukacyjny niż rozrywkowy. Stone pomyślał o wspaniałym, złotym wieku, który dawno przeminął, o świetnych komikach filmowych, takich jak Jack Lemmon i Shirley MacLaine, potem spojrzawszy jeszcze raz na siostry Fetersmoeller i mruknął, wyraźnie niezadowolony.

Vince Strikerock, jak zwykle na swoim posterunku, słysząc to, spojrzawszy na niego z naganą w oczach.

Przynajmniej ominęła go modlitwa. Włożył swój identyfikator do nowego czytnika Vince'a, a on pozwolił mu przejść. Schodząc wzdłuż rzędów, szczęśliwie znalazł wolne miejsce. Czy Nicole patrzyła dziś na nich? Czy gdzieś w tłumie krył się łowca talentów? Nie zauważył żadnych obcych twarzy. Dziewczęta Fetersmoellerów marnowały tylko czas. Siadając zamknął oczy i słuchał tylko, bo nie mógł znieść ich widoku. Nigdy im się nie uda, pomyślał. Będą musiały się z tym pogodzić, podobnie jak ich ambitni rodzice. Nie mają za grosz talentu, tak jak reszta z nas... Abraham Lincoln mimo wielkiej determinacji nie działał wiele dla kultury SZA i nic nie mogło tego zmienić.

Beznadziejna sytuacja sióstr Fetersmoeller przypomniawszy mu jeszcze raz test, który Ian Duncan trzęsącymi się rękami i ze świecą twarzą wepchnął mu dzisiejszego ranka. Jeśli nie zda tego egzaminu, znajdzie się w jeszcze gorszym położeniu niż Fetersmoellerówny, bo nie będzie mógł nawet mieszkać w Abrahamie Lincolnie. Zniknie z pola widzenia, w każdym razie z ich pola widzenia i powróci do poprzedniego, zniechęconego statusu. Jeśli nie odkryją w nim choćby śladu jakichś umiejętności, prawdopodobnie znów znajdzie się w przytułku, pracując fizycznie, jak to kiedyś czynili wszyscy jako nastolatki.

Oczywiście uzyska zwrot kosztów za mieszkanie, które otrzymał, dość pokaźną sumę – jedyną poważną inwestycję w życiu człowieka. Pod pewnymi względami Stone mu zazdrościł. Co bym zrobił, zastanawiał się siedząc z zamkniętymi oczyma, gdybym dostał taką jednorazową odprawę? Może bym emigrował. Kupiłbym jeden z tych tanich, nielegalnych, jednorazowych statków, którymi handlują tam, gdzie...

Brawa wyrwały go z rozmyślań. Dziewczęta skończyły, więc i on przyłączył się do aplauzu. Siedzący na podium Tishman podniósł rękę, by uciszyć tłum.

–Dobra, wiem, że wam się podobało, ale dzisiejszego wieczora mamy znacznie więcej punktów programu. Poza tym czeka nas jeszcze poważna dyskusja. Nie

zapominajmy o tym. – Uśmiechnął się szeroko.

Tak, przytaknął mu Stone w myślach. Dyskusja. Czuł się spięty, bo był jednym z radykałów w Abrahamie Lincolnie – chciał skasować szkołę podstawową w budynku i wysyłać dzieci do publicznej podstawówki, gdzie mogłyby bez przeszkód kontaktować się z rówieśnikami z innych budynków.

Pomysł ten spotykał się jednak z silnym sprzeciwem, chociaż w ostatnich tygodniach zyskał nieco na popularności. Może nadchodziły dziwne, niezwykle czasy. Tak czy inaczej, byłoby to bardzo rozwijające doświadczenie. Dzieci odkryłyby, że ludzie w innych budynkach mieszkalnych niczym się od nich nie różnią. Runęłyby bariery między mieszkańcami różnych budynków, którzy, być może, nareszcie doszliby do porozumienia.

Tak przynajmniej wydawało się Stone'owi, ale konserwatyści byli odmiennego zdania. Mówili, że jest jeszcze zbyt wcześnie na takie mieszanie się społeczności. Gdyby dzieci zaczęły się kłócić, który budynek jest lepszy, na pewno doszłoby do walk. W przyszłości nie uniknie się integracji, ale teraz było jeszcze na to stanowczo za wcześnie.

Ryzykując poważną karę, mały, siwy i nerwowy Ian Duncan opuścił zebranie i tego wieczora pozostał w swoim mieszkaniu, studiując oficjalny rządowy podręcznik historii politycznej Stanów Zjednoczonych Europy i Ameryki. Był z niej kiepski, zdawał sobie z tego sprawę. Z trudem pojmował sens czynników ekonomicznych, nie wspominając o ideologiach religijno-politycznych, jakie pojawiały się i zanikały w dwudziestym wieku, bezpośrednio przyczyniając się do obecnej sytuacji. Na przykład powstanie Partii Demokratyczno-Republikańskiej. Kiedyś istniały dwie partie (a może trzy), które non stop wszczynały jałowe kłótnie, walcząc o władzę, tak jak teraz walczyły o nią poszczególne budynki. Te dwie... albo trzy partie połączyły się około roku 1985, tuż przed tym, jak Niemcy przystąpiły do SZEA. Teraz istniała tylko jedna partia, rządząca stabilnym i spokojnym społeczeństwem, do którego, z punktu widzenia prawa, należał każdy. Każdy płacił podatki, brał udział w zebraniach i głosował co cztery lata na nowego der Alte, człowieka, który, jak im się wydawało, najbardziej podobałby się Nicole.

Miło było wiedzieć, że właśnie oni, lud, co cztery lata mogli decydować o tym, kto zostanie nowym mężem Nicole. W pewnym sensie skupiali w swoich rękach najwyższą władzę, większą nawet niż sama Nicole. Weźmy na przykład jej ostatniego męża, Rudolfa Kalbfleischa. Stosunki panujące między nim i Pierwszą Damą były dosyć chłodne, więc odnosiło się wrażenie, że niezbyt spodobał jej się ostatni wybór. Będąc jednak damą, nie mogła tego okazywać.

“Kiedy pozycja Pierwszej Damy zaczęła nabierać większego znaczenia niż stanowisko prezydenta?”, pytał tekst. Innymi słowy, kiedy nasze społeczeństwo

stało się społeczeństwem matriarchalnym? – pomyślał Ian Duncan. Około roku 1990, to akurat wiem, stwierdził z zadowoleniem. Już wcześniej jednak pojawiały się jaskółki, a zmiany zachodziły stopniowo. Każdego roku der Alte coraz bardziej usuwał się w cień, Pierwsza Dama zaś stawała się coraz popularniejsza i bardziej lubiana przez lud, który sam do tego doprowadził. Czy wynikało to z potrzeby posiadania matki, żony, kochanki, a może wszystkich trzech? Tak czy inaczej dostali, czego chcieli; mieli Nicole, która z pewnością była nimi trzema, a może nawet kimś więcej.

Stojący w rogu pokoju telewizor odezwał się głuchym dźwiękiem, co wskazywało na rozpoczynającą się transmisję. Duncan westchnął, zamknął podręcznik i skierował wzrok na telewizor. Podejrzywał, że za chwilę rozpocznie się specjalny program poświęcony Białemu Domowi. Może będzie to kolejna wycieczka albo inne bzdury dotyczące nowego hobby Nicole. Może tym razem zaczęła zbierać chińskie filizanki z laki? Jeśli tak, za chwilę będziemy musieli wysłuchać historii każdej z tych cholernych filizanek.

I faktycznie, na ekranie pojawił się okrągły, ciężki i wąsaty Maxwell W. Jamison, sekretarz Białego Domu.

–Dobry wieczór, ludu naszego kraju – zaczął uroczyście. – Czy kiedykolwiek zastanawialiście się, jakie to uczucie zejść na samo dno Pacyfiku? Nicole długo zastanawiała się nad tym i aby odpowiedzieć na to pytanie, zebrała tutaj, w Pokoju Tulipanowym Białego Domu, najbardziej znamienitych oceanografów świata. Dziś poprosi ich, by opowiedzieli nam jakieś historyjki, których wy także będziecie mogli wysłuchać, gdyż zostały nagrane na żywo, parę minut temu, przez Biuro Prasowe Zjednoczonej Sieci Triady.

A teraz wrócimy do Białego Domu, domyślał się dalszego ciągu Duncan. Przynajmniej sobie popatrzymy. My, którzy nie możemy tam trafić, którzy nie mamy talentów, jakie mogłyby zainteresować Pierwszą Damę choćby przez jeden wieczór. I obejrzymy sobie widowisko przez starannie wyregulowane okienko telewizora.

Nie miał dziś ochoty na oglądanie, lecz wydawało mu się, że powinien. Może przynajmniej dadzą jakiś quiz z niespodzianką. Wysoki wynik w quizie mógł zrekompensować niską notę, jaką z pewnością uzyskał z ostatniego testu religijno-polirycznego, który właśnie sprawdzał jego sąsiad, Edgar Stone.

Ekran rozjaśniły piękne, delikatne rysy, jasna cera, ciemne, inteligentne oczy i mądra, choć nieco arogancka twarz kobiety, która zmonopolizowała ich uwagę, w którą z zapartym tchem wpatrywał się cały naród, a właściwie cała planeta. Na jej widok Ian Duncan poczuł, że robi mu się niedobrze ze strachu. Zawiódł ją. Jego kiepski wynik testu miał w jakiś sposób do niej dotrzeć i choć Pierwsza Dama nie powie nic, z pewnością poczuje się rozczarowana.

–Dobry wieczór – powiedziała Nicole swoim miękkim, lekko ochryplym głosem.

–Chodzi o to, że nie mam głowy do pojęć abstrakcyjnych – mamrotał Duncan. – Do tej całej filozofii religijno-politycznej; przecież to wszystko nie ma żadnego sensu.

Czy nie mógłbym po prostu zająć się czymś bardziej konkretnym? Powiniennem kopać rowy, wypalać cegły albo naprawiać buty, powiniennem być na Marsie, pomyślał, daleko stąd. Wyleją mnie. W wieku trzydziestu pięciu lat jestem skończony, i ona to wie. Pozwól mi odejść, Nicole, pomyślał w przyływie desperacji. Nie dawaj mi więcej testów, bo nie mam szansy ich zdać. Weźmy choćby ten program o dnie oceanu. Zanim się skończy, zapomnę wszystko. Na nic się nie przydam w Partii Demokratyczno-Republikańskiej.

Pomyślał o swoim starym kumplu Alu. Al mógłby mi pomóc. Al pracował dla Stukniętego Luke'a, w jednym z jego dzikich złomowisk, gdzie handlowano małymi, blaszано-kartonowymi statkami, na które pozwolić sobie mogli nawet najwięksi nędzarze. A za ich pomocą mieli przy odrobinie szczęścia szansę dostać się na Marsa. Al mógłby mi sprzedać taki statek po cenie hurtowej, pomyślał Duncan.

Nicole na ekranie ciągnęła nieprzerwanie:

–...cóż to za wspaniały świat, pełen niezwykłych zjawisk, które swoją różnorodnością i pięknem przewyższają wszystko, co spotkać można na innych planetach. Naukowcy obliczają, że w oceanie jest więcej form życia...

Jej twarz znikła, zastąpiona przez jakąś dziwną, groteskową rybę. To część propagandowa, zdał sobie nagle sprawę Duncan. Chcą zmusić nas, żebyśmy przestali myśleć o Marsie i ucieczce od partii, i od niej. Wyłupiasto-oka ryba gapiała się na niego z ekranu, a on, chcąc nie chcąc, też się nią zainteresował. Chryste, pomyślał, jaki dziwny jest świat tam na dole. Nicole, przyłapałaś mnie, zdał sobie sprawę. Gdyby tylko udało mi się wtedy z Alem. Moglibyśmy teraz przed tobą występować i być szczęśliwi. W czasie gdy ty przeprowadzasz wywiad ze sławnymi na cały świat oceanografami, Al i ja gralibyśmy dyskretnie w tle, na przykład coś z Bacha.

Ian Duncan podszedł do szafy, pochylił się i ostrożnie podniósł jakieś zawiniątko, wystawiając je na światło. Tak bardzo w to wierzyliśmy, kiedy byliśmy młodzi, pomyślał. Z namaszczeniem wyjął z zawiniątka butelkę, wziął głęboki oddech i wydobył z niej kilka głuchych dźwięków. Była to nowa aranżacja Bacha, Mozarta i Strawińskiego, przygotowana przez Duncana i Millera, Duet na Dwie Butelki, który tworzyli on i Al Miller. Lecz łowca talentów Białego Domu, ten skurczybyk, nigdy nawet nie dał im szansy na przesłuchanie. Za późno, mówił im. Jesse Pigg, sławny wirtuoz butelki z Alabamy, pierwszy dostał się do Białego Domu, żeby zabawić i oczarować trzynastu członków rodziny Thibodeaux, którzy zebrali się tam specjalnie,

by wysłuchać jego wersji Derby Ram, Johna Henry'ego i tym podobnych.

“Ale to przecież butelki klasyczne”, protestował Ian Duncan. “Gramy późne sonaty Beethovena”.

“Wezwiemy was”, mówił opryskliwie łowca talentów. “Oczywiście jeśli Nicky okaże zainteresowanie”.

Nicky! Poblądł. Wyobraził sobie, że są sam na sam z Pierwszą Damą. On i Al mamroczą coś bez sensu, schodzą ze sceny i zwalniają miejsce następnemu przedstawieniu, w którym biorą udział psy w kostiumach elżbietańskich mające uosabiać postacie z Hamleta. Psom też się nie udało, ale nie było to zbyt wielkim pocieszeniem.

–...mówiono mi – kontynuowała Nicole – że w głębinie oceanów jest tak mało światła, że... wystarczy popatrzeć tylko na nią. – Świecąca jak latarnia rybka przepłynęła wzdłuż ekranu telewizora.

Duncan usłyszał pukanie do drzwi.

Powoli je otworzył i ujrzał swego sąsiada, Stone'a, który wyglądał na nieco zdenerwowanego.

–Nie przyszedł pan na Zaduszki? – spytał Edgar Stone. – Nie obawia się pan, że sprawdzą to i zorientują się? – W rękach trzymał test Duncana.

–Lepiej niech pan powie, jak mi poszło – machnął ręką Duncan, przygotowując się na najgorsze.

Stone zamknął za sobą drzwi. Spojrzał na telewizor, zauważył Nicole siedzącą z oceanografami, posłuchał przez chwilę, co mówią, po czym nagle oddał Duncanowi test i rzekł ochrypłym głosem:

–Dobrze panu poszło.

–Zdałem?! – Duncan w żaden sposób nie mógł w to uwierzyć. Wziął papiery i przyjrzał się im z niedowierzaniem. Wtedy pojął, co się stało.

Stone sfalszował wyniki, żeby mu pomóc. Pewnie zrobił to z powodów humanitarnych. Duncan podniósł głowę i spojrzeli sobie w oczy bez słów. To straszne, pomyślał Duncan. I co ja teraz zrobię? Reakcja ta zdziwiła jego samego, lecz nie mógł nic na to poradzić.

Przecież chciałem oblać ten test, zdał sobie sprawę. Dlaczego? Żeby wreszcie wydostać się stąd, żeby mieć wymówkę do porzucenia wszystkiego, mieszkania,

pracy. Żeby powiedzieć, że mam to gdzieś i odejść stąd. Emigrować w statku-błaszaku, który rozpadnie się na kawałki w momencie dotarcia na Marsa. Emigrować z jedną koszulą na grzbiecie i niczym więcej.

–Dzięki – rzucił naburniuszony.

–Będzie mi się pan mógł kiedyś odwdzięczyć – dodał szybko Stone.

–Naprawdę? Zawsze do usług – odparł zaskoczony Duncan.

Stone wycofał się z pokoju i pozostawił go sam na sam z telewizorem, butelką, sfalszowanym testem i natłokiem myśli.

Żeby zrozumieć, dlaczego Vince Strikerock, obywatel amerykański, mieszkaniec Abrahama Lincolna, gołąc się tego ranka słuchał der Alte w telewizji, należałoby cofnąć się do roku 1994, kiedy to Niemcy Zachodnie przyłączyły się do unii jako pięćdziesiąty trzeci spośród stanów zjednoczonych. W osobie derAlte, czyli prezydenta Rudiego Kalbfleischa, było coś, co zawsze nieco go irytowało. Vince dobrze wiedział, że kiedy za dwa lata skończy się kadencja i derAlte będzie musiał odejść, poczuje się znacznie lepiej. Z utęsknieniem oczekiwał dnia, kiedy jeden z nich będzie musiał opuścić swoje stanowisko; dla niego był to wystarczający powód do radości.

A jednak czuł, że staruszek robił na swoim stanowisku to, co do niego należało, odłożył więc brzytwę i poszedł do pokoju pobawić się pokrętłami telewizora. Poprawił kilka z nich w nadziei, że uda mu się zmienić ton wypowiedzi, jednak nie zaszła żadna zmiana. Zdał sobie sprawę, że zbyt wielu innych widzów także decyduje o tym, co i w jaki sposób staruszek powinien powiedzieć. Pewnie w samym Lincolnie było zbyt dużo osób, które swoim myśleniem przeciwstawiały się temu, co Vince próbował wymusić na der Alte. Westchnął. Tego przecież chcieli: rząd czujny na to, co mówi lud. Wrócił do łazienki i dalej się golił.

–Hej, Julie! – krzyknął do żony. – Śniadanie gotowe?

Nie słyszał, żeby żona krzątała się w kuchni. Kiedy się nad tym głębiej zastanowił, doszedł do wniosku, że nawet nie zauważył, czy leżała w łóżku, kiedy obudził się i wstał na chwiejnych nogach.

Wkrótce jednak przypomniał sobie. Ostatniej nocy, po Zaduszkach, on i Julie po szczególnie zacieklej sprzeczce się rozwiedli. Poszli do komisarza M-R i wypełnili dokumenty rozwodowe. Julie od razu spakowała swoje rzeczy; był więc sam w mieszkaniu i zrozumiał, że jeśli się nie pośpieszy, nic tego ranka nie zje.

Było to dość dziwne, bo małżeństwo wytrzymało całe sześć miesięcy i Vince zdążył już przyzwyczać się do spotykania jej każdego ranka. Wiedziała, jakie lubił jajka (usmażone z dodatkiem łagodnego sera Munster). Niech szlag trafi to nowe, liberalne prawo rozwodowe, które prezydent Kalbfleisch zdążył już wprowadzić! Niech szlag trafi całego Kalbfleischa. Dlaczego nie przekręcił się któregoś popołudnia w czasie swojej słynnej drzemki o drugiej? Wtedy jednak jego miejsce zająłby inny der Alte. Zresztą nawet śmierć staruszka nie przywróciłaby mu Julie. To nie leżało w kompetencjach SZA.

W zdenerwowaniu podszedł do telewizora i nacisnął kolejny przycisk. Jeśli wystarczająca liczba osób zrobi podobnie, staruszek przerwie, gdyż przycisk ten

oznaczał całkowite przerwanie przemówienia. Vince poczekał, ale der Alte nie przestał mówić.

W tym momencie Vince'a uderzyło, że o tej porze nie powinno być żadnego przemówienia. Była dopiero ósma. Może doszło do ogromnej eksplozji składu paliwa, która zniszczyła całą kolonię księżycową. Wtedy staruszek opowiadałby o konieczności silniejszego zaciśnięcia pasa i przeznaczeniu dodatkowych oszczędności na program kosmiczny. Należało przecież oczekiwać tego i tym podobnych osobliwych wypadków. A może w końcu wykopano jakieś autentyczne szczątki inteligentnej rasy na czwartej planecie, może nawet nie w obszarze francuskim, ale – jak to mówił der Alte – w “naszym własnym”. Wy pruskie świnie, przeklął w duchu Vince. Nigdy nie powinniśmy byli wpuszczać was do, jak to mówię, “naszego namiotu”, naszej unii federalnej, która powinna ograniczać się do półkuli zachodniej. Ale świat się skurczył. Kiedy zakłada się kolonie w kosmosie, na Księżycu lub na jakiejś planecie, wówczas te trzy tysiące mil oddzielające Nowy Jork od Berlina wydają się nie mieć żadnego znaczenia. A Bóg jeden wie, jak bardzo Niemcy chcieli się przyłączyć.

Vince podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do zarządcy budynku.

–Moja żona Julie... to znaczy moja była żona... czy wprowadziła się wczoraj wieczorem do jakiegoś mieszkania w naszym budynku? – Jeśli uda mu się ją odnaleźć, to może zjedzą razem śniadanie i w ten sposób się pogodzą. Z niecierpliwością słuchał odpowiedzi.

–Nie, panie Strikerock – pauza – przynajmniej nie zostało to zapisane w naszych rejestrach.

No cóż, trudno, pomyślał Vince i odłożył słuchawkę.

Czym w ogóle jest ślub? Zgodą na dzielenie się różnymi rzeczami, wspólnym wysłuchiwanym przemówienia der Alte o ósmej rano i zmuszaniem kogoś innego – żony – do robienia śniadania w czasie, kiedy on przygotowywał się do pracy w filii Karp und Sohnen Werke w Detroit. Tak, była to umowa pozwalająca na zmuszanie drugiej osoby do robienia pewnych rzeczy, których samemu nie lubi się robić, takich jak przygotowywanie posiłków. Nienawidził jedzenia, które przygotował własnoręcznie. Kiedy był sam, jadał w barze. Przewidywał powrót do tego zwyczaju, znając swoje uprzednie doświadczenia. Mary, Jean, Laura i teraz Julie; cztery małżeństwa, z których ostatnie było najkrótsze. Staczał się. Może, odpukać, zdziwaczał na starość.

Tymczasem der Alte w telewizorze mówił:

–...a działalność paramilitarna przypomina nam dni barbarzyństwa i dlatego tym

bardziej powinniśmy ją zdecydowanie potępić.

Dni barbarzyństwa – chodziło o okres faszyzmu w pierwszej połowie ubiegłego wieku, od którego minęło już prawie sto lat, ale który nadal żył w pamięci wielu ludzi. Tak więc der Alte ogłosił w eterze istnienie Synów Hioba, organizacji na polu religijnej, widocznej na ulicach, a głoszącej oczyszczenie państwowego życia etnicznego i tym podobne rzeczy. Głównie żądali odsunięcia od życia publicznego ludzi, którzy byli inni – szczególnie tych urodzonych w czasach opadów radioaktywnych spowodowanych badaniami nad bronią jądrową, a zwłaszcza wybuchami bomb Chin Ludowych.

Dotyczyło to także Julie, bo była wy sterylizowana, snuł Vince domysły. Skoro nie mogła rodzić dzieci, odebrano by jej prawo do głosowania... ów neurotyczny pretekst mógł zrodzić się tylko w mózgach ludzi z Europy Centralnej, na przykład Niemców. Ogon, który macha psem, pomyślał wycierając twarz. My, Ameryka Północna, jesteśmy psem, a reszta świata to ogon. Co za życie. Może powinienem wyemigrować do kolonii, żyć pod kapryśnym, jasnożółtym słońcem, gdzie nawet istoty o ośmiu nogach i z żądłem mogły głosować... bo nie pojawili się tam Synowie Hioba. Nie chodziło o to, że ludzie na stanowiskach byli tacy wspaniali, ale wielu z nich nosiło piętno promieniowania i teraz będą musieli emigrować, tak jak uczyniło to już wiele osób, które po prostu czuły się zmęczone zatłoczoną, kontrolowaną przez biurokratów Ziemią, niezależnie od tego, czy pochodziły z SZEA, Imperium Francuskiego, Azji Ludowej czy też z Wolnej, czyli czarnej Afryki.

Vince poszedł do kuchni i zaczął przygotowywać sobie jajecznicę na bekonie, a kiedy bekon się smażył, karmił jedyne zwierzę, jakie wolno mu było trzymać w budynku – Jerzego III, małego zielonego żółwia. Jerzy III zjadł suszone muchy (zawierające dwadzieścia pięć procent białka, więcej niż pożywienie ludzkie), hamburgera i mrówcze jaja. Śniadanie dla żółwia przypomniało Vince'owi o powiedzeniu de gustibus non disputandum est – o gustach się nie dyskutuje, szczególnie o ósmej rano.

Jeszcze pięć lat temu mógł w Abrahamie Lincolnie trzymać ptaszka, lecz przywilej ten zniesiono. Ptaki były zbyt hałaśliwe. Artykuł s205 Regulaminu Budynku głosił: "Nie wolno gwizdać, śpiewać ani ćwierkać". Żółw jest niemy, podobnie jak żyrafa, ale żyrafy także były verboten – zakazane, tak jak przyjaciele człowieka, pies i kot, przyjaciele, którzy odeszli jeszcze w czasach, kiedy der Alte nazywał się Hempel. Vince ledwo go pamiętał. Nie chodziło więc jedynie o niewydawanie żadnych odgłosów, o co zaś naprawdę chodziło, Vince mógł się tylko domyślać. W pewnym sensie był zadowolony, że nie rozumiał zbyt dobrze motywów partii. Najlepszy dowód, że nie należy do niej duchowo.

Zniszczona, pociągła, prawie starcza twarz ustąpiła teraz miejsca Percy Grainer z jej banalną melodyjką Handel in the Strand... Właściwe zakończenie dla tego, co przed

chwilą usłyszeliśmy, pomyślał Vince. Nagle wstał i parodiując sztywniactwo żołnierzy niemieckich podniósł brodę, wyprostował ramiona i stanął na baczność słuchając melodii dobiegającej z głośnika telewizora; Vince Strikerock prężył się do dziecinnej muzyczki, którą władze, tak zwani gesowie, wybrali do emisji właśnie w tym momencie.

–Heil! – zaszalutował, podnosząc rękę w geście faszystowskiego powitania.

Muzyka grała dalej.

Vince przełączył telewizor na inny kanał.

Na ekranie mignął mu wyglądający na zaszczutego mężczyzna pośrodku tłumu, który chyba go pozdrawiał. Mężczyzna ten, najwyraźniej eskortowany przez policjantów, znikł w zaparkowanym pojeździe. W tym samym momencie sprawozdawca telewizyjny stwierdził:

–...podobnie jak w wielu miastach na terenie SZEA, doktor Jack Dowling, wiodący psychoanalityk szkoły wiedeńskiej, praktykujący w Bonn, został aresztowany za oprotestowanie świeżo podpisanej ustawy McPhearsona...

Na ekranie oznakowany samochód policyjny przemknął poza zasięg widzenia kamery.

No proszę, pomyślał ponuro Vince. To znak czasu. Coraz bardziej represyjne i różne prawodawstwo. Do kogo zwrócę się o pomoc, jeśli odejście Julie sprawi, że załamie się nerwowo? Bo przecież wszystko jest możliwe. Nigdy nie byłem u analityka, nigdy w życiu tego nie potrzebowałem, ale też nigdy jeszcze nie byłem w tak beznadziejnej sytuacji. Julie, gdzie jesteś? – załkał w myślach.

Obraz na ekranie się zmienił, choć nadal traktował o tym samym. Vince Strikerock ujrzał nowy tłum, inny oddział policji i innego psychoanalityka w asyście policji. Kolejna osoba aresztowana za protest.

–Ciekawe – ciągnął spiker – jak dużą lojalność wykazują pacjenci analityków. Ale właściwie czemu nie mieliby być lojalni? Pewnie już od wielu lat ufali tylko swojemu psychoanalitykowi.

I dokąd ich to zaprowadziło? – zastanawiał się Vince.

Julie, powiedział do siebie, jeśli jesteś teraz z kimś, z jakimś innym mężczyzną, to będziesz miała problem. Albo ja padnę trupem, albo ty i twój facet, niezależnie od tego kim jest. Nawet jeśli, a zwłaszcza jeśli jest to mój przyjaciel.

Odzyskam cię, zdecydował. Nasz związek jest czymś wyjątkowym, nie przypomina

tego, co łączyło mnie z Mary, Jean czy Laurą. Kocham cię i tyle. Mój Boże, pomyślał, zakochałem się! W takich czasach i w takim wieku. Kto by pomyślał. Gdybym jej powiedział, gdyby to usłyszała, padłaby ze śmiechu. Taka jest Julie.

Powinienem iść do analityka, zdał sobie sprawę. Jestem całkowicie uzależniony od tej zimnej, samolubnej istoty, jaką jest Julie. Przecież to nie jest normalne. To... wariactwo!

Czy doktor Jack Dowling, wiodący psychiatra szkoły wiedeńskiej w Bonn, w Niemczech, może mnie wyleczyć? Uwolnić mnie od niej? Albo ten drugi facet, którego pokazywali, ten – wsłuchał się w głos spikera, nałożony na odgłos odjeżdżającego samochodu policyjnego – Egon Superb? Wyglądał na inteligentną, sympatyczną osobę obdarzoną darem empatii. Posłuchaj, Egonie Superb, mówił w myślach Vince, mam poważne kłopoty. Mój mały świat zawałił się dzisiaj ranka, kiedy się obudziłem. Potrzebuję kobiety, której pewnie nigdy już nie ujrzę. Leki A.G. Chemie nic mi tutaj nie pomogą... chyba że wezmę dawkę śmiertelną. Ale nie takiej pomocy szukam.

Może powinienem nakłonić mojego brata Chica, żebyśmy obydwoj przystąpili do Synów Hioba, pomyślał ze złością. Chic i ja przyrzekliśmy wierność Bertoldowi Goltzowi. Inni też tak zrobili, inni malkontenci, którym się fatalnie nie powiodło albo w życiu prywatnym, tak jak mnie, albo w zawodowym, albo w próbach społecznego awansu z besów na gesów.

Chic i ja Synami Hioba, pomyślał ze zgrozą Vince Strikerock. Paradujący ulicą w śmiesznych mundurach. Wyśmiewani. Jednak wierzący... ale w co? W ostateczne zwycięstwo? W Goltza, który wyglądał jak filmowa wersja Rattenfängera – łowcy szczurów? Skurczył się ze strachu na samą myśl o tym.

Jednak ta idea zadomowił się w jego umyśle.

W swoim mieszkaniu na szczycie Abrahama Lincolna chudy, łysiejący Chic Strikerock, starszy brat Vince'a, obudził się i spojrzał na stojący obok zegarek, by stwierdzić, czy nie udałoby się choć przez chwilę poleżeć jeszcze w łóżku. Jednak zegarek nie chciał dostarczyć mu wymówki i wskazywał ósmą piętnaście. Czas wstawać... szczęśliwie obudziła go maszyna gazeciarska, hałaśliwie sprzedająca swoje wieści przed budynkiem. Ku swojemu wielkiemu zdziwieniu Chic stwierdził, że obok niego w łóżku jest jeszcze ktoś. Otworzył szeroko oczy i zastygł w bezruchu. Gęstwina brązowych włosów skrywała twarz młodej kobiety, w dodatku dobrze znajomą (co za ulga, choć właściwie czy rzeczywiście?). To przecież Julie! Jego bratowa, żona Vince'a. Dobry Boże! Chic usiadł.

Zaraz, zaraz! W pośpiechu starał się pozbiierać w pamięci skrawki ostatniego wieczora. Co się działo po Zaduszkach? Zdaje się, że przyszła roztrzęsiona Julie,

zjedną walizką i dwoma płaszczami, opowiadając jakąś niespójną historię sprowadzającą się do jednego, prostego faktu. W końcu sobie przypomniał. Rozwiodła się z Vince'em. Oficjalnie nie pozostawała już w żadnym związku z nim i miała prawo spać, gdzie jej się żywnie podoba. I przyszła tutaj. Ale dlaczego? Tej części nie mógł sobie przypomnieć. Zawsze lubił Julie, ale to niczego nie tłumaczyło. To, co uczyniła, stanowiło jedynie jej tajemnicę, dotyczyło jej wewnętrznego świata wartości i zachowań, i nie miało nic wspólnego z Chikiem.

Tak czy inaczej, Julia była tu nadal, fizycznie spała z nim, jednak wewnętrznie była skurczona w sobie, zwinięta jak ślimak w skorupce. Wszystko to miało dla Chica posmak kazirodztwa, mimo prawnej jasności całej sytuacji. Julie była dla niego członkiem rodziny. Nigdy nawet nie patrzył w jej kierunku. Ale ostatniej nocy, po paru drinkach... stało się. Nie powinien był więcej pić. Ale zrobił to i po pewnym czasie jego zachowanie uległo diametralnej zmianie, co innego wydawało się już wartością nadrzędną. Stał się towarzyski, żądny przygód i otwarty, zamiast jak zwykle zasępiony i małomówny. A oto konsekwencje. Nieźle się wpakował. Jednak w głębi serca nie czuł się tak bardzo winien. Jej przyście tutaj było dla niego komplementem.

Ale kiedy następnym razem spotka Vince'a, który sprawdzać będzie identyfikatory u drzwi, poczuje się co najmniej dziwnie. Bo Vince będzie chciał omówić sprawę dogłębnie, poświęcając wiele uwagi intelektualnej analizie pierwotnych motywów. Jaki był prawdziwy cel Julie, kiedy go opuszczała, żeby przenieść się do Chica? Dlaczego to zrobiła? Były to pytania ontologiczne, które na pewno spodobałyby się Arystotelesowi, problemy teleologiczne odnoszące się do tego, co kiedyś nazywano "przyczynami ostatecznymi". Vince wychodził wtedy z siebie, a rozmowa schodziła na manowce.

Lepiej zadzwonię do szefa, zdecydował Chic, i powiem mu... zapytam, czy mogę się dzisiaj spóźnić. Powinienem najpierw porozmawiać z Julie o tym, co się stało. Jak długo ma zamiar zostać i czy chce dołożyć się do opłaty za mieszkanie. Podstawowe, mało psychologiczne pytania o charakterze całkowicie praktycznym.

W pidżamie poszedł do kuchni przygotować kawę i usiadł, by ją wypić. Włączył telefon i wystukał numer szefa, Maury'ego Frauenzimmersa. Monitor zaświecił na jasnoszara, potem biało, po czym pojawiła się na nim niewyraźna fizjonomia Maury'ego, który akurat się golił.

–Co się dzieje, Chic?

–Cześć – odparł Chic i usłyszał w swoim głosie dumę. – Mam u siebie dziewczynę, Maury, więc się trochę spóźnię.

To była sprawa między dwoma facetami. Nie miało znaczenia, kim jest ta

dziewczyna. Maury nie pytał. Na jego twarzy ukazał się mimowolnie wyraz nieklamane podziwu, a następnie potępienia. Ale... najpierw był podziw! Chic uśmiechnął się szeroko. Potępienie, jakie malowało się na twarzy Maury'ego, zupełnie mu nie przeszkadzało.

–A niech cię! – rzekł Maury. – Masz być w biurze nie później niż o dziewiątej. – Jednak w jego tonie dawało się słyszeć: “Chciałbym być na twoim miejscu. Zazdroszczę ci, do ciężkiej cholery”.

–Dobra – odparł Chic. – Przyjadę, jak tylko będę mógł. – Spojrzał w kierunku sypialni i Julie, która usiadła właśnie na łóżku. Maury mógł ją zauważyć. Czas kończyć rozmowę. – No to na razie, Maury – dodał Chic i rozłączył się.

–Kto to był? – spytała sennym głosem Julie. – Vince?

–Nie. Mój szef. – Chic nalał wody na kawę dla Julie. – Dzień dobry – powiedział i usiadł na łóżku obok niej. – Jak się czujesz?

–Zapomniałam grzebienia – stwierdziła pragmatycznie Julie.

–Kupię ci z automatu na korytarzu.

–Och, te małe plastikowe śmieci.

–Um – przytaknął, wyraźnie odczuwając przyływ sentymentalizmu. Ta sytuacja, kiedy Julie była w łóżku, a on siedział obok niej w pidżamie, przypominała mu jego własne ostatnie małżeństwo, które skończyło się cztery miesiące wcześniej. – Pora wstawać – rzekł, klepiąc ją w udo.

–O Boże – westchnęła Julie – wolałabym nie żyć. – Nie mówiła tonem oskarżycielskim, jakby to była jego wina. Wyglądało raczej, że chce po prostu kontynuować rozmowę przerwana w nocy. – Jaki to wszystko ma sens, Chic? – spytała. – Lubię Vince'a, ale on jest taki naiwny. Nigdy nie wydorosłeje i nie zacznie podchodzić poważnie do życia. Zawsze udaje, że jest ucieleśnieniem nowoczesnej istoty społecznej, że niby jest człowiekiem u władzy, niewinnym i prostym, podczas kiedy naprawdę jest zupełnie kimś innym. Ale jest jeszcze młody – westchnęła.

Westchnienie to zmroziło Chica, bo było zimne, bezlitosne, całkowicie lekceważące. Spisywała na straty kolejną istotę ludzką, odchodząc od Vince'a bez wyraźnego smutku, jak gdyby oddawała książkę pożyczoną z biblioteki.

O kurczę, pomyślał Chic, ten facet był twoim mężem. Kochałaś go. Spałaś z nim, żyłaś z nim i wiedziałaś o nim wszystko, pewnie nawet więcej niż ja, choć jestem jego bratem dłużej, niż ty żyjesz. Kobiety to twarde sztuki, pomyślał Chic. Cholernie twarde.

–Ja... hmm... muszę iść do pracy – rzekł nerwowo.

–Czy ta kawa, którą zrobiłeś, jest dla mnie?

–A właśnie. Pewnie!

–To przynieś ją tutaj, co, Chic?

Poszedł po kawę, a Julie zaczęła się ubierać.

–Czy stary Kalbfleisch przemawiał dzisiaj rano?

–Nie wiem.

Jakoś nie przyszło mu na myśl, żeby włączyć telewizor, choć przeczytał poprzedniego wieczora w gazecie, że dziś rano mieli transmitować przemówienie. Zupełnie go nie obchodziło, co stary Kalbfleisch ma do powiedzenia, niezależnie od tematu.

–Naprawdę musisz podreptać do firmy, żeby pracować?

Patrzyła na niego wyczekująco i dostrzegł, co prawdopodobnie zdarzyło się po raz pierwszy w jego życiu, że jej oczy mają piękny, naturalny kolor wygładzonej powierzchni skały i blask, który ujawnia się przy naturalnym świetle. Zauważył też dziwną, kwadratową szczękę i dość duże usta, które miały tendencję do wykrzywiania się w podkówkę, co dawało wrażenie zmartwienia. Nienaturalnie czerwone wydatne wargi odciągały uwagę od raczej bezbarwnych włosów. Miała ładną, zaokrągloną, prześliczną figurę i dobrze się ubierała. Oznaczało to, że wyglądała świetnie we wszystkim. Wydawało się, że wszystko jej pasuje, nawet rzeczy produkowane na skalę przemysłową, których inne kobiety nie potrafiły nosić. Stała teraz w tej samej sukience koloru oliwkowego z czarnymi okrągłymi guzikami, którą miała na sobie poprzedniego wieczora. Była to naprawdę tania sukienka, a jednak Julie wyglądała w niej elegancko. Tak, nie można tego było lepiej określić. Miała arystokratyczną budowę ciała, o czym świadczyła jej szczęka, nos, wspaniałe zęby. Nie była Niemką, ale urodę miała nordycką, prawdopodobnie pochodziła ze Szwecji albo Danii. Patrząc na nią pomyślał, że wygląda pięknie. Z czasem wyglądać będzie równie atrakcyjnie, nie zestarzeje się. Nosila w sobie niezniszczalne piękno. Nie mógł sobie wyobrazić jej zaniedbanej, grubej albo bez humoru.

–Głodna jestem – stwierdziła Julie.

–To znaczy chcesz, żebym przygotował śniadanie. – Wyczuwał to. Nie miał wątpliwości.

–Przygotowałam już wszystkie śniadania, jakie mogłam przygotować mężczyznom,

tobie czy twojemu głupiemu bratu; limit wyczerpany – odparła.

Znowu się przestraszył. Była niegrzeczna. Już teraz. Znał ją i wiedział, że taka po prostu jest, ale czy nie mogłaby przynajmniej przez chwilę być inna? Czy też może zamierzała wylać na niego wszystko, co czuła w związku z zerwaniem z Vince'em? Nie będą mieli miesiąca miodowego?

Chyba mam problem, pomyślał. Za dużo tego wszystkiego jak na jeden raz. Nie jestem przygotowany. Boże, może się wyprowadzi. Mam nadzieję. Była to wąła nadzieja, dziecinna, zupełnie niemęska. Zdał sobie sprawę, że żaden prawdziwy mężczyzna nie powinien czuć się w ten sposób.

–Przygotuję śniadanie – powiedział i poszedł do kuchni, by wprowadzić słowo w czyn.

Julie stała przy lustrze w sypialni, układając sobie włosy.

–Wyłączcie to – rzucił zwięźle Garth McRae swoim szorstkim, dziarskim głosem.

Simulakrum Kalbfleischa się zatrzymało. Jego ramiona wyciągnęły się do przodu w ostatnim geście, a wysuszona twarz wyrażała pustkę. Konstruktor nic nie mówił, więc kamery telewizyjne automatycznie się wyłączyły. Nie miały już co transmitować, o czym stojący za nimi technicy, sami gesowie, świetnie wiedzieli. Spojrzeli na Gartha McRae.

–Przesłaliśmy komunikat – poinformował McRae Antona Karpa.

–Świetnie – ucieszył się Karp. – Ten Bertold Goltz ze swoimi Synami Hioba zaczyna mnie denerwować. Mam nadzieję, że dzisiejsze przemówienie coś zmieni w tej materii. – Spojrzał nieśmiało na Gartha, oczekując potwierdzenia, podobnie zresztą jak pozostałe osoby w reżyserce, inżynierowie konsrрукta z Karp Werke.

–To dopiero początek – odparł McRae.

–Owszem – pokiwał głową Karp – ale dobry.

Podszedł do simulakrum Kalbfleischa i dotknął jego ramienia, jak gdyby oczekując, że maszyna znowu zacznie się ruszać. Tak się jednak nie stało. McRae zaśmiał się.

–Wolałbym – zaczął Anton Karp – żeby mówił o Adolfie Hitlerze. No, wie pan, żeby bardziej bezpośrednio porównywał Synów Hioba do nazistów, a Goltza do Hitlera.

–To by nic nie dało – rzekł McRae. – Niezależnie od tego, na ile rzeczywiście są podobni. Pan nie jest politykiem, Karp. Dlaczego więc przychodzi panu do głowy, że najlepiej mówić prawdę? Jeśli chcemy powstrzymać Goltza, to nie musimy twierdzić,

że jest kolejnym Hitlerem dlatego tylko, że pięćdziesiąt jeden procent populacji w głębi duszy wolałoby w nim widzieć kolejnego Hitlera. – Uśmiechnął się do Karpa, który wyglądał na zmartwionego, a właściwie trząśł się ze strachu.

–Chciałbym tylko wiedzieć – ciągnął Karp – czy Kalbfleisch zdoła poradzić sobie z Synami Hioba. Pan ma sprzęt von Lessingera, niech mi pan to powie.

–Nie – odparł McRae. – Nie zdoła.

Karp patrzył na niego zdziwiony.

–Ale Kalbfleisch odejdzie – kontynuował McRae. – I to już wkrótce, w ciągu następnego miesiąca.

Nie powiedział od razu tego, czego oczekiwał od niego Karp. Anton i Felix Karpowie, tak jak całe Karp Werke, w pierwszym odruchu pytali o podstawową kwestię. Czy zbudujemy następne simulakrum? Karp zapytałby o to otwarcie, ale się bał. McRae wiedział, że Karp jest tchórzem. Jego osobowość już dawno temu została wykastrowana po to, by mógł właściwie funkcjonować w niemieckiej społeczności. Duchowa, moralna kastracja była dziś podstawą przyłączenia się do rządzącej klasy gesów.

Mógłbym mu powiedzieć, pomyślał McRae. Mógłbym go uspokoić. Ale po co? W odróżnieniu do Karpa nie zbudował i nie obsługiwał manekina, którego wszyscy potrzebowali. Jakakolwiek pomyłka oznaczała wyjawienie besom tajemnicy Geheimnis, którą powierzono elicie, kaście rządzącej Stanów Zjednoczonych Europy i Ameryki. Znajomość jednej lub kilku tajemnic czyniła z nich geheimnistragerów, powierników tajemnicy, w przeciwieństwie do befehaltragerów, podwładnych, wykonujących rozkazy.

Wszystko to jednak było dla Gartha McRae niemieckim mistycyzmem. Wolał myśleć o tym w sposób bardziej prosty i praktyczny. Karp und Sohnen Werke mogły budować simulakra, takie jak Kalbfleisch, który był wzorcowym przykładem ich świetnych projektów. Równie dobrą robotą było dopracowywanie der Alte w czasie jego panowania. Jednakże inna firma mogłaby wyprodukować der Alte z równą precyzją, a nawiązując kontakty ekonomiczne z Karpem, rząd odsunął duży kartel od uczestniczenia w przywilejach ekonomicznych, którymi teraz cieszył się Karp... co dla rządu było porażką.

Następna firma, która zbuduje manekina dla rządu SZEA, będzie musiała być mała, aby rząd mógł ją łatwo kontrolować.

McRae myślał o zakładach Frauenzimmer Associates, wyjątkowo małej i niekonkurencyjnej firmie produkującej simulakra do kolonizacji planetarnej.

Nie powiedział tego Anionowi Karpowi, ale w ciągu kilku najbliższych dni chciał rozpocząć otwarte rozmowy z Maurice'em Frauzenzimmerem, właścicielem firmy. Dla Frauzenzimmera także będzie to zaskoczeniem, bo on z pewnością się tego nie spodziewa.

–Jak pan myśli, co na to Nicole? – spytał w zamyśleniu Karp.

–Chyba będzie zadowolona – uśmiechnął się McRae – nigdy specjalnie nie przepadała za starym Rudim.

–A ja myślałem, że go lubiła. – Karp wyglądał na zasmuconego.

–Pierwszej Damie jeszcze nigdy nie podobał się żaden der Alte – rzekł chłodno McRae. – Dlaczego miałyby ich lubić? Przecież... ma dwadzieścia trzy lata, a zgodnie z naszymi informacjami Kalbfleisch miał siedemdziesiąt osiem.

Karp jęknął.

–Ale co ona ma z nim wspólnego? Nic. Pojawiają się razem od czasu do czasu, sporadycznie, na przyjęciach.

–Wydaje mi się, że generalnie Nicole nie lubi starych, zużytych, nieprzydatnych do niczego osobników – odparł McRae, nie oszczędzając Antona Karpa. Zauważył, że niemłody już biznesmen skrzywił się. – A tak właśnie można by krótko określić wasz produkt – dodał.

–Ale normy...

–Mogliście postarać się o coś choć troszeczkę bardziej... – McRae szukał odpowiedniego słowa – fascynującego.

–Dość – przerwał mu Karp, oblewając się rumieńcem. Wiedział, że Garthowi McRae nie chodzi tylko o drażnienie się z nim, ale o wykazanie, że niezależnie od tego, jak duże są zakłady Karp und Sohnen, są one tylko sługą, pracownikiem rządu i nie mają nic do gadania, a więc nawet

McRae, zwykły asystent sekretarza stanu, mógł mu prawić bezkarnie impertynencje.

–Gdybyście dalej to ciągnęli – mówił w zamyśleniu McRae – do czego by doszło? Zatrudnilibyście może ofiary obozów koncentracyjnych, tak jak zrobił to Krupp w dwudziestym wieku? Może moglibyście dostać i wykorzystywać sprzęt von Lessingera do tego celu... dzięki czemu umieraliby jeszcze szybciej niż wasi pracownicy, szybciej niż w Belsen-Belsen...

Karp odwrócił się i odszedł. Cały się trząsł.

Uśmiechnięty szeroko McRae zapalił cygaro. Oryginalne amerykańskie, nie zaś niemiecko-holenderską podróbkę.

Główny technik nagrań EME patrzył zaskoczony, jak Nat Flieger wnosi ampek F-a2 do helikoptera.

–Chcesz go nagrać na to? – Jim Planck zaśmiał się. – Mój Boże, już w zeszłym roku F-a2 wyszedł z użycia.

–Bo nikt nie umiał go obsługiwać – rzucił Nat.

–Ja umiem – mruknął Planck. – Zajmowałem się kiedyś robalami. Wydaje mi się po prostu... – Machnął ręką od niechcenia. – Pewnie jeszcze używasz do tego staroświeckiego mikrofonu węglowego?

–Niezupełnie – odparł Nat. Poklepał przyjacielsko Plancka po plecach. Znał go od wielu lat i przyzwyczał się do niego. – Nie martw się. Wszystko będzie w porządku.

–Słuchaj – rzekł cicho Planck, rozglądając się dookoła – czy to prawda, że córka Leo jedzie z nami w tę podróż?

–Prawda.

–Ta przeklęta Molly Dondoldo zawsze przynosi pecha... wiesz, o czym myślę? Nie, nie wiesz. Nat, nie mam pojęcia, jakie są obecnie twoje stosunki z Molly, ale...

–Martw się lepiej o nagranie Richarda Kongrosiana – rzucił krótko Nat.

–Dobra, dobra. – Planck wzruszył ramionami. – To twoja praca, twoje życie i twój projekt, Nat. Ja tu tylko sprzątam i robię to, co mi każesz. – Nerwowo przejechał trzęsącą się ręką po cienkich, nieco połyskliwych czarnych włosach. – Jesteśmy gotowi do wyjazdu?

Molly wsiadła już do helikoptera. Czytała książkę i nie zwracała na nich uwagi. Miała na sobie jasną bawełnianą bluzę i szorty, a Nat pomyślał sobie, że jej ubranie niezupełnie pasuje do lasów tropikalnych, dokąd właśnie się udawali. Był to zupełnie inny klimat. Zastanawiał się, czy Molly była już kiedyś na północy. Rejon Oregonu i północnej Kalifornii utracił większość swojej populacji podczas rozruchów w roku 1980. Został wtedy poważnie ostrzelany przez samonaprowadzające się rakiety Czerwonych Chińczyków, a chmury opadów radioaktywnych zakryły go na dobre dziesięć lat. Właściwie jeszcze teraz opad dawał o sobie znać. Jednak technicy NASA twierdzili, że promieniowanie znajduje się na poziomie tolerancji.

Bujna roślinność, przedziwne mutanty stworzone przez opad... Nat wiedział, że przypominały one teraz właściwie las tropikalny. A deszcze prawie nigdy nie

przestawały tu padać. Już przed rokiem 1990 pojawiały się często i były dość obfite, ale teraz już po prostu przez cały czas lało.

–Gotowi – powiedział do Jima Plancka.

Planck, z wystającym pomiędzy zębów cygarem Alta Camina, rzekł:

–W takim razie ruszamy, razem z tym twoim robalem, żeby nagrać największego bezrękiego pianistę tego stulecia. Słuchaj, Nat, znam świetny dowcip. Pewnego dnia Richard Kongrosian ulega wypadkowi drogowemu. Zostaje strasznie potłuczony, ale kiedy po kuracji zdejmują mu bandażę, stwierdzają, że odrosły mu ręce – zachichotał – i nie może już grać.

Molly opuściła książkę i rzekła ironicznie:

–Widzę, że szykuje nam się świetna besowska zabawa w czasie lotu.

Planck zaczerwienił się i pochylił, żeby sprawdzić sprzęt.

–Przepraszam, pani Dondoldo – rzekł, ale w jego głosie nie było słycać skruchy, raczej tłumioną urazę.

–Ruszaj wreszcie – poleciała Molly i znów zaczęła czytać książkę. Nat zauważył, że była to zakazana książka dwudziestowiecznego socjologa C. Wrighta Millsa. Molly Dondoldo, wcale nie lepsza od niego czy Jima Plancka, nie obawiała się czytać publicznie książki zakazanej dla ich kasty. Pod wieloma względami jest wspaniałą kobietą, pomyślał z podziwem.

–Nie bądź taka zła, Molly – powiedział.

–Nie cierpię tych przemądrzałych besów – odparła Molly nie podnosząc głowy.

Helikopter wystartował. Jim Planck z wprawą uniósł go w powietrze. Lecieli na północ, nad prowadzącą przez wybrzeże autostradą i Cesarską Doliną z jej poprzecznymi, niekończącymi się kanałami, które sięgały aż po horyzont.

–To będzie dobry lot – stwierdził Nat. – Czuję to.

–Nie musisz przypadkiem zająć się swoim robalem? – mruknęła Molly. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wołałabym, żebyś zostawił mnie w spokoju.

–Co wiesz o tragedii rodzinnej Kongrosiana? – spytał Nat. Przez chwilę milczała.

–Ma ona coś wspólnego z opadem radioaktywnym i wydarzyła się w późnych latach dziewięćdziesiątych. Myślę, że chodziło o jego syna. Ale nikt nie jest pewien. Nie znam żadnych przecieków, Nat. Ale mówią, że jego syn jest potworem.

Jeszcze raz Nat poczuł zimny strach, jak zwykle kiedy myślał o odwiedzeniu domu Kongrosiana.

–Nie przejmuj się – ciągnęła Molly – przecież od lat dziewięćdziesiątych wydarzyło się już tyle dziwnych porodów. Cały czas pojawiają się jacyś mutanci. Chyba że wolisz tego nie widzieć. – Zamknęła książkę, zagiąwszy czytaną stronę. – To cena, którą musimy zapłacić za nasze idealne życie. O mój Boże, Nat, potrafisz dostroić się do tego migoczącego i żywego ampeka, prawda? Pomyślałam sobie, że może w ten sam sposób deformacja dziecka spowodowana jest czynnikami pochodzącymi od zdolności psionicznych ojca. Może Kongrosian obwinia siebie samego, a nie opad radioaktywny. Musisz go o to spytać, kiedy tam dotrzemy.

–Spytać?! – powtórzył jak echo przerażony Nat.

–Pewnie. Czemu nie?

–Świetny pomysł – rzekł Nat z przekąsem. I jak to bywało dawniej, kiedy widywał się z Molly, wydało mu się, że jej zachowanie jest wyjątkowo agresywne, prawie męskie. Jej szczerść niespecjalnie do niego przemawiała. Poza tym Molly była zdecydowanie zbyt wielką intelektualistką. Nie miała osobistego, emocjonalnego podejścia właściwego jej ojcu.

–Dlaczego chciałaś z nami jechać? – spytał ją. Na pewno nie po to, żeby posłuchać gry Kongrosiana, to było oczywiste. Może chodziło o syna, dziwne dziecko. To by jej się spodobało. Poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy, ale nie okazał strachu. Udało mu się nawet uśmiechnąć.

–Lubię Kongrosiana – rzekła Molly łagodnie. – Miło by było spotkać go osobiście i posłuchać, jak gra.

–Ale słyszałem, jak mówiłaś, że nie ma teraz popytu na psioniczne wersje Brahmsa i Schumanna – podchwycił Nat.

–Nat, czy nigdy nie udaje ci się oddzielić życia osobistego od zawodowego? Muzyka Kongrosiana podoba mi się prywatnie, ale nie oznacza to, że będzie się dobrze sprzedawał. Jak wiesz, nieźle nam się ostatnio wiodło z wszystkimi nurtami folku. Ale wykonawcy tacy jak Kongrosian, nieważne jak popularni w Białym Domu, są anachronizmem i musimy bardzo uważać, żeby przez nich nie popaść w ekonomiczną ruinę. – Uśmiechnęła się, oczekując leniwie na jego reakcję. – Dam ci jeszcze jeden powód, dla którego chciałam jechać. Możemy spędzić razem wiele czasu, dręcząc się nawzajem. Tylko ty i ja, razem w podróży... możemy zamieszkać w motelu w Jenner. Pomyślałaś o tym?

Nat zrobił głęboki, urywany wddech.

Jej uśmiech stał się szerszy. Zdał sobie sprawę, że wyglądało to teraz tak, jakby się z niego śmiała. Molly miała go w garści, mogła z nim robić, co jej się żywnie podobało. Oboje o tym wiedzieli i najwyraźniej bardzo ją to bawiło.

–Chcesz się ze mną ożenić? – spytała Molly. – Masz czyste intencje, jak to mówili w dawnym dwudziestym wieku?

–A ty? – odpowiedział pytaniem Nat. Wzruszyła ramionami.

–Może lubię potwory. Lubię cię, Nat. Ciebie i twoją przypominającą robaka maszynę F-a2, którą karmisz i rozpieszczasz jak żonę albo pieska, albo jedno i drugie.

–Żywię do ciebie podobne uczucia – rzekł Nat. Poczuł nagle, że Jim Planck patrzy na niego, więc skupił się na przesuwającej się pod nimi ziemi. Ta rozmowa najwyraźniej zawstydzila Jima. Planck był inżynierem, który z nim pracował, zwykłym besem, jak powiedziała Molly, ale też porządnym człowiekiem. Taka rozmowa była dla niego trudna.

Dla mnie zresztą też, pomyślał Nat. Tylko Molly dobrze się bawiła. I to świetnie. Nie udawała.

Autobahn męczył Chica Strikerocka sterowanymi centralnie samochodami i kołami mknącymi niewidzialnym strumieniem w wielkim tłoku. W swoim własnym samochodzie czuł się, jakby uczestniczył w obrzędzie czarnej magii, jakby on i inni pasażerowie zdani byli na siłę, o której lepiej głośno nie mówić. Chodziło o zwykły homeostatyczny promień, który ustalał swoją pozycję, nieustannie sprawdzając położenie wszystkich innych pojazdów, a także murów po obu stronach drogi, ale Chicowi się to nie podobało. Siedział w samochodzie, czytając poranny "New York Times". Starał się skoncentrować na gazecie, zamiast na huczącym, nigdy nie zatrzymującym się otoczeniu. Czytał właśnie artykuł o dalszych odkryciach skamieniałych jednokomórkowców na Ganimedzie.

Stara cywilizacja, powiedział do siebie Chic. Kolejny pokład odkryty przez automaty pracujące w pozbawionej powietrza, prawie pustej atmosferze księżyców wielkiej planety.

Okradają nas, stwierdził z przekonaniem. W kolejnych pokładach znajdują komiksy, środki antykoncepcyjne, puste butelki po coli. Ale władza nam o tym nie powie. Kto chciałby się dowiedzieć, że cały Układ Słoneczny został zalany przez coca-colę w ciągu dwóch milionów lat? Nie mógł sobie wyobrazić cywilizacji, niezależnie od rodzaju formy życia, która by nie wynalazła coli. Przecież wtedy nie mogłaby być nazwana cywilizacją. Pomyślał jednak, że przemawia przez niego gorycz. Maury'emu się to nie spodoba. Lepiej, żeby mu przeszło, zanim dojedzie. Nie był to bowiem najlepszy nastrój na robienie interesów. A my musimy dalej prowadzić interesy. Oto

sentencja dnia, a może nawet wieku. Tym właśnie różnił się od swojego młodszego brata: zdolnością odnajdywania najważniejszych rzeczy bez gubienia się w zewnętrznych rytuałach. Gdyby Vince też to potrafił, byłby mną, stwierdził Chic.

I pewnie by nie stracił żony.

I zgodnie z planem Maury'ego Frauenzimmerra zostałby przeniesiony osobiście do Seppa von Lessingera, w czas konferencji poświęconej inżynierii erzacyjnej odbywającej się w Nowym Jorku w 2023 roku, i dzięki eksperymentom von Lessingera z podróżowaniem w czasie mógłby wysłać psychiatrę do roku 1925 i wyleczyć Hitlera z paranoi. Prawdę mówiąc, sam von Lessinger poczynił pewne starania w tym kierunku, ale oczywiście gesowie zatrzymali dla siebie wszystkie wyniki. Musieli przecież chronić swój uprzywilejowany status, pomyślał Chic. A teraz von Lessinger już nie żyje.

Usłyszał, jak po prawej stronie coś zaskwierczało. Reklama, wyprodukowana przez Theodorusa Nitza, najgorszą ze wszystkich agencji, przyczepiła się do samochodu.

–Spadaj – ostrzegł ją.

Ale reklama przyłgnęła mocno i zaczęła skradać się pod wiatr w kierunku drzwi, do miejsca gdzie kończyły się wążutką szczeliną. Miała szansę wślizgnąć się do środka pojazdu i naprzykrzać się mu na swój nieznośny, tandetny sposób, właściwy produktom Nitza.

Mógł ją zabić. Była przecież żywa, wprost przerażająco śmiertelna; agencje reklamowe, naśladując naturę, wypuszczały je całymi hordami.

Zaraz po tym, jak zdołała przebrnąć przez szczelinę, niewiele większa od muchy reklama wybrzęczała tekst wiadomości:

–Czy nigdy nie mówiłeś sobie: “Założę się, że ludzie w restauracji mi się przyglądają”? Zastanawiałeś się, co począc z tak poważnym problemem, jakim jest budzenie powszechnego zainteresowania, zwłaszcza...

Chic rozdeptał ją butem.

Nicole Thibodeaux dowiedziała się, że premier Izraela przybył do Białego Domu i czeka teraz w Pokoju Kameliowym. Emil Stark był szczupły, wysoki i zawsze znał najnowszy dowcip o Żydach. (Pewnego dnia Bóg spotyka Jezusa, a ten ma na sobie... jak to dalej szło? Nie pamiętała, była zbyt senna). Tak czy inaczej, dzisiaj to ona miała dla niego dowcip. Komisja Wolffa przekazała jej raport.

Później, już w szlafroku i kapciach, wypiła kawę, przeczytała poranny “Times”, po czym odrzuciła gazetę i podniosła dokument komisji Wolffa. Kogo wybrali?

Hermann Goeringa. Wertowała szybko kartki i myślała, jak pięknie byłoby zwolnić generała Wolffa. Dowództwo armii wybrało człowieka z epoki barbarzyństwa. Wiedziała o tym, ale władze w Waszyngtonie zgodziły się pójść za rekomendacją generała Wolffa, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo przypominał typowego twarogłowego. Ujawniło to polityczną siłę Sztabu Generalnego armii.

Zawołała Leonorę, swoją sekretarkę.

–Powiedz Emilowi Starkowi, żeby wszedł. – Nie było sensu tego przedłużać. Zresztą Starkowi na pewno spodoba się ten wybór. Podobnie jak wielu innych, premier Izraela wyobrażał sobie, że Goering jest zwykłym klaunem. Nicole zaśmiała się złośliwie. Jeśli w to naprawdę wierzyli, chyba nigdy nie zagłębili się w dokumenty Trybunału Przestępstw Wojennych dotyczące drugiej wojny światowej.

–Panno Thibodeaux – rzekł Stark, wchodząc z uśmiechem na ustach.

–Goering – rzuciła Nicole.

–Oczywiście. – Stark nadal się uśmiechał.

–Ty głupcze – zdenerwowała się – nie rozumiesz, że on jest zbyt przebiegły dla nas?

–Pod koniec wojny stracił animusz – rzekł Stark grzecznie, siadając na stole naprzeciw niej. – Wplątany był w przegraną kampanię wojenną, podczas gdy gestapo i ludzie bliscy Hitlerowi, tacy jak Bormann, Himmler, Eichmann czy też czarne koszule, zyskiwali na znaczeniu. Jeden Goering rozumiał, co oznaczała przegrana kampania wojenna partii.

Nicole nic nie odpowiedziała. Była wyraźnie poirytowana.

–Ma pani coś przeciwko niemu? – spytał spokojnie Stark. – Wiem, że będzie to trudne, ale przedstawimy marszałkowi Rzeszy propozycję nie do odrzucenia, czyż nie? Można ją ująć w jednym zdaniu, a on zrozumie.

–O tak – zgodziła się Nicole. – Goering zrozumie. Zrozumie także to, że jeśli odrzuci naszą ofertę, zgodzimy się na mniej, a potem jeszcze mniej, aż wreszcie... – przerwała. To prawda, mam coś przeciwko niemu, pomyślała. Wydaje mi się, że von Lessinger miał rację w swoim ostatecznym stwierdzeniu: Nikt nie powinien zbliżać się do Trzeciej Rzeszy. Zadając się z psycholami, upodabniasz się do nich. Zaczynasz dostawać świra.

–Możemy ocalić sześć milionów Żydów, pani Thibodeaux – powiedział cicho Stark.

–Dobrze! – Nicole westchnęła. Spojrzała na niego ze złością, lecz premier izraelski

nie ugiął się pod jej spojrzeniem. Nie bał się jej. Nie miał w zwyczaju płaszczyć się przed kimkolwiek. Pokonał długą drogę, żeby dojść do stanowiska premiera i jego sukces na pewno nie stałby się faktem, gdyby miał inny charakter. Po prostu nie mógł być tchórzem. Izrael był, tak jak zawsze, małym narodem trwającym między wielkimi blokami, które w każdej chwili mogły zetrzeć go na proch. Stark nawet uśmiechnął się nieznacznie, a może jej się tylko wydawało? Jeszcze bardziej się zdenerwowała, bo poczuła swoją bezradność.

–Nie musimy teraz rozstrzygać tej kwestii – skończył dyskusję Stark. – Jestem pewien, że ma pani inne sprawy na głowie. Pewnie musi pani zaplanować wieczorną zabawę w Białym Domu. Wie pani chyba, że dostałem już zaproszenie. – Stark poklepał się po kieszeni płaszczka. – Obiecano nam pokazy talentów, prawda? Zawsze tak jest. – Jego głos brzmiał jak mruczenie, był łagodny i spokojny. – Mogę zapalić? – Wyciągnął z kieszeni płaskie złote pudełeczko, z którego wyjął cygaro. – Jeszcze nigdy takich nie próbowałem. Cygara filipińskie, z liści Isabela. I do tego skręcane ręcznie.

–Proszę bardzo – rzekła pochmurnie Nicole.

–Czy Herr Kalbfleisch pali? – dopytywał się Stark.

–Nie – odparta Nicole.

–Nie lubi także wieczorów muzycznych, które pani organizuje, prawda? To zły znak. Proszę sobie przypomnieć Juliusza Cezara Szekspira. Było tam coś takiego: “Nie wierzę mu, bo nie ma w nim muzyki”. Pamięta pani? “Nie ma w nim muzyki”. Czy tak można by opisać obecnego der Altel Niestety nigdy go nie spotkałem. Tak czy inaczej, miło było z panią porozmawiać, pani Thibodeaux, proszę mi wierzyć. – Oczy Emil Stark miał szare i wyjątkowo jasne.

–Dziękuję – warknęła Nicole, nie mogąc już doczekać się wyjścia premiera. Czuła, że miał nad nią przewagę w tej rozmowie, co nie dawało jej spokoju.

–Wie pani – ciągnął Stark – to dla nas bardzo trudne. Dla nas, Izraelczyków, kontakty z Niemcami są bardzo trudne. Nie mam wątpliwości, że ciężko by mi było porozumieć się z Herr Kalbfleischem. – Puścił dymek z cygara. Zapach zmusił ją do zmarszczenia nosa z niesmakiem. – Przypomina mi pierwszego derAlte, Herr Adenauera zdaje się, o ile dobrze pamiętam z taśm historycznych, które widziałem jako dziecko w szkole. Ciekawe, że rządził on o wiele dłużej, niż istniała Trzecia Rzesza... która miała przecież istnieć tysiąc lat.

–Tak – przytaknęła automatycznie.

–I może dzięki systemowi von Lessingera uda nam się to naprawić. – Teraz jego oczy zrobiły się skośne.

–Tak pan myśli? A mimo to chce pan...

–Wydaje mi się – przerwał jej Emil Stark – że nawet gdyby Trzecia Rzesza dysponowała wtedy odpowiednią bronią, po zwycięstwie trwałaby jeszcze najwyżej pięć lat, a bardzo prawdopodobne, że o wiele mniej. Była skazana na zagładę z natury rzeczy. W partii nazistowskiej nie istniał żaden mechanizm, za pomocą którego można by było wybrać następcę Fuhrera. Niemcy rozpadłyby się, stając się zbiorem małych, słabych, skłóconych ze sobą landów, tak jak to było przed Bismarckiem. Mój rząd jest tego pewien, pani Thibodeaux. Niech sobie pani przypomni, w jaki sposób Hess przedstawił Hitlera na jednym z wielkich zjazdów partii. Hitler ist Deutschland. “Hitler to Niemcy”. Miał rację. A więc, co mogło przyjść po Hitlerze? Tylko potop. Hitler o tym wiedział. Prawdopodobnie nawet świadomie poprowadził swój naród do przegranej. Choć jest to raczej pokrętna teoria psychoanalityczna. Osobiście uważam, że zbyt pokrętna, aby w nią uwierzyć.

Nicole odparła w zamyśleniu:

–Jeśli Goering zostanie przeniesiony ze swoich czasów do naszych, to czy chciałby pan z nim prowadzić dyskusje?

–Tak – rzekł Stark. – Właściwie nawet bardzo mi na tym zależy.

–Panu na tym zależy? – zdumiała się Nicole.

Stark kiwnął głową.

–Pewnie dlatego że jest pan duchowym ucieleśnieniem Światowego Żydostwa lub czegoś równie mistycznego w tym rodzaju.

–Dlatego że jestem przedstawicielem państwa Izrael – odparł Stark – i to najważniejszym przedstawicielem.

Zapadła chwila milczenia.

–Czy to prawda, że niedługo zamierzacie wysłać sondę na Marsa? – spytała Nicole.

–Nie sondę – poprawił ją Stark – ale transport. Niedługo założymy tam nasz pierwszy kibuc. Mars jest, że tak powiem, jednym wielkim Negewem. Pewnego dnia wyrosną tam gaje pomarańczowe.

–Szczęściarze – westchnęła Nicole.

–Słucham? – Stark nadstawił ucha, gdyż najwyraźniej nie dosłyszał.

–Macie szczęście. Do czegoś dążycie. My, w SZEA, mamy... – Zastanowiła się. –

Normy. Standardy. Jesteśmy pępkim kosmosu i nie chodzi mi tutaj wcale o podróże międzyplanetarne. A niech to, Stark, wyprowadzasz mnie z równowagi. Nie wiem nawet czemu.

–Powinna pani odwiedzić Izrael – stwierdził Stark. – Na pewno by się pani spodobał. Na przykład...

–Na przykład mogłabym się nawrócić – dokończyła Nicole. – Zmienić imię na Rebeka. Niech pan posłucha, Stark. Rozmawiam już z panem wystarczająco długo. Nie podoba mi się ten raport Wolffa. Według mnie sprawa jest zbyt ryzykowna. Babranie się w przeszłości, i to na wielką skalę, nawet jeśli w ten sposób można ocalić sześć czy osiem, czy nawet dziesięć milionów niewinnych istnień ludzkich... Niech pan przypomni sobie, co się stało, kiedy próbowaliśmy wysłać ludzi, którzy zabiliby Adolfa Hitlera we wczesnych latach jego kariery. Za każdym razem coś albo ktoś udaremnił nasze plany, a przecież próbowaliśmy siedem razy. Wiem, jestem przekonana, że byli to agenci z przyszłości, z naszych czasów albo nawet późniejszych. Jeśli jedna osoba może zabawiać się systemem von Lessingera, to równie dobrze mogą bawić się w to dwie osoby. Bomba w piwiarni, bomba w samolocie...

–Ale ta próba – przerwał jej Stark – bardzo spodoba się neonazistom. Możemy liczyć na ich współpracę.

–I w ten sposób chce pan mnie uspokoić? – spytała gorzko Nicole. – Pan najlepiej powinien wiedzieć, że to nam nie wróży najlepiej.

Przez pewien czas Stark nic nie mówił. Palił swoje filipińskie, skręcane ręcznie cygaro i patrzył na nią spode łba. Potem wzruszył ramionami.

–Nie będę się z panią dłużej spierać, pani Thibodeaux. Może ma pani rację. Muszę to lepiej przemyśleć i porozmawiać z moimi pracownikami. Spotkamy się wieczorem na występach. Czy będą grać Bacha albo Haendla? Lubię tych kompozytorów.

–Specjalnie dla pana będziemy mieli wieczór izraelski – rzekła Nicole. – Mendelssohn, Mahler, Bloch, Copeland, w porządku? – Uśmiechnęła się, a Emil Stark także odpowiedział uśmiechem.

–Czy mógłbym wziąć jakąś kopię raportu generała Wolffa? – spytał Stark.

–Nie – potrząsnęła głową. – To jest Geheimnis, ściśle tajne.

Stark podniósł brwi i przestał się uśmiechać.

–Nawet Kalbfleisch tego nie zobaczy – wyjaśniła.

Nie zamierzała podchodzić do niego, a Emil Stark z pewnością to zrozumiał. Przecież miał bardzo przenikliwy umysł. Podeszła do biurka i usiadła. Oczekując na jego wyjście, zaczęła przeglądać teczkę z notatkami, które zostawiła dla niej sekretarka, Leonora. Były dość nudne. Jeszcze raz wzięła się za czytanie pierwszej z notatek.

Było tam napisane, że łowczyni talentów Białego Domu, Janet Raimer, nie zdołała umówić na ten wieczór wielkiego, neurotycznego pianisty koncertowego Richarda Kongrosiana, gdyż opuścił on nagle swój letni dom w Jenner i pojechał do sanatorium na terapię elektro wstrząsową. I nikt nie miał się o tym dowiedzieć.

Niech to diabli, pomyślała rozgoryczona Nicole. Plany na dzisiejszy wieczór w gruzach. Równie dobrze mogłabym po prostu pójść po kolacji do łóżka. Bo Kongrosian nie tylko był jednym z najlepszych interpretatorów Brahmsa i Chopina, ale także ekscentrycznym mędrce.

Emil Stark puścił dymek z cygara i przyglądał się jej z zaciekawieniem.

–Czy nazwisko “Richard Kongrosian” mówi coś panu? – spytała podnosząc wzrok.

–Oczywiście. Dla niektórych kompozytorów romantycznych...

–Znów jest chory. Psychicznie. Po raz setny. A może pan o tym nie wiedział? Nie słyszał pan plotek? – Ze zdenerwowaniem odrzuciła notatkę, która spadła na posadzkę. Czasami wołałabym, żeby już popełnił samobójstwo lub umarł z powodu pękniętego jelita albo jakiejś innej choroby, na którą cierpi, pomyślała. I to najlepiej jeszcze w tym tygodniu.

–Kongrosian to wielki artysta – pokiwał głową Stark. – Rozumiem pani zdenerwowanie. W naszych chaotycznych czasach, pełnych takich miernot jak Synowie Hioba paradujący po ulicach, wulgarni i prymitywni, którzy niedługo już umocnią swoje szanse...

–Tacy długo nie pociągną – rzekła cicho Nicole. – Więc niech pan się raczej martwi o co innego.

–A więc wydaje się pani, że wszystko jest pod kontrolą. – Stark pozwolił sobie na krótki, zimny grymas.

–Bertold Goltz jest najniższym z besów. To po prostu klaun.

–Jak Goering, co?

Nicole nie odpowiedziała, ale zamrugnęła powiekami. Stark dostrzegł to chwilowe wahanie. Znowu skrzywił twarz, tym razem niechcący. Wyglądał na wyraźnie

zmarłego. Nicole wzruszyła ramionami.

W małym budynku na tyłach Złomowiska Numer Trzy siedział Al Miller z założonymi na stół nogami, palił cygaro Upmanna i przyglądał się przechodniom, ludziom i sklepom w centrum Reno w Nevadzie. Poprzez blask bijący od nowych blaszanych statków, zaparkowanych pod powiewającymi chorągiewkami i spowitych serpentynami, ujrzał jakiś przyczajony kształt, kryjący się pod ogromną reklamą z napisem "Stuknięty Luke".

Nie był jedyną osobą, która dostrzegła ten kształt. Po chodniku szedł mężczyzna z kobietą i małym chłopcem drepczącym przed nimi. W pewnym momencie chłopiec zaczął podskakiwać z podniecenia, machając do ojca.

–Tato, popatrz! Przecież to papula!

–Do licha – rzekł mężczyzna z uśmiechem na ustach – rzeczywiście. Patrz, Marion, pod tą reklamą chowa się jedna z tych marsjańskich istot. Może podejmiemy i pogawędzimy?

Razem z chłopcem ruszył w kierunku stworzenia. Kobieta jednak nie zmieniła kierunku i dalej szła chodnikiem.

–Mamo, chodź! – krzyczał do niej chłopiec.

Siedzący w swoim biurze Al Miller lekko dotknął przycisków mechanizmu ukrytego w koszuli. Przysadzista papula wychyliła się spod reklamy i zakołysała na sześciu nogach. Jej okrągły, dziwaczny kapelusz zsunął się na jedną antenę, a oczy krążyły po okolicy. Namierzyła kobietę i ruszyła za nią ku ucieczce chłopca i jego ojca.

–Patrz, tato, idzie za mamą! Mamo! Mamo, odwróć się i popatrz!

Kobieta spojrzała do tyłu, ujrzała śledzący ją organizm o pomarańczowym ciele, które kształtem przypominało chrząszcza, i roześmiała się. Wszyscy kochają papule, pomyślał Al. I lubią je oglądać. No, papula, powiedz dzień dobry tej miłej pani, która się do ciebie śmieje.

Al przejrzał myśli papuli skierowane do kobiety. Witaa ją, mówiła, jak miło jest się z nią spotkać, przymilała się i płaszczyła, aż kobieta zawróciła i podeszła do męża i syna. Teraz wszyscy troje stali razem i przyjmowali impulsy psychiczne wysyłane przez marsjańską istotę, która przybyła na Ziemię bez żadnych wrogich zamiarów, nie była bowiem zdolna do wyrządzenia zła. Papula ich lubiła, tak jak oni lubili ją. Powiedziała im to nawet, przesłała wyrazy czułości i gościnności, do czego była przyzwyczajona na swojej planecie.

Mężczyzna i kobieta musieli z pewnością myśleć, że Mars jest wspaniałą planetą. Papula przesyłała im swoje wspomnienia i zwyczaje. Nie była tak zimna i schizoidalna jak społeczność Ziemi. Nikt nie szpiegował tam nikogo, nikt nie zdawał kolejnych testów z rel-polu, nie składał co tydzień raportów komitetom bezpieczeństwa budynku.

Pomyślcie tylko, mówiła papula, podczas gdy trójka Ziemiaków stała jak wmurowana, niezdolna uczynić kroku. Tam jesteście panami własnego losu, możecie pracować na własnej ziemi, wierzyć w to, w co chcecie wierzyć, możecie być naprawdę sobą. Popatrzcie tylko na siebie. Boicie się nawet stać tutaj i słuchać. Boicie się...

–Lepiej... chodźmy już – rzekł nerwowo mężczyzna do żony.

–O nie – prosił chłopiec – przecież tak rzadko można spotkać papulę na ulicy i porozmawiać z nią. Pewnie przyszła ze złomowiska – wskazał ręką, a Al znalazł się pod dokładną obserwacją mężczyzny.

–Jasne. Sprowadzili ją tutaj, żeby sprzedawać te cholerne blaszaki. Właśnie nas urabia, zmiękcza – pokiwał głową mężczyzna. Zauroczenie znikło z jego twarzy. – Przecież tam siedzi jakiś facet, który nią steruje.

Ale papula wciąż mówiła, że wszystko, co usłyszał, jest prawdą. Nawet jeśli w ten sposób reklamowała blaszane statki na Marsa. Mógł osobiście tam polecieć. Mógł wraz z całą rodziną zobaczyć wszystko na własne oczy, jeśli tylko miał odwagę się uwolnić. Czy był w stanie? Czy jest prawdziwym mężczyzną? Powinien kupić statek od Stukniętego Luke'a. Póki jeszcze jest taka szansa, bo przecież pewnego dnia, może już niedługo, PP uderzy. I nie będzie już złomowisk ze statkami. Nie będzie już wyłomu w murze autorytarnej społeczności, przez który nieliczni, naprawdę nieliczni szczęściarze mogli uciec.

Przeskakując palcami po klawiszach przy koszuli, Al podkreślił gałkę mocy. Siła oddziaływania papuli wzrosła, przyciągając mężczyznę jak magnes, biorąc nad nim górę.

Musisz kupić statek, przekonywała papula. Oferujemy korzystny system rat, gwarancję obsługi i wiele modeli do wyboru. Czas podpisać umowę, nie zwlekaj. Mężczyzna uczynił krok w kierunku zaparkowanych statków. Pospiesz się, nalegała papula. W każdej chwili władze mogą zamknąć fabrykę i taka szansa nie nadarzy się już nigdy.

–Tak właśnie to robią – powiedział z wyraźnym wysiłkiem mężczyzna.

–To zwierzę zastawia sidła na ludzi. Hipnotyzuje. Musimy iść. – Ale nie odszedł. Było za późno. Miał zamiar kupić statek, a Al, siedząc w biurze, złapał go już na haczyk i holował w swoją stronę.

Zadowolony Al podniósł się na równe nogi. Czas już było wyjść i ubić interes. Wyłączył papulę, otworzył drzwi biura i wyszedł na parking.

Ujrzał znajomą sylwetkę idącą ku niemu pomiędzy blaszakami. Był to jego dawny kolega, Ian Duncan, którego nie widział już od lat. A niech to, czego on może chcieć? I to akurat w takim momencie!

–Al! – zawołał Ian Duncan, machając ręką. – Możemy chwilę porozmawiać? Nie jesteś zajęty? – Ciężko dysząc podszedł bliżej i rozglądał się dookoła w zdenerwowaniu. Wyraźnie stoczył się na dno od czasu, kiedy widzieli się ostatni raz.

–Słuchaj... – rzekł ze złością Al, ale było już za późno. Para z dzieckiem wyrwała się spod działania papuli i szybko odchodziła.

–Nie chciałem ci przeszkadzać – wymamrotał Ian.

–Nie przeszkadzasz – odparł głucho Al, patrząc, jak trójka straconych klientów oddala się od niego. – Co się stało, Ian? Co u diabła, nie wyglądasz najlepiej. Chory jesteś? Wejź do biura. – Wprowadził go do środka i zamknął drzwi.

–Przyszedłem w związku z butelkami – rzucił Ian. – Pamiętasz, jak staraliśmy się dostać do Białego Domu? Al, musimy spróbować jeszcze raz. Bóg mi świadkiem, że nie mogę już tak dalej. Nie jestem w stanie zrozumieć naszej porażki w dziedzinie, która wydawała nam się najważniejsza w życiu. – Zdyszany, wytarł wilgotne czoło chusteczką, którą trzymał w trzęsących się rękach.

–Ale ja już nawet nie mam mojej butelki – odparł Al.

–Nieważne. Możemy zagrać swoje partie oddzielnie na mojej i zmiksować nagranie. Potem damy to do Białego Domu. Czuję się jak w pułapce i nie mogę już tak dalej żyć. Muszę znowu grać. Jeśli natychmiast zaczniemy ćwiczyć Wariacje Goldberga, za dwa miesiące...

–Nadal mieszkasz tam gdzie zwykle? W tym wielkim Abrahamie Lincolnie? – przerwał mu Al.

Ian przytaknął.

–I nadal pracujesz w kartelu bawarskim? Jesteś tam inspektorem? – Nie mógł zrozumieć, dlaczego Ian Duncan jest tak zdenerwowany. – Do diabła, w najgorszym wypadku wyemigrujesz. Gra na butelce nie wchodzi w rachubę. Nie grałem od lat, od kiedy się nie widzieliśmy. Poczekaj chwilę. – Uruchomił przyciski mechanizmu kontrolującego papulę. Znajdująca się na chodniku istota ruszyła w kierunku swojej kryjówki pod reklamą.

–Wydawało mi się, że wszystkie wymarły – rzekł Ian.

–I dobrze ci się wydawało.

–Ale ta na chodniku rusza się i...

–To podróba – wyjaśnił Al. – Konstruktor podobny do tych, jakich używają do kolonizacji. Ja nią kieruję. – Pokazał kumplowi z dawnych lat panel kontrolny. – W ten sposób ściągam ludzi z chodnika. Podobno Lukę ma prawdziwą papulę, oryginał, według którego produkowane są duplikaty. Ale nikt nie wie, czy to prawda i prawo nie może Luke'owi nic zrobić. PP nie może zmusić go do wydania prawdziwej papuli, jeśli Lukę rzeczywiście ją gdzieś trzyma. – Al usiadł i zapalił fajkę. – Oblej test z rel-polu – poradził. – Stracisz mieszkanie i odbierzesz swój depozyt. Przynieś pieniądze, a ja gwarantuje ci, że dostaniesz ten przeklęty statek, który zawiezie cię na Marsa. I co ty na to?

–Próbowałem oblać test – odparł Ian – ale się nie udało. Sfałszowali wyniki. Nie chcą, żebym się wyniósł. Nie puszczą mnie.

–Kim są ci “oni”?

–Facet w mieszkaniu obok, z mojego budynku. O ile pamiętam, nazywa się Edgar Stone. Zrobił to celowo. Widziałem wyraz jego twarzy. Może wyobrażał sobie, że oddaje mi przysługę... nie wiem. – Rozejrzał się dookoła. – Masz ładne, małe biuro. Śpisz tutaj, co? A kiedy biuro się przenosi, przenosisz się razem z nim.

–Tak – powiedział Al. – Zawsze jesteśmy gotowi przenieść interes. – Już wiele razy PP prawie go łapała, chociaż mógł osiągnąć szybkość orbitalną w ciągu zaledwie sześciu minut. Papula wykrywała, kiedy się zbliżali, ale nie na tyle wcześnie, żeby miał dość czasu na ucieczkę. Zazwyczaj wszystko odbywało się w wielkim pośpiechu i rozgardiaszu, a część statków pozostawała na miejscu.

–Wciąż depczą ci po piętach – zadumał się Ian. – A mimo to się nie przejmujesz. Chyba taki już masz charakter.

–Jeśli mnie dopadną – ciągnął Al – Lukę zapłaci za mnie kaucję. – Po co miał się więc przejmować? Jego pracodawca był wpływowym człowiekiem. Klan Thibodeaux ograniczał swoje ataki na niego do artykułów pojawiających się w popularnych czasopiśmie, traktujących o wulgarności Luke'a i lichej jakości jego statków.

–Zazdroszczę ci – rzekł Ian. – Twojej równowagi. Twojego spokoju.

–Czy w twoim budynku nie ma duszpasterza? Idź, pogadaj z nim.

–Nie mam po co – odparł gorzko Ian. – Jest nim teraz Patrick Doyle, który ma tego

wszystkiego równie dość jak ja. A Don Tishman, nasz przewodniczący, jest jeszcze gorszy. To po prostu kłębek nerwów. Prawdę mówiąc, cały nasz budynek jest nieźle naładowany adrenaliną. Może ma to coś wspólnego z bólami głowy Nicole.

Al spojrzał na niego ze zdziwieniem, ale dostrzegł, że Ian mówi poważnie. Biały Dom i wszystko, co się z nim wiązało, miało dla niego ogromne znaczenie. Podobnie jak przed wielu laty, kiedy byli kumplami.

–Robię to tylko dla ciebie – rzekł cicho Al. – Odnajdę butelkę i będę ćwiczył. Spróbujemy jeszcze raz.

Ian Duncan patrzył na niego, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa.

–Mówię poważnie – skinął głową Al.

–Niech Bóg ma cię w swojej opiece, Al – wyszeptał z wdzięcznością Ian. Al Miller z zasmuconą twarzą tylko pykał z fajki.

Mała fabryka, w której pracował Chic Strikerock, wyrastała przed nim do swoich normalnych rozmiarów. Ta przypominająca swoim wyglądem pudło na kapelusze jasnozielona struktura była całkiem nowoczesna jak na niezbyt wyszukany gust Frauentzimmer Associates. Wkrótce Chic wejdzie do swojego biura i blindami będzie starał się przysłonić jasne, poranne słońce padające na pannę Gretę Trupę, podstarzałą sekretarkę, która pracowała dla niego i Maury'ego.

Co za wspaniałe życie, pomyślał Chic. Ale może od wczoraj firma już nie istnieje. Nie zdziwiłoby go to i pewnie także nie zmartwiło zbytnio. Chociaż oczywiście oznaczałoby straty dla Maury'ego, a on lubił swojego szefa, pomimo że ciągle się spierali. Mała firma bardzo przypominała małą rodzinę. Każdy znał tutaj każdego i wiedział o nim wszystko. Stosunki były znacznie bardziej intymne niż między pracownikami i pracodawcami takich bezosobowych organizacji jak choćby kartele.

Zdecydowanie bardziej mu się tu podobało. Wolał tę intymność. Wydawało mu się, że w luźnych i wysoce zbiurokratyzowanych stosunkach międzyosobowych, panujących w holach ogromnych i silnych korporacji, czai się coś niesamowitego. Fakt, że Maury był drobnym przedsiębiorcą, podobał mu się. Stanowiło to coś w rodzaju przedłużenia dobrego starego dwudziestego wieku.

Zaparkował samochód na parkingu obok podstarzałego auta Maury'ego, wysiadł i z rękami w kieszeniach podszedł do znajomego wejścia.

Małe, ciasne biuro ze stertami nieotwartych i pozostawionych bez odpowiedzi listów, kubków po kawie, książek, zgniecionych rachunków i ściennych kalendarzy, pachniało kurzem, jakby okna nigdy nie były tu otwierane, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza i światła dnia. Po drugiej stronie pokoju siedziały, zajmując

większą część wolnej przestrzeni, cztery milczące simulakra: mężczyzna, kobieta i dwójka dzieci. Był to podstawowy punkt katalogu produktów firmy: "rodzina z sąsiedztwa".

Mężczyzna manekin wstał i powitał go uprzejmie:

–Dzień dobry, panie Strikerock.

–Maury już dotarł? – spytał, rozglądając się dookoła.

–W pewnym sensie tak – odparł manekin. – Wyszedł, żeby kupić poranną porcję kawy i pączek.

–Świetnie – stwierdził Chic i zdjął kapelusz. – To jak, gotowi jesteście do podróży na Marsa? – spytał manekiny, wieszając płaszcz.

–Tak, panie Strikerock – rzekła kobieta manekin, kiwając głową. – Nie możemy się już doczekać. – Na jej twarzy ukazał się wymuszony uśmiech. – Opuszczenie Ziemi i ucieczka od represyjnego prawa będzie dla nas zbawieniem. Właśnie słuchaliśmy w radiu wiadomości dotyczących ustawy McPhearsona.

–Uważamy, że jest straszna – wtrącił mężczyzna.

–Zgadza się z wami – rzekł Chic. – Ale co można na to poradzić? – Rozejrzał się w poszukiwaniu poczty. Jak zwykle była zakopana gdzieś pod kupą śmieci.

–Można emigrować – zauważył mężczyzna manekin.

–Uhm – potwierdził machinalnie Chic. Właśnie znalazł nieoczekiwane plik wyglądających na świeże rachunków od dostawców części. Ze smutkiem, a nawet przestraszonym zaczął je przeglądać. Czy Maury już je widział? Pewnie tak. Widział i natychmiast usunął z pola widzenia. Firma Frauentzimmer Associates funkcjonowała lepiej, kiedy nie przypomniano jej o rzeczywistości. Jak opóźniony neurotyk musiała chować niektóre aspekty rzeczywistości przed swoim systemem percepcji po to, żeby w ogóle jakoś funkcjonować. Nie było to może najlepsze wyjście, ale czy istniała jakaś alternatywa? Realizm oznaczałby poddanie się, śmierć. Z natury infantylne iluzje były podstawą przeżycia malutkiej firmy. Przynajmniej tak wydawało się jemu i Maury'emu. Obydwaj przyjęli taką zasadę. Ich manekiny – osobniki dorosłe – nie mogły się z tym pogodzić. Chłodny, logiczny sposób pojmowania rzeczywistości przez simulakra kontrastował ze sposobem myślenia obu mężczyzn i Chic zawsze czuł się w obecności konstruktów obnażony i zawstydzony. Wiedział, że powinien być dla nich lepszym przykładem.

–Gdyby kupił pan statek i wyemigrował na Marsa – zaczął mężczyzna – bylibyśmy pana rodziną z sąsiedztwa.

–Ale wtedy nie potrzebowałbym żadnej rodziny w sąsiedztwie – odpadł Chic. – Zrobiłbym to po to, żeby uciec od ludzi.

–Bylibyśmy dla pana bardzo dobrymi sąsiadami – stwierdziła kobieta.

–Słuchajcie – zdenerwował się Chic. – Nie musicie dawać mi wykładu na temat waszych zalet. – Wiedział przecież więcej od nich. I całe szczęście. Ich pewność siebie i głęboka szczerłość podobała mu się, ale jednocześnie drażniła. Pomyślał, że siedzące przed nim manekiny byłyby mimo wszystko bardzo kiepskimi sąsiadami. A jednak tego właśnie chcieli i potrzebowali emigranci żyjący w prawie bezludnych regionach. Wiedział o tym. Musiał wiedzieć, bo na jego wiedzy opierało się funkcjonowanie firmy.

Emigrujący człowiek mógł kupić sobie sąsiadów, symulowaną obecność życia, dźwięk i widok ludzkiej aktywności, lub przynajmniej jej mechaniczny substytut, by podwyższyć swoje morale w nowym, nieznanym środowisku z zupełnie nowymi bodźcami albo, co gorsza, bez żadnych bodźców. Poza tą podstawową, psychologiczną zaletą była jeszcze druga, całkiem praktyczna. Grupa manekinów typu “rodzina z sąsiedztwa” obsiewała i nawadniała ziemię, czyniła ją zdatną do uprawy. Korzystali na tym osadnicy, bo “rodzina z sąsiedztwa” zajmowała jedynie mały skrawek ziemi. Prawdę mówiąc, nie mieszkała wcale po sąsiedzku, stanowiła raczej część otoczenia właściciela. Komunikacja z simulakrami była w istocie dialogiem osadników z ich własnym ja. Prawidłowo funkcjonująca “rodzina z sąsiedztwa” przejmowała ukryte nadzieje i marzenia osadnika i wyrażała je w formie artykułowanej. Z terapeutycznego punktu widzenia miała ogromne znaczenie, ale pod względem rozrywki kulturalnej była całkowicie jałowa.

–Przyszedł pan Frauenzimmer – stwierdził z szacunkiem mężczyzna manekin.

Podnosząc głowę Chic ujrzał, jak drzwi do biura otwierają się powoli. Po chwili pojawił się w nich Maury z kubkiem kawy i pączkiem.

–Słuchaj, stary – rzucił ciężko. Był niskim, okrągłym, spoconym mężczyzną podobnym do odbicia w krzywym zwierciadle. Jego nogi wyglądały niepewnie, jakby ledwo utrzymywały ciężar ciała. Przy chodzeniu kołysał się na wszystkie strony. – Przykro mi, ale wygląda na to, że będę musiał cię zwolnić.

Chic patrzył na niego w osłupieniu.

–Nie mogę tego dłużej ciągnąć – stwierdził Maury. Schwycił swoimi grubymi, poplamionymi palcami ucho kubka z kawą i zaczął szukać wzrokiem miejsca między papierami i książkami walającymi się po stole, gdzie mógłby umieścić go wraz z pączkiem.

–A niech to... – odparł Chic dość niepewnie.

–Wiedziałeś, że tak się stanie. – Głos Maury'ego zmatowiał. – Obydwaj to wiedzieliśmy. Co mam zrobić? Od wielu tygodni nie wpadło nam żadne większe zlecenie. Nie mam do ciebie pretensji. Zrozum. Spójrz tylko na tę rodzinę z sąsiedztwa. Siedzą i nic. Powinniśmy byli sprzedać ich dawno temu. – Maury wyciągnął swą wielką, irlandzką lnianą chusteczkę i wytarł czoło. – Przepraszam cię, Chic. – Spojrzał z poczuciem winy na swego pracownika.

–Co za przykra rozmowa – stwierdził mężczyzna manekin.

–Też mi się tak wydaje – przytaknęła jego partnerka.

–Może zajęlibyście się własnymi sprawami, co? – zdenerwował się Maury. – Czy ktoś prosił o waszą sztuczną, zmyśloną opinię?

–Zostaw ich w spokoju – mruknął Chic. Był całkowicie zamroczony złymi wieściami. Mimo że rozumem przeczuwał taką możliwość, emocjonalnie był na nią kompletnie nieprzygotowany.

–Jeśli odejdzie pan Strikerock, my także odchodzimy – zdecydował mężczyzna manekin.

–A co wy mnie obchodzie? – warknął Maury. – Jesteście tylko bandą artefaktów. Siedźcie cicho, kiedy rozmawiamy. I bez was mam wystarczająco dużo problemów. – Otworzył poranną "Chronice". – Cały świat zmierza ku końcowi. Tu nie chodzi tylko o nas, Chic, nie tylko o Frauentzimmer Associates. Posłuchaj tego kawałka: "Ciało Orleya Shorta, konserwatora, zostało dziś znalezione na dnie kadzi z gęstniejącą czekoladą w zakładach St Louis Candy Company". – Podniósł głowę. – Rozumiesz? Gęstniejąca czekolada, o to właśnie chodzi. Tak właśnie żyjemy. Ale słuchaj dalej. "Niski, 53-letni mężczyzna nie wrócił wczoraj z pracy i...".

–Dobra – przerwał mu Chic. – Rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć. Znak czasów.

–Oczywiście. Zmiana panujących obecnie warunków nie leży w gestii jednostki. Bo wszyscy są fatalistami. Kompletnie zrezygnowali. Ja też czuję się zrezygnowany, kiedy widzę, że Frauentzimmer Associates zostanie zamknięta na głucho. Tak się na pewno stanie, i to już wkrótce. – Ze smutkiem spojrzął na "rodzinę z sąsiedztwa". – Nie wiem, po cośmy was skonstruowali. Powinniśmy byli zmajstrować grupkę ulicznych dziwek, puszczalskich z taką tylko dozą klasy, by mogła się nimi zainteresować burżuazja. Posłuchaj, Chic, jak kończy się ten straszny artykuł w gazecie. Wy, manekiny, też sobie posłuchajcie. Może da wam to wyobrażenie o świecie, w jakim zostaliście stworzeni. "Jak stwierdziła policja, jego szwagier, Antonio Costa, przyjechał do fabryki i znalazł krewnego pod półtorametrową warstwą czekolady". – Maury ze złością zamknął gazetę. – Jak można spokojnie przyjąć takie

coś do swojego Weltanschauung, światopoglądu? Przecież to okropne. To wytrąca człowieka z równowagi. A najgorsze, że cała ta historia jest tak straszna, że aż prawie zabawna.

Zapadło milczenie, po czym mężczyzna manekin, odpowiadając bez wątpienia na jakieś podświadome pytanie Maury'ego, rzekł:

–Z pewnością nie jest to właściwa pora na uchwalanie ustawy McPhearsona. Potrzebujemy pomocy psychiatrycznej od każdego, kto może nam jej udzielić.

–“Pomocy psychiatrycznej” – powtórzył przedrzeźniając go Maury. – O tak, świetna rada, panie Jones. Smith, czy jak tam was nazwaliśmy. Panie sąsiedzie zza ściany, to by ocaliło Frauenzimmer Associates. Trochę psychoanalizy po dwieście dolarów za godzinę przez dziesięć lat. Przecież tyle mniej więcej trwa kuracja. O Boże! – Odwrócił się zde gustowany od manekina i zaczął jeść pączek.

–Dasz mi jakieś referencje? – spytał Chic.

–Pewnie – odparł Maury.

Może będę musiał zacząć pracować dla Karp und Sohnen, pomyślał Chic. Jego brat Vince, zatrudniony tam ges, mógł załatwić mu jakąś pracę. Było to lepsze niż nic, lepsze niż dołączenie do grona żalonych bezrobotnych, najniższej warstwy besów, nomadów, którzy tłoczyli się na powierzchni, zbyt biednych, żeby choćby emigrować. A może powinien wyemigrować. Może nadeszła już pora. Należy spojrzeć na to realnie. Przynajmniej raz porzucić dziecinne ambicje, które kierowały nim od tak dawna.

Ale była jeszcze Julie. Co z nią? Żona jego brata beznadziejnie komplikowała całą sytuację. Na przykład, czy powinien czuć się teraz odpowiedzialny za nią finansowo? Trzeba omówić to z Vince'em, stanąć z nim twarzą w twarz. Niezależnie od tego, czy chciałby pracować w Karp und Sohnen, czy nie.

Głupio byłoby prosić teraz Vince'a o przysługę. Sprawa z Julią wypłynęła w złym momencie.

–Słuchaj, Maury – zaczął Chic. – Nie możesz mnie teraz wywalić. Mam problem. Jak mówiłem ci przez telefon, pewna dziewczyna, która...

–W porządku.

–S-słucham?

Maury Frauenzimmer westchnął.

–Powiedziałem, w porządku. Zatrzymam cię jeszcze na trochę. Przyspieszy to bankructwo Frauentzimmer Associates. Ale co z tego? – wzruszył ramionami. – So geht das Leben, takie jest życie.

Jeden z manekinów dzieci powiedział do mężczyzny manekina:

–Czyż on nie jest dobrym człowiekiem, tato?

–Tak, Tommy – odparł mężczyzna kiwając głową. – Z pewnością. – Poklepał chłopca po ramieniu. Cała rodzina była uśmiechnięta.

–Zatrzymam cię do przyszłej środy – zdecydował Maury. – To wszystko, co mogę zrobić, ale może jakoś ci to pomoże. Potem... nie wiem, co będzie. Nie potrafię nic przewidzieć. Choć czasami mam jakieś przeczucia. Przecież często intuicja mi podpowiadała, co może się stać w przyszłości. Ale w tym wypadku nic mi nie przychodzi do głowy. Jeśli o mnie chodzi, to wszystko mnie przerasta.

–Dzięki, Maury – rzekł Chic.

Z pochmurną miną Maury Frauentzimmer powrócił do czytania porannej gazety.

–Może do następnej środy wydarzy się coś dobrego – rozmarzył się Chic. – Coś nieoczekiwanego. – Może jako kierownik sprzedaży zorganizuję jakieś wielkie zamówienie, pomyślał.

–Może – odparł z niedowierzaniem Maury.

–Naprawdę będę się starać – zapewniał Chic.

–Pewnie – zgodził się Maury. – Staraj się, Chic. – Jego głos był niski i pełen rezygnacji.

Dla Richarda Kongrosiana ustawa McPhearsona była prawdziwym przekleństwem, ponieważ w jednej chwili przekreślała podstawową podporę jego życia, czyli doktora Egona Superba. Kongrosian pozostał na łasce swej dawnej choroby, która akurat w tym momencie przejęła nad nim całkowitą kontrolę. Dlatego opuścił Jenner i dobrowolnie wprowadził się do Szpitala Neuropsychiatrycznego Franklina Aimesa w San Francisco. Dobrze znał ten szpital. W czasie ostatnich dziesięciu lat był tam częstym bywalcem.

Jednak tym razem prawdopodobnie już stąd nie wyjdzie. Tym razem jego choroba osiągała stan zbyt zaawansowany.

Wiedział, że jest anankastykiem, osobą, dla której rzeczywistość zmniejszyła się do rozmiarów natręctwa. Wszystko, co robił, było na nim wymuszane. Nie był w stanie zrobić nic dobrowolnie, spontanicznie. Co gorsza, uwikłał się w tę historię z reklamą Nitza. Prawdę mówiąc, miał ją wciąż przy sobie. Stale nosił ją ze sobą w kieszeni.

Wyciągnął ją teraz i włączył, słuchając po raz kolejny jej kiepskiego przekazu. Reklama piszczała:

–W każdej chwili można obrzydzić komuś życie, dosłownie w każdym momencie! – W jego umyśle pojawiła się następująca scena: przystojny czarnowłosy mężczyzna pochyla się ku obdarzonej obfitym biustem blondynce, ubranej tylko w kostium kąpielowy, i stara się ją pocałować. Nagle jednak wyraz zachwyty malujący się na twarzy dziewczyny zmienia się w obrzydzenie. Reklama krzyknęła: – Widzicie? Nie zabezpieczył się przed nieprzyjemnym zapachem ciała!

To ja, pomyślał Kongrosian. Śmierdę. Przez reklamę nabawił się fobii dotyczącej zapachu ciała. Został skażony jej przekazem i nie mógł teraz w żaden sposób uwolnić się od tej myśli. Już od paru tygodni próbował różnych sposobów obmywania się i splukiwania, ale nic to nie dawało.

Taki był właśnie cały problem z fobiami. Kiedy już raz człowiek został nimi skażony, nie mógł się od nich uwolnić. Wprost przeciwnie, czuł je coraz wyraźniej. W tym stadium nie ośmielał się już podchodzić do ludzi. Musiał trzymać się od nich w odległości kilku metrów, żeby nie mogli poczuć jego zapachu. Wiedział, że nie ma szans u blondynki z obfitym biustem.

Jednocześnie jednak wiedział, że zapach ten jest tylko iluzją, że nie istnieje, jest jedynie obsesyjną myślą. Nic mu to jednak nie pomagało. I tak nie śmiał zbliżyć się do ludzkiej istoty na mniej niż kilka metrów. Niezależnie od tego, czy była obdarzona obfitym biustem, czy nie.

Akurat w tym momencie poszukiwała go Janet Raimer, główny łowca talentów z Białego Domu. Gdyby go odnalazła, nawet tutaj, w jego prywatnym pokoju w szpitalu, chciałyby się z nim spotkać, próbowałyby się do niego zbliżyć, a wtedy cały jego świat ległby w gruzach. Lubił Janet. Była w średnim wieku, miała poczucie humoru i była wesoła. Jak mógłby pozwolić, by wyczuła straszny smród bijący od jego ciała, a przekazany mu przez reklamę? Nie mógł do tego dopuścić. Dlatego siedział teraz za stołem w rogu pokoju, splatając i rozplatając palce, i zastanawiał się, co począć dalej.

Chyba powinien do niej zadzwonić. Wierzył jednak, że zapach może się rozprzestrzeniać poprzez kable telefoniczne, a wtedy i tak by go poczuła. Nie miało to więc sensu. Może telegram? Nie, smród przeszedłby także na telegram.

Prawdę mówiąc, wyimaginowany zapach jego ciała mógł skazić cały świat. Przynajmniej teoretycznie było to możliwe. Musiał jednak utrzymywać jakieś kontakty z ludźmi. Na przykład miał zamiar zadzwonić niedługo do syna, Plautusa Kongrosiana, który mieszkał w Jenner. Niezależnie od tego, jak bardzo by się starał, nie udałooby mu się przecież wykluczyć wszelkich kontaktów międzyludzkich.

Czy A. G. Chemie mi pomoże? – pomyślał. Mogli wymyślić nowy, super-mocny syntetyczny detergent, który usunie przykry zapach przynajmniej na jakiś czas. Czy znam tam kogoś, z kim mógłbym porozmawiać? Usilnie przeszukiwał pamięć. W Houston, w Teksasie, w zarządzie Symphony na pewno...

Nagle zadzwonił telefon. Kongrosian zakrył dokładnie ekran ręcznikiem.

–Słucham – rzekł, stojąc w odpowiedniej odległości od telefonu i mając nadzieję, że w ten sposób zapach nie przeniknie. Oczywiście była to wątpliwa nadzieja, ale przynajmniej się starał.

–Tu Biały Dom w Waszyngtonie – dobiegł go głos z telefonu. – Dzwoni Janet Raimer. Proszę bardzo, pani Raimer. Mam pokój pana Kongrosiana.

–Cześć, Richard – powiedziała Janet Raimer. – Co się dzieje z twoim ekranem?

Kongrosian przyciśnięty do przeciwległej ściany, w jak najdalszej odległości od telefonu, odparł:

–Nie powinnaś była mnie szukać, Janet. Wiesz, jaki jestem chory. Jestem w daleko posuniętym stadium obsesji, najgorszym, jakiego kiedykolwiek doświadczyłem. Naprawdę wątpię, czy kiedykolwiek jeszcze zagram przed publicznością. Ryzyko jest zbyt duże. Widziałaś chyba artykuł w dzisiejszej gazecie o tym mężczyźnie w fabryce słodczy, który wpadł do kadzi z gęstniejącą czekoladą. Ja to zrobiłem.

–Ty?! Jak?

–Psionicznie. Oczywiście całkiem niechęć. W chwili obecnej jestem odpowiedzialny za wszystkie psychomotoryczne wypadki, jakie zdarzają się na świecie. Dlatego właśnie schroniłem się tutaj, w szpitalu, i czekam na kurację elektrowstrząsami. Nadal w nią wierzę, chociaż nikt jej już nie stosuje. Leki na mnie w ogóle nie działają. Kiedy śmierdzi się tak jak ja, Janet, żadne leki nic...

–Nie wydaje mi się, żebyś śmierdział aż tak bardzo, Richard – przerwała mu Janet Raimer. – Znam cię od wielu lat i jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, żebyś mógł śmierdzieć naprawdę tragicznie, a w każdym razie na tyle odrażająco, żeby mogło to wpłynąć na zakończenie twojej wspaniałej kariery.

–Dzięki za lojalność – odparł smutno Kongrosian – ale ty po prostu tego nie rozumiesz. To nie jest zwykły zapach fizyczny, sama myśl. Wyślę ci kiedyś jakiś tekst na ten temat, może Bingswängera albo innego z psychologów egzystencjalnych. Oni w pełni rozumieli mnie i mój problem, choć żyli sto lat temu. Nie ma wątpliwości, że byli jasnowidzami. Tragedia polega na tym, że choć Minkowski, Kuhn i Bingswänger rozumieli mnie, w żaden sposób nie mogli mi pomóc.

–Pierwsza Dama z niecierpliwością oczekuje twojego rychłego ozdrowienia – stwierdziła Janet.

Co za idiotyczna uwaga!

–Kurczę, czy ty nic nie rozumiesz, Janet? Żyję w świecie iluzji. Jestem chory umysłowo, i to poważnie. Dziw w ogóle, że jeszcze z tobą rozmawiam. Tylko dzięki sile mojego ego nie przyjąłem postawy całkowicie autystycznej. Każdy inny na moim miejscu na pewno dawno by już popadł w autyzm. – Poczł chwilowy napływ uzasadnionej dumy. – To całkiem ciekawa sytuacja. Nie ma wątpliwości, że myśl o zapachu jest reakcją na jakieś bardziej poważne zaburzenie. Takie, które doprowadzi do dezintegracji mojego pojmowania Umwelt, Mitwelt i Eigenwelt. Zdołałem...

–Richardzie... – Janet nie dała mu dokończyć. – Współczuję ci i chciałabym ci pomóc. – Brzmiało to tak, jakby za chwilę miała się rozplakać. Jej głos się załamywał.

–E tam – machnął ręką Kongrosian – komu potrzebny jest Umwelt, Mitwelt i Eigenwelt? Spokojnie, Janet. Nie daj się w to wciągnąć emocjonalnie. Będę tu sobie siedział, tak jak bywało wcześniej. – Sam w to jednak nie wierzył. Tym razem było inaczej. Najwyraźniej Janet też to czuła. – Niemniej – ciągnął – wydaje mi się, że chwilowo będziesz musiała poszukać gdzie indziej talentu dla Białego Domu. Musisz zapomnieć o mnie i zagłębić się w zupełnie nieznanne rejony. Przecież po to właśnie jest łowca talentów, nieprawdaż?

–Chyba masz rację – odparła Janet.

Mój syn, pomyślał Kongrosian. Może on mógłby występować za mnie. Była to dziwna i wręcz niezdrowa myśl. Skulił się z przerażenia, że w ogóle pozwolił jej się pojawić. Był to kolejny dowód na to, jak bardzo jest chory. Tak jakby ktokolwiek mógłby być zainteresowany słuchaniem przypadkowych, mało muzykalnych dźwięków, które tworzył Plautus... chociaż w bardziej ogólnym sensie można je było nazwać etnicznymi.

–Twoje obecne zniknięcie ze świata jest tragedią – mówiła Janet Raimer. – Jak sam stwierdziłeś, do moich obowiązków należy znalezienie kogoś lub czegoś, co wypełni pustkę po tobie, chociaż wiesz, że jest to niemożliwe. Ale się postaram. Dziękuję, Richardzie. To miłe, że zechciałeś ze mną porozmawiać mimo twojego stanu. Wyłączę się teraz i pozwolę ci odpoczywać.

–Mam tylko nadzieję, że nie skaziłem ciebie moim zapachem – rzekł Kongrosian, po czym się rozłączył.

To był mój ostatni kontakt z ludzkim światem, zdał sobie sprawę. Może już nigdy w życiu nie będę rozmawiać przez telefon. Czuję, że mój świat coraz bardziej się kurczy. O Boże, czy to się kiedyś skończy? Ale elektrowstrząsy na pewno pomogą. Proces kurczenia zostanie odwrócony albo przynajmniej spowolniony.

Czy powinienem postarać się skontaktować z Egonem Superbem? – myślał dalej. Pomimo ustawy McPhearsona. To chyba bez sensu. Superb już nie istnieje. Prawo zniszczyło go, przynajmniej z punktu widzenia pacjentów. Egon Superb może nadal istnieć jako osoba, ale kategoria “psychoanalityk” została zdezaktualizowana, jakby nigdy nie istniała. Ale ja tak strasznie go potrzebuję! Gdybym tylko mógł pójść do niego choćby na jedną wizytę... cholerna A.G. Chemie i jej wszechstronne kontakty! Może uda mi się przenieść mój smród na nich.

Tak, zadzwonię do nich, zdecydował. Spytałem, czy mają jakiś superdetergent i jednocześnie ich skażę. Zasłużyli sobie. Odszukał w książce telefonicznej numer lokalnego oddziału A.G. Chemie i wystukał go telekinetycznie.

Będą jeszcze żałować, że wymusili uchwalenie tej ustawy, powiedział do siebie, słuchając, jak telefon łączy się z numerem.

–Chciałbym rozmawiać z głównym psychochemikiem – powiedział, kiedy zgłosiła się centrala A.G. Chemie.

Po chwili usłyszał głos zabieganego mężczyzny, ale ponieważ na ekranie znajdował się ręcznik, Kongrosian nie widział twarzy. Głos brzmiał jednak młodo, kompetentnie i całkowicie profesjonalnie.

–Tu Oddział B, mówi Merrill Judd. Z kim mam przyjemność i dlaczego kanał wideo jest zablokowany? – Psychochemik sprawiał wrażenie zirytowanego.

–Nie zna mnie pan, panie Judd – odpowiedział Kongrosian. Potem pomyślał, że pora przystąpić do skażenia. Podszedł do telefonu i zdjął ręcznik z ekranu.

–Richard Kongrosian – stwierdził psychochemik. – Ależ znam pana, oczywiście, a przynajmniej pańską twórczość. – Był to młody mężczyzna o kompetentnym wyglądzie, sprawiający wrażenie osoby z daleko posuniętym rozpadem osobowości. – Miło mi pana poznać. W czym mogę pomóc?

–Potrzebuję antidotum – wyjął Kongrosian – na tę ohydną reklamę Theodorusa Nitza o zapachu ciała. Wie pan, tę, która zaczyna się: “W chwilach najgłębszej intymności z naszymi ukochanymi jesteśmy najbardziej narażeni na niebezpieczeństwo zrażenia ich swoim zapachem” i tak dalej. – Wolał nawet o tym nie myśleć. Kiedy mówił, wydawało mu się, że smród staje się jeszcze większy, jeśli było to w ogóle możliwe. Tęsknił za prawdziwym kontaktem z drugą osobą. Czuł wielki ból swojego odosobnienia. – Przestraszyłem pana? – spytał.

Patrząc na niego ze swoją zawodową przenikliwością, pracownik A.G. Chemie rzekł:

–Nie, nie przejmuję się tym. Oczywiście słyszałem plotki o pana endogennej, psychosomatycznej chorobie.

–No cóż, moja choroba jest egzogenna. Wszystko zaczęło się od reklamy Nitza. – Szczególnie martwiło Kongrosiana to, że cały świat z uwagą studiował jego stan psychiczny.

–Ale musiał pan mieć specjalne predyspozycje – sprzeciwił się Judd – a reklama Nitza padła po prostu na podatny grunt.

–Wprost przeciwnie. Prawdę mówiąc, mam właśnie zamiar wytoczyć Agencji Nitza proces i domagać się milionów odszkodowania. Jestem już całkowicie przygotowany do sprawy sądowej. Ale nie o to teraz chodzi. Czy może pan coś poradzić na moją dolegliwość, Judd? Czuje pan to już, co? Niech się pan przyzna, a będziemy mogli porozmawiać o możliwościach terapii. Spotykałem się z psychoanalitykiem, doktorem Egonem Superbem, ale dzięki waszemu kartelowi nie jest to już możliwe.

–Hmm – mruknął Judd.

–To wszystko, co jest mi pan w stanie powiedzieć? Niech pan posłucha, nie mogę opuścić szpitala. Inicjatywa musi wyjść od pana. Proszę pana. Moja sytuacja jest tragiczna. Jeśli mi się jeszcze pogorszy...

–Ciekawa prośba – stwierdził Judd. – Muszę się przez chwilę zastanowić. Nie mogę panu odpowiedzieć w tej chwili, panie Kongrosian. Kiedy został pan skażony reklamą Nitza?

–Jakiś miesiąc temu.

–A wcześniej?

–Miewałem różne fobie. Niepokoje. Najczęściej depresje. Zastanawiałem się, czy mogło to mieć jakiegokolwiek znaczenie, ale jak dotąd do niczego nie doszedłem. Najwyraźniej walczę z wewnętrznym procesem schizofrenicznym, który stopniowo eroduje moje zdolności, słyca ich poziom. – Poczuję smutek.

–Może wpadnę do szpitala.

–Ach! – westchnął zadowolony Kongrosian. W ten sposób będę pewien, że cię skażę, pomyślał. A ty przeniesiesz skażenie do swojej firmy, do całego wrednego kartelu, który jest odpowiedzialny za zamknięcie praktyki doktora Superba. – Proszę bardzo – powiedział na głos. – Bardzo bym chciał skonsultować się z panem tete-a-tete. Im wcześniej, tym lepiej. Ale ostrzegam: nie jestem odpowiedzialny za skutki. Musi pan wziąć na siebie ryzyko.

–Ryzyko? Dobrze, zaryzykuję. Może dzisiaj po południu? Mam wolną godzinę. Niech mi pan powie, który to szpital neuropsychiatryczny, bo jeśli gdzieś w pobliżu... – Judd szukał długopisu i kartki papieru.

Szybko dotarli do Jenner. Późnym popołudniem helikopter osiadł na lądowisku, na przedmieściach miasta. Mieli masę czasu, żeby pojechać samochodem do znajdującego się między wzgórzami domu Kongrosiana.

–Czy chcecie przez to powiedzieć – zdziwiła się Molly – że nie możemy tam wylądować? Musimy...

–Wynajmiemy taksówkę – zdecydował Nat Flieger. – Wiesz co to takiego?

–Wiem. Czytałam o nich. Prowadzi ją zawsze jakiś miejscowy wieśniak dostarczający lokalnych plotek, które od razu można włożyć między bajki. – Zamknęła książkę i wstała. – No cóż, Nat. Może dowiesz się od kierowcy wszystkiego, co chcesz wiedzieć. O przerażających sekretach Kongrosiana.

–Pani Dondoldo – wtrącił się Jim Planck – bardzo lubię Leo, ale naprawdę...

–...nie może mnie pan znieść? – dokończyła, unosząc brwi. – Czemuż to, panie Planck? Nie rozumiem.

–Przestańcie – przerwał im Nat. Wylądowywał sprzęt z helikoptera i stawał na wilgotnej ziemi. W powietrzu czuło się deszcz. Było ciężkie i lepkie, a Nat instynktownie buntował się przeciw temu. – Musi to być raj dla astmatyków – rzekł rozglądając się. Oczywiście Kongrosian nie wyszedł mu na powitanie. To do nich

należało odnalezienie jego domu i jego samego. I tak będą mieli szczęście, jeśli w ogóle zechce z nimi rozmawiać. Nat zdawał sobie z tego sprawę.

Wychodząc zwawo z helikoptera (miała na sobie sandały), Molly powiedziała:

–Dziwny zapach. – Nabrała głęboko powietrza w płuca, aż jej jasna bawełniana bluzka się wypełniła. – Fu! Jaka zgnilizna!

–Właśnie, to jest to! – zgodził się Nat. Pomagał Jimowi Planckowi przy jego sprzęcie.

–Dzięki – mruknął Planck. – Chyba już wystarczy, Nat. Ile czasu tu spędzimy? – Wyglądał, jakby chciał wsiąść z powrotem do helikoptera i ruszyć w drogę do domu. Nat dostrzegł przerażenie na jego twarzy. – Kiedy tu jestem – wyjaśnił Planck – zawsze zaczynam się zastanawiać... zupełnie jak w tej książce dla dzieci o trzech koziołkach. No wiecie – jego głos dziwnie zazgrzytał – czy trolle istnieją.

Molly spojrzała na niego, po czym wybuchnęła śmiechem. Na ich powitanie podjechała taksówka, ale kierowcą nie był miejscowy wieśniak. Była to dwudziestoletnia, automatyczna taksówka bez systemu głosowej kontroli ruchu. Zapakowali sprzęt oraz osobiste bagaże do środka i autotaxi ruszyła w kierunku domu Richarda Kongrosiana.

–Zastanawiam się – zaczęła Molly, przyglądając się mijanym staromodnym domom i sklepom – jakie mają tutaj rozrywki.

–Może przychodzą na lądowisko helikopterów i przyglądają się obcym, którzy od czasu do czasu wpadają tutaj – rzucił Nat. Takim jak my, pomyślał widząc, że ludzie na chodniku przyglądają im się z ciekawością.

Jesteśmy ich jedyną rozrywką, zdecydował. Najwyraźniej do wyboru nie było nic innego. Miasto wyglądało dokładnie tak, jak musiało wyglądać przed rozruchami z roku 1980. Sklepy miały malowane witryny i plastikowe wejścia, które były teraz beznadziejnie zniszczone. Koło ogromnego, opuszczonego, zrujnowanego supermarketu ujrzał pusty parking. Miejsce dla pojazdów powierzchniowych, których już nie produkowano.

Życie w takich warunkach musiało być dla człowieka utalentowanego formą samobójstwa, stwierdził Nat. Jedynie proces podświadomej autodestrukcji mógł zmusić Kongrosiana do opuszczenia dużej i ruchliwej aglomeracji warszawskiej, jednego z najważniejszych centrów ludzkiej aktywności na świecie, i przyjechania do tego ponurego, podmytego deszczem, podupadającego miasteczka. A może chodziło o formę kary. Może Kongrosian ukarał siebie Bóg wie za co, może miało to związek z jego synem... zakładając, że Molly mówiła prawdę.

Przypomniał sobie dowcip Jima Plancka o psychokinezyku Richardzie Kongrosianie, który miał wypadek w transpubie i odrosły mu ręce. Ale przecież Kongrosian ma ręce. Tylko nie musi ich używać do tworzenia muzyki. W ten sposób mógł wydobyć więcej niuansów dźwiękowych, bardziej dokładne rytmy i frazy. Pomijał cały składnik somatyczny. Umysł artysty przelewał się bezpośrednio na klawiaturę.

Czy ci ludzie na zniszczonych ulicach wiedzą, kto pośród nich żyje? – zastanawiał się Nat. Pewnie nie. Pewnie Kongrosian trzyma się na uboczu, żyje z rodziną i nie myśli o społeczności. Jest samotnikiem, ale kto by nim nie był w takiej okolicy. A gdyby dowiedzieli się o Kongrosianie, znalazłby się w centrum uwagi. Po pierwsze, dlatego że jest artystą, a po drugie, dlatego że ma zdolności psi. To był podwójny ciężar do uniesienia. Nie ma wątpliwości, że w kontaktach z ludźmi, kiedy na przykład kupował coś w sklepie spożywczym, nie wykorzystywał swoich zdolności psychokinetycznych i jak każdy zwykły człowiek używał rąk. Chyba że miał więcej odwagi, niż Natowi się wydawało...

–Kiedy stanę się sławnym na cały świat artystą – rzucił Jim Planck – pierwszą rzeczą, jaką zrobię, będzie przeprowadzka do takiej zapadłej dziury jak ta. – Jego głos wypełniony był sarkazmem. – To będzie moja nagroda.

–Tak – mruknął Nat. – Miło jest zarabiać swoim talentem. – Zauważył przed sobą grupę ludzi. Dojrzał transparenty i mundury... zdał sobie sprawę, że jest to demonstracja politycznych ekstremistów, tak zwanych Synów Hioba, neonazistów, którzy ostatnio pojawiali się wszędzie, nawet tutaj, w tym zapomnianym przez Boga mieście w Kalifornii.

Choć czyż nie było to najwłaściwsze miejsce dla objawienia się Synów Hioba? Dekadencki rejon cuchnący porażką. Tutaj właśnie mieszkali ci, którym nie powiodło się w życiu. Besowie, nie posiadający swojego miejsca w systemie. Synowie Hioba, jak dawni naziści, od dzieciństwa karmieni rozczarowaniem i brakiem dziedzictwa. Dlatego też takie zapadłe dziury, które czas ominął, były najlepszą pożywką dla tego ruchu...

Ale ci tutaj nie byli Niemcami. To Amerykanie.

Smutna to była myśl. Nie mógł już tłumaczyć sobie, że istnienie Synów Hioba to symptom niezmiennej niemieckiej mentalności, co było zbyt oczywiste, zbyt proste. Dzisiaj miał przed sobą rodaków. I on mógł być między nimi. Gdyby stracił pracę w EME lub spotkało go jakieś straszne, upokarzające nieszczęście...

–Spójrz na nich – szepnęła Molly.

–Patrzę – odparł Nat.

–I myślisz pewnie sobie: "To mogłem być ja", co? Prawdę mówiąc, wątpię, czy masz

wystarczająco dużo ikry, żeby paradować publicznie, głosząc swoje przekonania. A nawet wątpię, czy masz jakiegokolwiek przekonania. Patrz. Tam jest Goltz.

Miała rację. Bertold Goltz, ich przywódca, był tu dzisiaj. Człowiek ten chadzał własnymi ścieżkami i nigdy nie można było przewidzieć, gdzie i kiedy się pojawi.

Może Goltz miał dostęp do maszyny von Lessingera. I mógł podróżować w czasie.

To dałoby mu przewagę nad wszystkimi pojawiającymi się w przeszłości charyzmatycznymi przywódcami, pomyślał Nat. Przecież w ten sposób byłby w pewnym sensie wieczny. Nie można by go zabić w zwyczajny sposób. Co tłumaczy, dlaczego rządowi nie udało się do tej pory zniszczyć tego ruchu. Zawsze się zastanawiał, dlaczego Nicole go toleruje. Toleruje, bo musi.

Z technicznego punktu widzenia Goltza można było zamordować, ale wtedy wcześniejszy Goltz po prostu przeniósłby się w przyszłość i zajął jeo miejsce. Goltz nadal by działał, nie starzejąc się ani nie zmieniając, a ruch zyskiwałby, mając lidera, który na pewno nie poszedłby w ślady Adolfa Hitlera. Na pewno nie zachorowałby na niedowład ani żadną inną chorobę degeneracyjną.

–Przystojny drań, co? – mruknął Jim Planck. Wydawało się, że i on jest pod wrażeniem.

Goltz mógłby zrobić karierę w kinie albo telewizji, pomyślał Nat. Byłoby lepiej, gdyby zajął się rozrywką niż tym, co robi. Miał swój styl. Był wysoki, poważny, zawsze pochmurny... nieco może zbyt ciężki. Wyglądał na czterdziestkę i młodzieńcza werwa już go opuściła. Idąc pocił się. Ale jaką męską urodą nadal się odznaczał! Nie było w nim nic widmowego czy eterycznego, żadnej duchowości równoważącej krzepkość ciała.

Maszerujący zmienili kierunek i zaczęli iść prosto na ich autotaxi.

Taksówka się zatrzymała.

–Nawet maszyny są mu posłuszne – powiedziała zjadliwie Molly. – Przynajmniej miejscowe. – Zaśmiała się krótko, nerwowo.

–Może zjedźmy im z drogi – zaproponował Jim Planck – bo przemaszerują po nas jak kolumna marsjańskich mrówek. – Rzucił się do pulpitu sterowniczego auto taksówki. – Niech cholera weźmie te ich wynalazki! Przecież to stary trup.

–Zabity przez strach – rzekła Molly.

W pierwszej linii maszerujących znajdował się Goltz. Kroczył w środku i niósł łopoczący wielokolorowy transparent. Na ich widok coś krzyknął. Nat nie usłyszał

niestety słów.

–Mówi, żebyśmy zeszli z drogi – wyjaśniła Molly. – Lepiej zapomnijmy o nagraniu Kongrosiana i przyłączmy się do niego. Wstąpimy do ruchu. Co ty na to, Nat? Masz szansę. Możesz zupełnie spokojnie powiedzieć potem, że zostałeś zmuszony. – Otworzyła drzwi taksówki i wyskoczyła lekko na chodnik. – Nie mam zamiaru stracić życia z powodu porzeczonych przewodów jakiejś przestarzałej taksówki.

–Heil, potężny przywódco – rzekł krótko Jim Planck i również wyskoczył, by stanąć obok Molly na chodniku i usunąć się z drogi maszerującym, którzy zaczęli już gniewnie pokrzykiwać i wymachiwać pięściami.

–Ja nie idę – zdecydował Nat. Pozostał na swoim miejscu otoczony przez sprzęt do nagrywania, z ręką opartą o cenny ampek F-a2. Nie miał zamiaru porzucić go nawet z powodu Bertolda Goltza.

Idący szybko ulicą Goltz nagle się uśmiechnął. Był to sympatyczny uśmiech, jakby Goltz, mimo powagi swych politycznych zamiarów, był zdolny do wczuwania się w czyjeś położenie.

–Wpadliśmy w kłopoty, co? – odezwał się do Nata. Pierwsza linia maszerujących, włącznie z przywódcą, doszła do starej, unieruchomionej taksówki. Szereg złamał się i opłynął przeszkodę z obu stron. Jednak Goltz się zatrzymał. Wyciągnął zmiętą czerwoną chusteczkę i wytarł świecąca skórę na karku i czole.

–Przykro mi, że wchodzę wam w paradę – rzekł Nat.

–Oczekiwałem was – odparł Goltz. Jego ciemne, inteligentne i błyszczące oczy zdradzały zaniepokojenie. – Nat Flieger, dyrektor działu Artystów i Repertuaru w Elektronicznych Zakładach Muzycznych w Tijuanie. Przyjechaliście tutaj, do krainy paproci i żab, żeby nagrać Richarda Kongrosiana... no cóż, tak się składa, że Kongrosiana tu nie ma. Jest w Szpitalu Neuropsychiatrycznym imienia Franklina Aimesa w San Francisco.

–O Chryste... – rzekł Nat.

–A może za to nagralibyście mnie? – zaproponował przyjacielsko Goltz.

–Jak to?

–No, mogę dla was na przykład wykrzyzczyć albo zadeklamować kilka historycznych sloganów. Z pół godzinki... wystarczająco dużo materiału, żeby nagrać małą płytę. Może dziś czy jutro nie będzie się sprzedawać wspaniale, ale kiedyś... – Goltz mrugnął porozumiewawczo.

–Nie, dzięki.

–Czy jako wyniosła ganimedańska istota nie masz zamiaru słuchać moich słów? – Tym razem w uśmiechu nie wyczuwało się już ciepła. Był przyklejony nieruchomo do twarzy.

–Jestem Żydem, panie Goltz – odparł Nat. – Trudno mi patrzeć na neonazizm z entuzjazmem.

Po chwili milczenia Goltz rzekł:

–Ja też jestem Żydem, panie Flieger. A właściwie Izraelitą. Niech pan poszuka w księgach. Wszystko jest zapisane. W każdej dobrej gazecie czy archiwum agencyjnym to panu powiedzą.

Nat patrzył na niego w osłupieniu.

–Wrogiem moim i pana jest system der Alte – stwierdził Goltz. – Oni są prawdziwymi spadkobiercami przeszłości nazistowskiej. Niech pan o rym pomyśli. Oni i kartele. A.G. Chemie, Karp und Sohnen Werke... nie wiedział pan o tym? Gdzie pan był, Flieger? Nie słucha pan wiadomości?

Po chwili wahania Nat odparł:

–Słucham. Ale nie jestem zbyt przekonany.

–W takim razie coś panu powiem – zdecydował Goltz. – Nicole, nasza Mutter, i otaczający ją ludzie mają zamiar skorzystać z maszyny von Lessingera do podróżowania w czasie, żeby skontaktować się z Trzecią Rzeszą, z Hermannem Goeringiem, dokładnie rzecz biorąc. Zrobią to już wkrótce. Dziwi to pana?

–Hmm... słyszałem takie plotki – wzruszył ramionami Nat.

–Pan nie jest gesem – ciągnął Goltz. – Jest pan jak ja, Flieger, jak ja i moi ludzie. Zawsze będzie pan na zewnątrz. Nam nie wolno nawet słuchać plotek. Przeciek nie powinien być mieć miejsca. Ale my, besowcy, nie rozpowszechniamy plotek. Sprowadzenie grubego Hermanna z przeszłości to już spora przesada, nie sądzi pan? – Przyglądał się twarzy Nata, czekając na jego reakcje.

–Jeśli to prawda...

–Najprawdziwsza prawda, Flieger – pokiwał głową Goltz.

–...to rzuca ona nowe światło na pański ruch.

–Niech pan przyjdzie ze mną porozmawiać – zaproponował Goltz – kiedy informacja

ta zostanie ujawniona. Kiedy będzie pan miał pewność, że to prawda. W porządku?

Nat nie odpowiedział. Wolał nie spotkać świdrującego spojrzenia lidera Synów Hioba.

–Na razie, Flieger – rzucił Goltz. Podniósł swój transparent, który wcześniej oparł na taksówce, i ruszył dalej ulicą, by dołączyć do swych ludzi.

Siedzący w biurze Abrahama Lincolna Don Tishman i Patrick Doyle studiowali podanie, które Ian Duncan spod numeru 304 właśnie im dostarczył, Ian Duncan pragnął wystąpić w odbywającym się dwa razy w tygodniu pokazie talentów budynku, w czasie gdy będzie tam przebywał łowca talentów z Białego Domu.

Jak stwierdził Tishman, podanie było typowe. Jediną różnicą było to, że Ian Duncan chciał występować z drugą osobą, a ta osoba nie mieszkała w Abrahamie Lincolnie.

–To jego stary kumpel z czasów służby wojskowej – powiedział Doyle w zamyśleniu.
– Mówił mi kiedyś o nim. Wiele lat temu występowali razem. Muzyka barokowa na dwie butelki. Coś nowego.

–Gdzie mieszka jego partner? – spytał Tishman.

Zatwierdzenie podania zależało od stosunków panujących między budynkiem Abrahama Lincolna a tamtym.

–Nigdzie. Sprzedaje blaszaki. Wiesz, u Stukniętego Luke'a. Te tanie, małe pojazdy, które z ledwością dowożą ludzi na Marsa. Pewnie mieszka na parkingu. Razem z nimi przenosi się z miejsca na miejsce. To życie nomady. Chyba słyszałeś o takich ludziach.

–Tak – zgodził się Tishman – i nie ma o czym mówić. Nie możemy pokazać na scenie przedstawienia z udziałem takiego człowieka, Ian może oczywiście zagrać na swojej butelce. Nie zdziwiłbym się, gdyby ludziom się to spodobało. Ale dopuszczenie do występów obcego nie leży w naszej tradycji. Nasza scena zawsze należy, należała i będzie należeć jedynie do naszych ludzi. Nie mamy więc o czym rozmawiać. – Spojrzał krytycznie na duszpasterza.

–To prawda – ciągnął Doyle – ale przecież zapraszanie krewnych na występy jest legalne... dlaczego więc nie miałoby dotyczyć także kumpla z armii? Niby dlaczego mielibyśmy mu nie pozwolić na występ? Dla Iana znaczy to bardzo wiele. Wie pan chyba, że ostatnio nie wie dzie mu się najlepiej. Nie jest zbyt inteligentny. Prawdę mówiąc, powinien chyba wykonywać pracę fizyczną. Ale jeśli posiada zdolności artystyczne, na przykład ta praca...

Patrząc na dokumenty Tishman stwierdził, że na pokazie w Abrahamie Lincolnie weźmie udział najwyższy rangą łowca talentów z Białego Domu, Janet Raimer. Oczywiście tego wieczora miały zostać pokazane wszystkie najpiękniejsze przedstawienia. Duncan i Miller ze swoim barokowym zespołem musieliby rywalizować z wieloma innymi artystami, którzy, jak sądził Tishman, byli zapewne lepsi. Cóż, grali na butelkach... i to w dodatku nawet nie elektronicznych.

–Dobrze – zdecydował. – Zgadza się.

–Okazałeś ludzkie uczucia – stwierdził Doyle, uderzając w sentymentalną nutę, która bardzo nie spodobała się Tishmanowi. – Myślę, że wszystkim nam przypadnie do gustu Bach i Vivaldi zagrany przez Duncana i Millera na ich niezastąpionych butelkach.

Tishman skrzywił się i pokiwał głową.

Joe Purd, najstarszy mieszkaniec budynku, poinformował Vince'a Strikerocka, że jego żona, a właściwie jego była żona, Julie, mieszka na górze z Chikiem. I to od czasu rozwodu.

Mój własny brat, myślał z niedowierzaniem Vince.

Był późny wieczór, prawie jedenasta i zbliżała się godzina policyjna. Mimo to Vince natychmiast ruszył do windy i już w chwilę później znalazł się na najwyższym piętrze.

Zabiję go, zdecydował. Zabiję ich oboje.

I prawdopodobnie ujdzie mi to płazem, snuł domysły, bo będę sądzony przez trybunał wybrany losowo spośród mieszkańców budynku, a to przecież ja jestem oficjalnym kontrolerem identyfikatorów. Każdy mnie zna i szanuje. Ufają mi. A jaką pozycję zajmuje w budynku Chic? Zresztą pracuję przecież dla naprawdę wielkiego kartelu Karp und Sohnen, podczas gdy Chic pracuje dla mikroskopijnej firmy znajdującej się na krawędzi bankructwa. Każdy o tym wie. Takie rzeczy są ważne. Należy je wziąć pod uwagę i przemyśleć. Bez względu na to czy apróbujesz wymowę takich faktów, czy nie. Poza tym w przeciwieństwie do Chica był gesem, co przychylnie nastawiłoby do niego trybunał.

Przy drzwiach do mieszkania Chica Vince się zatrzymał. Nie zapukał, ale stał po prostu niepewnie w korytarzu. To straszne, powiedział do siebie. Przecież był bardzo dumny ze swego starszego brata, który pomagał go wychować. Czy Chic nie oznaczał dla niego więcej nawet niż Julie? Nie. Nikt i nic nie oznaczało dla niego więcej niż Julie.

Podniósł rękę i zapukał.

Drzwi się otworzyły. Stał w nich Chic, w niebieskim szlafroku i z magazynem w dłoni. Wyglądał na nieco starszego, bardziej zmęczonego, bardziej łysiego i załamane niż zwykle.

–Teraz wiem już, dlaczego nie wpadłeś, żeby mnie pocieszyć – zaczął Vince. – Jak mogłeś zamieszkać tu z Julie?

–Wejdz – odparł Chic. Otworzył drzwi na oścież. Wprowadził brata do małego pokoju. – Rozumiem, że zamierzasz się na mnie odegrać – rzucił przez ramię. – Jakbym nie miał już dość. Moja cholerna firma zostanie wkrótce zamknięta...

–A co mnie to obchodzi – rzekł Vince zdyszany. – Masz, na co zasłużyłeś. – Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu Julie, ale nie dostrzegł ani jej, ani śladu jej rzeczy. Czyżby stary Joe Purd się mylił? Niemożliwe. Purd wiedział o wszystkim, co działo się w budynku. Plotki wypełniały całe jego życie. Był na tym polu autorytetem.

–Słyszałem dziś coś ciekawego w wiadomościach – rzekł Chic, siadając na kanapie.
– Rząd zgodził się na wyjątek od ustawy McPhearsona. Psychoanalityk Egon...

–Słuchaj – przerwał mu Vince. – Gdzie ona jest?

–Mam wystarczająco dużo problemów i bez twoich przytyków. – Chic przyjrzał się młodszemu bratu. – Chętnie wymienię ją na ciebie.

Vince'a dławiała wściekłość.

–Żartuję – mruknął głucho Chic. – Przepraszam. Nie wiem, czemu to powiedziałem. Wyszła na zakupy. Trudno jest ją utrzymać, co? Mogłeś mnie uprzedzić. Powinieneś być wywiesić ogłoszenie na naszej tablicy. Ale tak poważnie, mam do ciebie interes. Chciałbym, żebyś załatwił mi pracę w Karp und Sohnen Werke. Odkąd pojawiła się tutaj Julie, o niczym innym nie myślę. Ubijmy interes.

–Żadnych interesów.

–W takim razie nie dostaniesz Julie. Vince się zastanowił.

–Co chcesz robić w zakładach Karpa?

–Cokolwiek. Mogę pracować w dziale reklamy, sprzedaży albo promocji. Byle nie przy projektowaniu i produkcji. Chciałbym, żeby był to ten sam rodzaj pracy, który wykonywałem dla Maury'ego Frauenzimmersa. Praca, która nie brudzi rąk.

–Załatwię ci pracę pomocnika do spraw transportu – powiedział Vince drżącym głosem.

Chic roześmiał się cierpko.

–A to dobre. W takim razie dam ci lewą stopę Julie.

–Jezu! – Vince gapił się na niego, nie wierząc własnym uszom. – Odbiło ci.

–Niezupełnie. Po prostu jestem w nie najlepszej sytuacji zawodowej. Moim jedynym argumentem przetargowym jest twoja była żona. Więc co

mam zrobić? Stoczyć się na dno? Do diabła! Walczę przecież o swoje życie. – Chic mówił ze spokojem. Zdawało się, że myśli całkowicie racjonalnie.

–Kochasz ją? – spytał Vince.

W tej chwili Chic po raz pierwszy stracił równowagę.

–Co? No pewnie. Dostaję fioła z miłości do niej, nie widzisz? Jak możesz o to pytać? – Ton jego głosu zdradzał ironię. – Dlatego właśnie chcę ci ją sprzedać w zamian za pracę u Karpa. Słuchaj, Vince, ona jest zimną egoistką. Myśli o sobie i o nikim więcej. O ile cokolwiek zrozumiałem z tego wszystkiego, przyszła do mnie tylko po to, żeby zrobić ci przykrość. Pomyśl o tym. – Na chwilę przerwał. – Wiesz co? Mamy tu problem z Julie. Dotyczy nas obu, bo ona rujnuje nasze życie. Zgadza się? Chyba powinniśmy z tym pójść do eksperta. Prawdę mówiąc, mam już wszystkiego dość. Nie potrafię tego rozgryźć.

–Jakiego eksperta?

–Jakiegokolwiek. Na przykład z poradni małżeńskiej. Albo do ostatniego pozostałego psychoanalityka w SZEA, tego Egona Superba, o którym mówili w telewizji. Chodźmy do Superba, zanim i jego zamkną. Co ty na to? Przecież wiesz, że mam rację. Ani ty, ani ja nigdy nie rozwiążemy tego problemu. – Po chwili dodał: – A w każdym razie na pewno nie przeżyjemy tego obydwaj.

–Ty idź.

–Dobra – skinął głową Chic. – Pójdę. Ale musisz mi obiecać, że zgodzisz się z jego decyzją. W porządku?

–A niech cię – mruknął Vince. – W takim razie ja też pójdę. Myślisz, że uwierzę w to, co mi potem opowiesz?

Drzwi do mieszkania otworzyły się. Vince się obrócił.

W drzwiach stała Julie z pakunkiem pod pachą.

–Proszę cię, przyjdź trochę później – powiedział do niej Chic, wstając.

–Idziemy do psychoanalityka z twoim problemem – zakomunikował Vince Julie. – Sprawa już załatwiona. – Potem zwrócił się do brata. – Podzielimy się kosztami. Nie mam zamiaru płacić za wszystko.

–W porządku. – Chic pokiwał głową. Niepewnie, z zakłopotaniem, a przynajmniej tak wydawało się Vince'owi, pocałował Julie w policzek i poklepał ją po ramieniu. Do Vince'a rzekł: – i pamiętaj o tej pracy w Karp und Sohnen Werke, niezależnie od tego,

jakie będzie końcowe postanowienie i kim zostanie Julie. Rozumiesz?

–Zobaczę, co się da zrobić – stwierdził Vince. Mówił to z wyraźnym oporem. Wydawało mu się, że Chic prosi o zbyt wiele. Ale był jego bratem przecież. Istniało jeszcze coś takiego jak rodzina.

Chic podszedł do telefonu.

–Od razu zadzwonię do doktora Superba.

–O tej porze? – zdziwiła się Julie.

–W takim razie zadzwonię jutro. Jutro rano. – Niechętnie odłożył słuchawkę. – Strasznie się niecierpliwię. Cała ta sprawa okropnie mi ciąży, a mam teraz na głowie inne, poważniejsze problemy. – Spojrzał na Julie. – Tylko nie bierz tego do siebie.

–Ja nie chciałam iść do psychiatry ani poddawać się jego osądowi – odpowiedziała sztywno. – Jeśli będę chciała zostać z tobą...

–Zrobimy dokładnie tak, jak powie Superb – przerwał jej Chic. – Jeśli zadecyduje, że masz zejść z powrotem na dół, a ty tego nie zrobisz, załatwię ci sądowy nakaz eksmisji z mojego mieszkania. Nie żartuj!

Vince nigdy nie słyszał, żeby jego brat mówił do kogoś w taki sposób. Zdziwił się. Pewnie było to spowodowane zamknięciem Frauenzimmer Associates. Przecież praca była dla niego wszystkim.

–Może drinka? – zaproponował Chic, idąc w kierunku barku w kuchni.

Nicole rozmawiała ze swoim łowcą talentów, Janet Raimer:

–Gdzieś ty ich wykopała? – Wskazała śpiewaków folkowych, brzdąkających na gitarach i intonujących jakąś pieśń do mikrofonu ustawionego na środku Pokoju Kameliowego Białego Domu. – Są beznadziejni. – Czowała się strasznie nieszczęśliwa.

–W budynku mieszkalnym Oak Farm w Cleveland, w Ohio – odparła Janet z niezmałym spokojem.

–W takim razie wyślij ich tam z powrotem – zdecydowała Nicole i skinęła na Maxwella Jamisona, który siedział do tej pory nieruchomo po drugiej stronie dużego pokoju. Jamison natychmiast zerwał się na równe nogi i podszedł do śpiewaków folkowych. Spojrzeli na niego. Na ich twarzach pojawiło się zrozumienie i pieśń z wolna zaczęła słabnąć.

–Nie martwcie się – powiedziała do nich Nicole. – Po prostu słuchałam już

dzisiejszego wieczora zbyt dużo muzyki ludowej. Przykro mi. – Obdarzyła ich jednym ze swoich promiennych uśmiechów. Bezwiednie odpowiedzieli tym samym. Byli skończeni i wiedzieli o tym.

Wracajcie do Oak Farm, gdzie wasze miejsce, pomyślała Nicole. Do jej krzesła podszedł ubrany w mundur strażnik Białego Domu.

–Pani Thibodeaux – szepnął. – Podsekretarz stanu Garth McRae czeka na panią we Wschodniej Liliowej Alkowie. Mówi, że pani go oczekuje.

–Ach tak – zachnęła się Nicole – Dziękuję. Dajcie mu kawy albo drinka i powiedzcie, że zaraz przyjdę.

Strażnik się oddalił.

–Janet – rzekła Nicole – jeszcze raz mi odtwórz rozmowę z Kongrosianem. Chciałabym osobiście stwierdzić, jak źle z nim jest. Z hipochondrykami nigdy nic nie wiadomo.

–Nie ma kanału wideo – przypomniała Janet. – Kongrosian położył ręcznik...

–Tak, pamiętam. – Nicole była poirytowana. – Znam go jednak na tyle, że wystarczy mi głos. Kiedy Kongrosian naprawdę się denerwuje, staje się małomówny i wyraźnie wyczuwa się w nim rezerwę. A kiedy się po prostu użala nad sobą, robi się gadatliwy. – Wstała, jej goście w Pokoju Kameliowym także się podnieśli. Dzisiejszego wieczora nie było ich tutaj wielu. Zrobiło się już późno, prawie północ, a program artystyczny był dość skromny. Najwyraźniej wieczór nie należał do udanych.

–Wiesz co? – zaczęła Janet Raimer przekornie. – Jeśli nie uda mi się zorganizować niczego lepszego od tych Moonrakers – wskazała śpiewaków, którzy w ponurym nastroju pakowali instrumenty – przygotuję program składający się w całości z najlepszych reklam Teda Nitza. – W uśmiechu pokazała zęby ze stali nierdzewnej.

Nicole skrzywiła się. Czasami Janet miała zbyt profesjonalne podejście do niektórych spraw. Była zbyt zadowolona i zrównoważona, całkowicie identyfikowała się ze sprawowanym przez siebie urzędem; Janet mogła na sobie polegać w każdej chwili i to właśnie martwiło Nicole. Nie sposób się było do niej w żaden sposób dobrać. Nic dziwnego, że każdy aspekt życia stanowił dla niej rodzaj gry.

Na podium pojawiła się nowa grupa zastępująca spalonych śpiewaków folkowych. Nicole zerknęła do programu. Był to Współczesny Kwartet Smyczkowy z Las Vegas; pomimo swojej czcigodnej nazwy za chwilę mieli zacząć grać Haydna. Może lepiej pójdę porozmawiać z Garthem, pomyślała Nicole. Wziąwszy pod uwagę wszystkie problemy, które czekały na rozwiązanie, Haydn wydał się jej zbyt cukierkowy. Zbyt ozdobnikowy, a za mało rzeczywisty.

Kiedy sprowadzimy tu Goeringa, myślała, będziemy mogli zorganizować zespół instrumentów dętych, żeby grali nam bawarskie marsze wojskowe. Muszę pamiętać, by powiedzieć o tym Janet, pomyślała. A może zagramy Wagnera. Czy naziści nie uwielbiali Wagnera? Tak, była tego pewna. Czytała książki historyczne traktujące o okresie Trzeciej Rzeszy; doktor Goebbels w pamiętnikach wspominał słabość, jaką wysocy urzędnicy nazistowscy czuli do Pierścienia Nibelunga. A może chodziło o Śpiewaków norymberskich. Orkiestra dęta mogłaby zagrać fragmenty z Parsifala, zdecydowała z pewną dozą radości. W tempie marszowym oczywiście. Coś na kształt wersji specjalnej dla Übermenschen z Trzeciej Rzeszy.

W czasie dwudziestu czterech godzin technicy von Lessingera przygotowują obwody na rok 1944. Choć wydaje się to dziwne, może już jutro o tej porze Hermann Goering będzie tutaj, wyrwany ze swojej rzeczywistości przez najbardziej przebiegłego z negocjatorów Białego Domu, kościstego, małego, starego majora Tuckera Behransa. Praktycznie kopia der Alte, tyle że major Behrans był żywym, prawdziwym, oddychającym człowiekiem, nie zaś manekinem. Przynajmniej o ile było jej wiadomo. Choć czasami odnosiła wrażenie, że żyje w świecie składającym się jedynie ze sztucznych stworzeń systemu kartelowego, szczególnie firmy A.G. Chemie spiskującej wspólnie z Karp und Sohnen. Ich zamiłowanie do rzeczywistości zastępczej było dla niej, prawdę mówiąc, nie do zniesienia. Po wielu latach współpracy zaczynała odczuwać przed nimi strach.

–Mam teraz spotkanie – powiedziała do Janet. – Przepraszam. – Wstała i wyszła z Pokoju Kameliowego. W towarzystwie dwóch ochroniarzy policji państwowej ruszyła korytarzem prowadzącym do Wschodniej Liliowej Alkowy, gdzie miała się spotkać z Garthem McRae.

Garth siedział w alkwie z innym mężczyzną, który, co poznała po mundurze, był wysokim rangą urzędnikiem policji. Nie znała go. Najwyraźniej przyszedł tutaj z Garthem. Rozmawiali ze sobą po cichu, nieświadomi jej nadejścia.

–Czy poinformował pan Karp und Sohnen? – spytała Gartha.

Obydwaj mężczyźni natychmiast zerwali się na równe nogi, aby okazać swój szacunek.

–Och tak, pani Thibodeaux – odparł Garth. – To znaczy – dodał natychmiast – poinformowałem Antona Karpa, że simulakrum Rudiego Kalbfleischa wkrótce przestanie być używane. Tylko... nie wyjawiałem mu, że następne simulakrum zostanie zakupione innymi kanałami.

–Dlaczego? – spytała Nicole.

Garth spojrział na swego towarzysza i powiedział:

–Pani Thibodeaux, ten pan to Wilder Pembroke, nowy komisarz PP. Ostrzegł mnie, że Karp und Sohnen zorganizowało zamkniętą, tajną naradę personelu kierowniczego, podczas której omawiano możliwość złożenia kontraktu na następnego der Alte w innej firmie – wyjaśnił Garth. – Oczywiście nie muszę pani mówić, że policja państwowa posiada wielu swoich ludzi u Karpa.

–Co w takim razie zrobi Karp? – spytała Nicole, zwracając się do policjanta.

–Firma ogłosi, że każdy der Alte to tylko kukła i że ostatni żywy der Alte pracował pięćdziesiąt lat temu. – Pembroke głośno chrząknął. Wyglądał, jakby było mu niedobrze. – Oczywiście jest to pogwałcenie podstawowego prawa. Informacja taka jest tajemnicą państwową i nie może być przekazana besom. Zarówno Anton Karp, jak i jego ojciec Felix Karp wiedzą o tym doskonale. W czasie swojego spotkania dyskutowali także o aspektach prawnych takiego rozwiązania. Wiedzą, że zarówno oni sami, jak i wszyscy ważniejsi dyrektorzy zakładów zostaliby natychmiast aresztowani.

–...Ale mimo to odważyliby się na ten krok – dokończyła Nicole i pomyślała: A więc mieliśmy rację, ludzie Karpa są już zbyt silni. Mają już zbyt dużo autonomii. I nie oddadzą swojej pozycji bez walki.

–Osoby wysoko postawione w kartelu są szczególnie twarogłowe – ciągnął Pembroke. – Są to zapewne ostatni z prawdziwych Prusaków. Główny radca prawny prosił, aby skontaktowała się z nimi pani przed podjęciem jakichkolwiek decyzji w tej kwestii. Przedstawi pani sposób postępowania państwa względem Karpa i będzie chciał omówić kilka podstawowych aspektów tego problemu. Tak czy inaczej, główny radca prawny gotów jest działać w każdej chwili. Kiedy tylko otrzyma stosowne powiadomienie. Jednakże... – rozejrzał się na boki – tak się zastanawiałem. Z wszystkich danych, które do mnie docierają, wynika, że system kartelu jest po prostu zbyt wielki, zbyt rozbudowany i skomplikowany, by go zniszczyć. Dlatego też, zamiast występować otwarcie przeciw niemu, powinniśmy w jakiś sposób zamydląc mu oczy. Wydaje mi się, że byłoby to o wiele lepsze wyjście z sytuacji. Do tego wykonalne.

–A jednak to ja podejmę decyzję – przypomniała mu Nicole.

Garth McRae i Pembroke pokiwali zgodnie głowami.

–Muszę porozmawiać o tej sprawie z Maxwelllem Jamisonem – oświadczyła. – Max będzie wiedział, jak informacja o der Alte zostanie przyjęta przez besów, ludzi dotąd nie poinformowanych. Boja nie mam pojęcia, jak zareagują. Może wywołają zamieszki? A może po prostu będą się śmiać? Dla mnie osobiście jest to dość śmieszna informacja. Gdybym była jakąś niższą urzędniczką kartelu lub agencji rządowej, wydałoby mi się to śmieszne. A co panowie o tym myślą?

Żaden z mężczyzn się nie uśmiechnął. Obydwaj pozostawali spięci i pochmurni.

–Według mnie, jeśli mogę wyrazić swoją opinię – zaczął Pembroke – przedostanie się takiej informacji na zewnątrz spowoduje załamanie się całej struktury naszego społeczeństwa.

–Ale przecież sprawa jest śmieszna – upierała się Nicole – prawda? Rudi jest kukłą, manekinem stworzonym przez system kartelowy i mimo to został najwyższym obieralnym urzędnikiem SZEA. Ludzie głosowali na niego, a wcześniej na poprzedniego der Alte, i tak już od pięćdziesięciu lat. Przykro mi, ale to po prostu musi wydać im się zabawne. Przecież nie można tego przyjąć w żaden inny sposób. – Nicole zaśmiała się. Fakt, że tajemnica państwowa mogłaby zostać nagle wyjawiona, zdecydowanie ją bawił. – Chyba nie będziemy sobie zawracać głowy Karpem – powiedziała do Gartha. – Tak, zdecydowałam. Proszę jutro rano skontaktować się z Karp Werke. Niech pan porozmawia bezpośrednio z Antonem i Felixem. Niech pan im powie między innymi, że natychmiast zostaną aresztowani, jeśli spróbują zdradzić nas przed besami. Policja państwowa jest już gotowa zająć się nimi.

–Tak jest, pani Thibodeaux – rzekł smutno Garth.

–I niech pan się tak nie przejmuje – ciągnęła Nicole. – Jeśli Karpowie nie pójdą po rozum do głowy i wyjawią Geheimnis, też jakoś to przeżyjemy. Wydaje mi się, że jesteście w błędzie. Nie będzie to oznaczało końca naszego status quo.

–Pani Thibodeaux – odezwał się Garth – jeśli Karpowie rozpowszechnią tę informację, wówczas niezależnie od tego, jak zareagują besowie, nie będzie już nigdy kolejnego der Alte. A z prawnego punktu widzenia pełni pani władzę jedynie dlatego, że jest pani żoną der Alte. Ciężko jest pamiętać o tym, bo... – Garth się zawahał.

–Niech pan skończy – nakazała Nicole.

–Bo to jasne dla wszystkich, besów i gesów, że pani pełni najwyższą władzę w państwie. Dlatego też jest bardzo ważne, aby za wszelką cenę podtrzymać mit, że pośrednio lub bezpośrednio została pani wybrana przez lud, w publicznym głosowaniu.

Zapadło milczenie.

W końcu Pembroke rzekł:

–Może policja państwowa powinna zająć się Karpami, zanim zaczną działać. W ten sposób odcięlibyśmy ich od źródła informacji.

–Nawet gdybyśmy ich aresztowali – odparła Nicole – Karpowie zdołaliby uzyskać dostęp do przynajmniej jednego kanału informacyjnego. Musi się pan pogodzić z tym

faktem.

–Ale ich reputacja... jeśli zostaną aresztowani...

–Jedynym wyjściem – rzekła Nicole z namysłem, jakby do siebie – byłoby zamordowanie wszystkich pracowników zakładów, którzy brali udział w tamtym zebraniu. Innymi słowy, wszystkich gesów z kartelu, niezależnie od tego ilu ich jest. Nawet jeśli będzie oznaczało to setki osób. – Innymi słowy, uzupełniła w myślach, czystka. Taka, jaką zazwyczaj przeprowadza się podczas rewolucji.

Przeraziła się własnego pomysłu.

–Nacht und Nebel – mruknął Pembroke.

–Słucham? – Nicole nie zrozumiała.

–Nazistowski termin oznaczający niewidzialnych agentów rządowych, którzy zajmowali się morderstwami. – Z kamiennym wyrazem twarzy patrzył na Nicole. – Noc i mgła. To były Einsatzgruppen, grupy operacyjne. Potwory. Oczywiście w naszej policji i policji państwowej nie mają takich oddziałów. Przykro mi. Będzie pani musiała zwrócić się do wojska. Nie do nas.

–Żartowałam tylko – wyjaśniła Nicole.

Obydwaj mężczyźni przyglądali jej się z powagą.

–Nie ma już czystek – stwierdziła Nicole. – I to od czasu trzeciej wojny światowej. Wicie przecież o tym. Jesteśmy zbyt nowocześni, zbyt cywilizowani, żeby dokonywać masakr.

Pembroke zmarszczył brwi, usta zacisnął w nerwowym grymasie. Nagle powiedział:

–Pani Thibodeaux, kiedy technicy z Instytutu von Lessingera sprowadzą Goeringa do naszej epoki, może uda się pani zorganizować Einsatzgruppe. Goering mógłby wziąć na siebie całą odpowiedzialność, a po wykonaniu roboty powrócić do wieku barbarzyństwa.

Patrzyła na niego z otwartymi ustami.

–Mówię poważnie – kontynuował Pembroke, nieco się jękając.

Z pewnością byłoby to lepsze, przynajmniej dla nas, niż gdyby Karpowie rozpowszechnili informację o derAlte. To byłaby przecież najgorsza z możliwych wersji wydarzeń.

–Zgadza się – rzekł Garth McRae.

–To wariactwo – stwierdziła Nicole.

–Nieprawdaż? – znowu zgodził się Garth McRae. – Dzięki maszynie von Lessingera mamy dostęp do wyszkolonych zabójców, a jak pani zauważyła, w naszych czasach nie ma już takich profesjonalistów. Wątpię, żeby chodziło o uśmiercenie dziesiątek czy setek osób. Podejrzewam, że wystarczyłoby ograniczyć się do zarządu, dyrektorów zakładów Karpa. Może wystarczyłoby na przykład tylko osiem osób.

–Poza tym – wtrącił się najwyraźniej zapalony do pomysłu Pembroke – tych ośmiu ludzi, ośmiu dyrektorów Karpa, jest de facto kryminalistami. Z całą premedytacją spotkali się i dyskutowali nad spiskiem wymierzonym przeciwko legalnym rządom. Są oni równi Synom Hioba, z ich przywódcą Bertoldem Goltzem. Chociaż każdego wieczora noszą czarne krawaty, piją wino z dobrych roczników i nie tłoczą się na placach i ulicach.

–Chciałabym wam przypomnieć, że de facto wszyscy jesteśmy kryminalistami – zauważyła cierpko Nicole. – Ponieważ ten rząd, jak pan to słusznie zauważył, opiera się na oszustwie. I to największym oszustwie, jakie tylko można sobie wyobrazić.

–Niemniej jednak rząd jest legalny – zaprzeczył Garth. – Niezależnie od tego, czy opiera się na oszustwie, czy nie. A to tak zwane oszustwo leży w najlepszym interesie ludzi. Nie robimy tego, żeby kogokolwiek wyzyskiwać, tak jak to czyni kartel. Nie zamierzamy obłowić się czymś kosztem.

Tak przynajmniej ciągle sobie powtarzamy, pomyślała Nicole.

Głos zabrał Pembroke:

–Rozmawiałem z głównym radcą prawnym i wiem, co sądzi o zwiększającej się władzy karteli. Epstein uważa, że należy rzecz ukrócić. To nasz najważniejszy cel!

–Może za bardzo obawiacie się karteli – rzekła Nicole. – Ja w każdym razie się ich nie boję. Może... powinniśmy poczekać dzień czy dwa na Hermanna Goeringa i wysłuchać jego opinii.

Teraz z kolei mężczyźni spojrzeli na nią z niedowierzaniem.

–Żartowałam – rzuciła, ale sama nie była tego pewna. Przecież Goering zorganizował gestapo.

–Czegoś takiego nigdy bym nie zaakceptował – stwierdził Pembroke z wyższością.

–Nie pan tutaj rządzi – upomniała go Nicole. – Technicznie rzecz biorąc, najważniejsza jest opinia Rudiego. Czyli moja. Mogę nakazać panu działać zgodnie z moimi zarządzeniami. A wtedy musiałby pan to zrobić... no, chyba że wolałby pan

dołączyć do Synów Hioba i pomaszerować ulicami, rzucać kamieniami i śpiewać.

Garth McRae i Pembroke wyglądali na nieco zaniepokojonych i wyraźnie nieszczęśliwych.

–Niech się panowie nie obawiają – uspokoiła ich szybko. – Czy wiecie, co jest prawdziwą podstawą władzy politycznej? Nie pistolety ani wojsko, ale umiejętność zachęcenia innych do tego, by zrobili, co zechcesz. Niezależnie od tego, jakich poświęceń by to wymagało. Wiem, że policja państwowa usłucha moich rozkazów bez względu na pańską opinię. Mogę też zmusić Hermanna Goeringa do zrobienia tego, co uznaję za stosowne. Decyzja jednak nie będzie należeć do Goeringa, ale do mnie.

–Mam nadzieję, że się pani nie myli – rzekł Pembroke – i uda się pani Goeringiem pokierować. Przyznaję, że z całkowicie subiektywnego punktu widzenia obawiam się całego tego eksperymentu z przeszłością. Przecież możemy zerwać tamę. Goering nie jest klaunem.

–Świetnie zdaję sobie z tego sprawę – odparła Nicole. – I niech pan nie stara się udzielać mi rad. To nie należy do pana kompetencji.

Pembroke zaczerwienił się, na chwilę umilkł, po czym rzekł cicho:

–Przepraszam. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, pani Thibodeaux, chciałbym poruszyć jeszcze jedną kwestię. Chodzi o ostatniego praktykującego psychoanalityka w SZEA, doktora Egona Superba. W wyjaśnieniu powodów pozostawienia go w spokoju policja państwowa podała...

–Nie chcę o tym słyszeć – ucięła Nicole. – Macie wykonywać swoje obowiązki. Jak pan wie, nigdy nie chciałam się zgodzić na ustawę McPhearsona. Nie może pan więc oczekiwać, że będę się przeciwstawiać niepełnemu jej wykonaniu.

–Ale pacjent, o którego chodzi...

–Dość! – ucięła ostro.

Pembroke, ze złością wymalowaną na twarzy, wzruszył ramionami.

Kiedy szli do audytorium Abrahama Lincolna na pierwszym piętrze, Ian Duncan zauważył, że za plecami drepczącego Ala Millera pomyka papula. Zatrzymał się.

–Po co ją zabrałeś?

–Nic nie rozumiesz – stwierdził Al. – Musimy wygrać!

Po chwili milczenia Ian odparł:

–Ale nie w taki sposób. – Teraz wszystko zrozumiał. Papula miała omamić publiczność, tak jak wcześniej mamiła przechodniów. Miała wpływać na nich pozazmysłowo, wymuszając przychylną decyzję. A więc tak wygląda etyka sprzedawcy blaszaków. Dla Ala była to rzecz normalna. Jeśli nie mogli zwyciężyć dzięki swej grze, zwyciężą dzięki papuli.

–Co się przejmujesz – machnął ręką Al. – Nie bądź naszym największym wrogiem. Skorzystamy po prostu z niewinnej podświadomej techniki sprzedaży, jakiej używa się od wieku. Przecież to stary i pewny sposób przekonywania publiczności. Zastanów się. Nie graliśmy zawodowo od lat. – Dotknął przycisków umieszczonych na pasie, a papula przyspieszyła, żeby za nimi nadążyć. Al ponownie dotknął swoich przycisków...

A w umyśle Iana pojawiła się natrętna myśl: Czemu nie? Wszyscy inni to robią. Z pewnym wysiłkiem powiedział:

–Nie próbuj na mnie swoich sztuczek.

Al wzruszył ramionami. Myśl, która pojawiła się w umyśle Iana, stopniowo zanikała. Mimo to pozostał po niej ślad i Ian nie był już tak pewny swego.

–To nic w porównaniu z tym, czego potrafi dokonać maszyna Nicole – przypomniał mu Al, widząc jego niezdecydowanie. – Jedna papula tu czy ówdzie to drobiazg, a wszechobecny instrument przekonywania, który Nicole uczyniła z telewizji... to jest prawdziwe niebezpieczeństwo, Ian. Papula to prymityw. Wiesz przecież, że cię urabiają. Ale nie wtedy, kiedy słuchasz Nicole. Nacisk jest tak subtelny i wszechogarniający...

–Nie jestem tego taki pewien – odparł Ian. – Wiem tylko, że jeśli nie odniesiemy sukcesu, jeśli nie uda nam się zagrać w Białym Domu, moje życie nie będzie warte złamanego grosza. I nikt nie musiał podpowiadać mi tej myśli. Tak po prostu czuję. Do diabła, to moje własne zdanie.

Otworzył drzwi. Al wszedł pierwszy do audytorium, niosąc butelkę, Ian szedł za nim. Już w chwilę później byli obydwoj na scenie i rozglądali się po częściowo wypełnionej sali.

–Widziałeś ją kiedyś? – spytał Al.

–Widuję ją cały czas.

–Ale tak naprawdę. Osobiście. Namacalnie, jeśli tak można rzec.

–Oczywiście, że nie – wzruszył ramionami Ian. Na tym przecież polegało ich zadanie: dostać się do Białego Domu. Wtedy zobaczą ją naprawdę, nie tylko w telewizorze. Nie będą to już fantazje, ale rzeczywistość.

–Jaja raz widziałem – rzekł Al. – Właśnie rozłożyłem parking Złomowiska Numer Trzy na głównym pasażu w Shreveport w Luizjanie. Było wczesnie rano, koło ósmej. Nadjechały limuzyny rządowe. W pierwszej chwili pomyślałem oczywiście, że to policja państwowa, i już zacząłem się zbierać. Ale potem zorientowałem się, że to nie oni. Zobaczyłem limuzynę z Nicole, która jechała na otwarcie największego z budynków mieszkalnych.

–Tak – szepnął Ian. – Paul Bunyan. – Drużyna piłkarska z Abrahama Lincolna grała co roku przeciwko tamtym i zawsze przegrywała. Budynek Paul Bunyan mieścił ponad dziesięć tysięcy mieszkańców, a wszyscy pochodzili ze środowisk administracyjnych. Był to ekskluzywny gmach dla mężczyzn i kobiet, którzy lada moment mieli stać się gesami. Nie trzeba dodawać, że miesięczna opłata za wynajem, pobierana od każdego mieszkańca, była kolosalna.

–Żałuj, że jej nie widziałeś – rzekł w zamyśleniu Al, siadając przed publicznością i kładąc butelkę na kolanach. – Wiesz, jak to jest, zawsze myślisz, że pewnie w rzeczywistości nie są... to znaczy ona nie jest tak atrakcyjna, jak to pokazują w telewizji. Przecież mogą robić z obrazem, co chcą. Jest syntetyczny pod tyloma względami. Ale... Ian, ona była o wiele bardziej atrakcyjna. Telewizja nie oddaje jej witalności, blasku, wszystkich delikatnych kolorów jej skóry. Świetlistości jej włosów. – Potrząsnął głową, popychając papulę stopą. Papula schowała się pod krzesłem. – Wiesz, co poczułem, kiedy ją zobaczyłem? Byłem niezadowolony. Żyłem sobie całkiem dobrze, Lukę daje mi niezłą pensyjkę. Lubię spotykać się z ludźmi i obsługiwać tę istotę. Ta praca wymaga w pewnym sensie zdolności artystycznych. Ale po ujrzeniu Nicole Thibodeaux przestałem akceptować siebie i swój sposób życia. – Spojrzał na Iana. – A chyba tak właśnie się czujesz, widząc ją w telewizji.

Ian pokiwał głową. Zaczął już się denerwować. Za kilka minut mieli być zapowiedzeni. Nadeszła chwila sprawdzianu.

–Dlatego właśnie się na to zgodziłem – wyjaśnił Al. – Chciałem jeszcze raz wziąć

butelkę i spróbować. – Widząc, że Ian przyciska do siebie swoją butelkę, spytał: – To co, mam użyć papuli czy nie? Decyzja należy do ciebie. – Podniósł pytająco brwi.

–Tak – rzekł Ian.

–W porządku – odparł Al i włożył rękę pod koszulę. Z przyjemnością dotykał klawiszy. Papula wytoczyła się spod krzesła, wyciągnęła swoje śmieszne antenki, a jej oczy rozpoczęły dziwaczny taniec.

Publiczność natychmiast zwróciła na nią uwagę. Niektórzy, zanosząc się śmiechem, wychylali się z krzeseł, by jej się przyjrzeć.

–Patrzcie – mówili – przecież to papula!

Jakaś kobieta wstała, żeby lepiej widzieć, a Ian pomyślał: Wszyscy kochają papule. Uda nam się, niezależnie od tego czy umiemy grać na butelkach, czy nie. I co dalej? Czy spotkanie z Nicole uczyni nas jeszcze bardziej nieszczęśliwymi, niż jesteśmy teraz? Czy to właśnie uda nam się osiągnąć? Beznadziejne, całkowite załamanie? Ból, tęsknotę, które nie zostaną ukojone na tym świecie?

Było już jednak za późno na wycofanie się. Drzwi audytorium zamknięto, a Don Tishman wstał i poprosił o spokój.

–Dobra, ludzie – rzekł do mikrofonu umieszczonego w klapie marynarki. – Teraz czas na występ. Jak widzicie w naszym programie, najpierw wystąpi świetna grupa Duncan i Miller z ich butelkami klasycznymi. Zagrają nam Bacha oraz Haendla i miejmy nadzieję, że uda im się zmusić was do oklasków. – Uśmiechnął się szyderczo do Iana i Alę, jakby mówił: I jak wam się podoba moje wprowadzenie?

Al nie zwracał na niego uwagi. Manipulował pokrętłami i patrzył w zamyśleniu na publiczność, po czym podniósł butelkę, spojrzął na Iana i tupnął nogą.

–Mała fuga g-moll. – Tak rozpoczynał się ich występ. Al zaczął dąć w butelkę, wydobywając z niej żywą melodię. Bum, bum, bum. Bum-bum-bum-bum bum bum de-bum. DE bum, DE bum, de de-de bum... Z wysiłku poczerwieniały mu policzki.

Papula krążyła po scenie, po czym zeszła z niej, zataczając się i rozbawiając wszystkich, a następnie dotarła do pierwszego rzędu publiczności. Zaczęła swoją pracę.

Al spojrzął kątem oka na Iana.

–Przyszedł pan Strikerock do pana, panie doktorze. Pan Charles Strikerock. – Amanda Connors zajrzała do pokoju doktora Superba, świadoma nawału pracy, z jakim od paru dni musiał radzić sobie doktor. Sama jednak także robiła swoje.

Superb zdawał sobie z tego sprawę. Jak Psychopompos, Amanda pośredniczyła między bogami a człowiekiem; właściwie w tym wypadku między psychoanalitykiem a zwykłymi istotami ludzkimi. I to w dodatku chorymi.

–W porządku. – Superb podniósł się, by przywitać nowego pacjenta. Czy to ten? – zastanawiał się. Czy jestem tutaj tylko po to, by wyleczyć... albo żeby nie wyleczyć tego właśnie człowieka?

Zastanawiał się tak przy każdym nowym pacjencie.

Te bezustanne spekulacje zaczynały już go męczyć. Od czasu wprowadzenia ustawy McPhearsona popadł w obsesję. Jego myśli krążyły wokół jednego tematu i nie prowadziły absolutnie donikąd.

Do pokoju zajrzał wysoki, nieco łysiejący mężczyzna w okularach. Wyglądał na zdenerwowanego. Wyciągnął dłoń.

–Chciałbym podziękować panu za przyjęcie mnie tak szybko, doktorze. – Uścisnęli sobie dłonie. – Musi pan być pewnie zawalony robotą. – Chic Strikerock usiadł przy stole.

–W pewnym sensie – mruknął Superb. Jednak, jak powiedział Pembroke, nie mógł odmówić żadnemu nowemu pacjentowi. Tylko pod rym warunkiem mógł kontynuować praktykę. – Wygląda pan tak, jak ja się czuję – stwierdził. – Nad wyraz skonsternowany. Wszyscy wiemy, że życie nie jest łatwe, ale przecież muszą być jakieś granice.

–Mówiąc otwarcie – zaczął Chic – jestem właściwie gotów rzucić wszystko, moją pracę, moją... dziewczynę. – Utknął i zacisnął usta. – Mam ochotę przystąpić do tych cholernych Synów Hioba. – Spojrzał niepewnie na doktora Superba. – To wszystko.

–Jasne. – Superb kiwnął głową. – Ale czy czuje się pan zmuszony to zrobić? Czy może ma pan jakiś wybór?

–Nie. Muszę to zrobić. Zostałem przyparty do muru. – Chic Strikerock zacisnął dłonie i splótł długie, cienkie palce. – Moje życie w społeczeństwie jako człowieka sukcesu...

Telefon na biurku Superba zaczął migotać. Musiała to być jakaś ważna rozmowa, skoro Amanda go połączyła.

–Przepraszam na moment, panie Strikerock. – Superb podniósł słuchawkę. Na ekranie pojawiła się groteskowo zdeformowana, miniaturowa twarz Richarda Kongrosiana, który dyszał tak, jakby się właśnie topił. – Czy jest pan nadal w szpitalu Aimesa? – spytał natychmiast Superb.

–Tak – rozległ się głos Kongrosiana z krótkozakresowego odbiornika radiowego. Pacjent, Strikerock, na pewno nie mógł tego usłyszeć. Bawił się teraz zapalką pochylony nad biurkiem, najwyraźniej rozzłoszczony przerwą. – Właśnie przed chwilą słyszałem w telewizji, że pan nadal przyjmuje. Doktorze, dzieje się ze mną coś strasznego. Staję się niewidzialny. Nikt mnie nie widzi. Czuć tylko mój zapach. Zamieniam się w chmurę odrażającego smrodu!

Jezu Chryste, pomyślał Superb.

–Czy widzi mnie pan? – spytał nieśmiało Kongrosian. – Na pańskim ekranie?

–Tak, widzę – odparł Superb.

–To dziwne. – Kongrosian wydawał się nieco pocieszony. – W takim razie przynajmniej urządzenia monitorujące i skanujące mogą rejestrować moją obecność. Może uda mi się w ten sposób zachować istnienie. Co pan o tym myśli? Czy miewał pan już takie przypadki w swojej praktyce? Czy psychopatologia zetknęła się już kiedyś z takimi pacjentami? Czy ta choroba ma jakąś nazwę?

Tak, pomyślał Superb. Skrajny kryzys tożsamości. Początek jawnej psychozy; zaczyna się rozpad struktury przymusów i obsesji.

–Przyjadę do pana po południu – powiedział.

–Nie, nie – protestował Kongrosian, a w jego oczach czaiło się szaleństwo. – Nie mogę na to pozwolić. Prawdę mówiąc, nie powinienem nawet rozmawiać z panem przez telefon. To zbyt niebezpieczne. Napiszę do pana list. Do widzenia.

–Chwileczkę – rzucił jeszcze Superb.

Obraz pozostał na monitorze. Przynajmniej chwilowo. Wiedział jednak, że Kongrosian nie będzie ciągnął rozmowy. Pragnienie ucieczki było zbyt wielkie.

–Mam pacjenta – wyjaśnił Superb. – Nie mogę więc pomóc panu w tej chwili. Ale może...

–Nienawidzi mnie pan – nie dał mu dokończyć Kongrosian. – Tak jak wszyscy. Dobry Boże, muszę być niewidzialny! Tylko w ten sposób mogę ocalić życie!

–Niewidzialność ma z pewnością swoje zalety – ciągnął Superb, nie zwracając uwagi na słowa Kongrosiana. – Szczególnie gdyby chciał pan zostać podglądaczem lub przestępcą, który...

–Który co? – zainteresował się Kongrosian.

–Powiem panu, kiedy się spotkamy – odparł Superb. – Wydaje mi się, że musimy pozostać na poziomie gesów, jak długo będzie możliwe. Sytuacja stała się zbyt poważna. Nie sądzi pan?

–Ja... nie myślałem o tym w ten sposób.

–W takim razie niech pan pomyśli – rzekł Superb.

–Zazdrości mi pan, co, doktorze?

–I to bardzo – potwierdził Superb. – Jako analityk sam jestem swego rodzaju podglądaczem.

–To ciekawe. – Teraz Kongrosian wydawał się dużo spokojniejszy. – Przecież gdybym tylko chciał, mógłbym wyjść stąd w każdej chwili. Mógłbym wejść wszędzie. Gdyby nie ten zapach. Nie, zapomina pan o zapachu, doktorze. On mnie wyda. Doceniam pańskie starania, ale nie bierze pan pod uwagę wszystkich faktów. – Kongrosianowi udało się wydusić z siebie krótki, niepewny uśmiech. – Chyba muszę oddać się w ręce głównego radcy prawnego, Bucka Epsteina, albo może pojechać do Związku Radzieckiego. Może w Instytucie Pawłowa mi pomogą. Tak, chyba powinienem spróbować jeszcze raz. Już kiedyś u nich byłem. – Nagle naszała go pewna myśl. – Ale przecież nie będą mogli mnie leczyć, jeśli nie będą mnie widzieć. Do cholery, doktorze, co za błędne koło!

Może najlepszym wyjściem dla pana, pomyślał Superb, jest zrobienie tego, co zamierza uczynić pan Strikerock. Niech pan przyłączy się do Bertolda Goltza i jego niesławnych Synów Hioba.

–Wie pan, doktorze – ciągnął Kongrosian – czasami wydaje mi się, że prawdziwą przyczyną mojego stanu jest nieświadomiana miłość do Nicole. I co pan na to? Właśnie przed chwilą na to wpadłem. Przed chwilą zdałem sobie z tego sprawę i olśniło mnie! Tabu kazirodztwa zostało przełamane przez moje libido. Bo przecież Nicole jest symbolem matki, prawda?

Superb westchnął.

Po drugiej stronie biurka Chic Strikerock nerwowo bawił się zapalką, najwyraźniej coraz bardziej zdenerwowany. Należało już kończyć tę rozmowę. Natychmiast.

Jednak Superb za nic nie mógł wymyślić sensownego zakończenia.

Czy w taki właśnie sposób zawiodę mojego pacjenta? – spytał siebie w myślach. Czy to właśnie przewidział Pembroke z policji państwowej? Ten biedny Charles Strikerock czeka, aż skończę rozmawiać. Marnuję jego czas. Pozbawiam go możliwości wyleczenia. Tu i teraz. A na dodatek nie potrafię na to nic poradzić.

–Nicole – powiedział szybko Kongrosian – jest ostatnią prawdziwą kobietą w naszym społeczeństwie. Znam ją, doktorze. Spotykałem się z nią mnóstwo razy w związku z moją świetlaną karierą. Wiem przecież, o kim mówię. I...

Doktor Superb odłożył słuchawkę.

–Odłożył pan słuchawkę – stwierdził Chic Strikerock; był jeszcze bardziej spięty. Przeszedł bawić się zapalką. – Czy mądrze pan zrobił? – Wzruszył ramionami. – Zresztą to pana sprawa. – Wyrzucił zapalkę.

–Tym człowiekiem całkowicie zawładnęły urojenia – odparł Superb. – Wydaje mi się, że Nicole Thibodeaux istnieje naprawdę. A przecież ona jest najbardziej syntetycznym obiektem w naszym świecie.

Chic Strikerock był wstrząśnięty. Zamrugał oczami.

–C-co pan ma na myśli? – wydukał i na chwiejnych nogach podniósł się nieco z krzesła, po czym opadł na nie z powrotem. – Próbuje pan mnie wybadać. Na szybko sprawdzić funkcjonowanie mojego umysłu. Tak czy inaczej, ja mam prawdziwy problem, a nie urojenia, tak jak tamten gość, kimkolwiek jest. Żyję z żoną mojego brata i wykorzystuję jej obecność, by go szantażować. Przekonałem go, by załatwił mi pracę w Karp und Sohnen. Tak problem wygląda z zewnątrz. Ale pod powierzchnią drzemie coś więcej. Boję się Julie, żony, a właściwie byłej żony mojego brata. I wiem nawet dlaczego. Chodzi o Nicole. Może jestem taki jak ten facet, który dzwonił. Tylko że ja się w niej niekocham... boję się jej jak ognia i dlatego też boję się Julie. Prawdę mówiąc, boję się chyba wszystkich kobiet. Czy to, co mówię, ma jakiś sens, doktorze?

–Obraz złej matki – zawyrokował Superb. – Wszechmocnej i kosmicznej.

–Tylko dzięki takim mięczakom jak ja Nicole może sprawować rządy – ciągnął Chic. – To przede mną nasze społeczeństwo jest matriarchalne. Jestem jak sześciolatnie dziecko.

–Nie jest pan wyjątkiem. Wie pan o tym. W rzeczy samej cały kraj cierpi na neurozę. To psychologiczny defekt naszych czasów.

Chic Strikerock zastanowił się przez chwilę.

–Gdybym przyłączył się do Bertolda Goltza i Synów Hioba, stałbym się prawdziwym mężczyzną.

–Może też pan zrobić coś innego, jeśli chce pan uwolnić się od matki, czyli Nicole. Może pan emigrować. Na Marsa. Niech pan kupi blaszaka od Stukniętego Luke'a, kiedy któreś z jego wędrownych złomowisk wyląduje w pobliżu.

–Mój Boże! – Chic westchnął z dziwnym wyrazem twarzy. – Nigdy poważnie o tym nie myślałem. To zawsze było takie... zwariowane. Bezsensowne. Neurotyczne i desperackie.

–Ale byłoby to lepsze niż przyłączenie się do Goltza.

–A co z Julie?

Superb wzruszył ramionami.

–Niech pan ją weźmie ze sobą. Czemu nie? Dobra jest w łóżku?

–To już przesada!

–Przepraszam.

Chic Strikerock się zastanawiał.

–Ciekawe, jak wygląda sam Stuknięty Luke.

–Słyszałem, że to niezły łobuz.

–Może to dobrze. Może tego właśnie chcę. Potrzebuję.

Doktor Superb przerwał rozmowę:

–Koniec dzisiejszej wizyty. Mam nadzieję, że przynajmniej trochę panu pomogłem. Następnym razem...

–Pomógł pan. Podrzucił mi pan bardzo dobry pomysł. A właściwie... wyciągnął pan na światło dzienne pomysł, który tkwił już we mnie. Może wyemigruję na Marsa. Do diabła, po co mam czekać, aż Maury Frauzimmer mnie wywali? Zwalniam się od razu i idę szukać złomowiska Stukniętego Luke'a. Jeśli Julie chce polecieć ze mną, świetnie. Jeśli nie, tym lepiej. Jest dobra w łóżku, doktorze, ale nie aż tak dobra, żeby nie można było znaleźć lepszej. W takim razie... – Chic Strikerock podniósł się z krzesła. – Być może, nie zobaczymy się już, doktorze. – Wyciągnął dłoń i pożegnał się.

–Niech mi pan przyśle pocztówkę, kiedy pan dotrze na Marsa.

Chic kiwnął głową.

–Na pewno to zrobię. Myśli pan, że będzie pan jeszcze przyjmował pod tym adresem?

–Nie wiem – odparł Superb. Może jesteś moim ostatnim pacjentem, pomyślał. Im

głębiej się na tym zastanawiam, tym bardziej jestem pewien, że ty jesteś tym, na którego czekałem. Ale to pokaże czas.

Podeszli razem do drzwi biura.

–Tak czy inaczej – rzekł Chic Strikerock – nie jest ze mną tak źle jak z tym facetem, z którym rozmawiał pan przez telefon. Kto to był? Wydaje mi się, że już go gdzieś widziałem. Może w telewizji? Tak, właśnie. Występował w telewizji. Wie pan co, kiedy pan z nim rozmawiał, czułem do niego sympatię. Jakbyśmy razem walczyli w jednej drużynie. Obydwaj mamy poważne problemy i staramy się z nich jakoś wybrnąć.

–Hmm – mruknął Superb, otwierając drzwi.

–Nie powie mi pan pewnie, kto to był. Nie wolno panu. Rozumiem. Niemniej życzę mu szczęścia, kimkolwiek jest.

–Będzie go potrzebował – odparł Superb.

–Jak się czujesz, Nat, kiedy osobiście rozmawiałeś z tym wielkim człowiekiem? – spytała Molly Dondoldo uszczypliwie. – Bo przecież wszyscy się co do tego zgadzamy: Bertold Goltz jest wielkim człowiekiem naszych czasów.

Nat Flieger wzruszył ramionami. Taksówka opuściła miasteczko Jenner i jechała coraz wolniej w kierunku środka wyspy, gdzie najwyraźniej rozciągał się las tropikalny, wielka, wilgotna połać dżungli, która wyglądała jak pozostałość po okresie jurajskim. Bagno dinozaurów, pomyślał Nat. Nie dla ludzi.

–Wydaje mi się, że Goltz ma kolejnego wyznawcę – stwierdził Jim Planck. Mrugnął do Molly i uśmiechnął się szeroko do Nata.

Zaczął padać drobny deszcz. Włączyły się wycieraczki taksówki, trąc po szybie i wydając niemiły, nieregularny dźwięk. Taksówka skręciła z głównej drogi, która przynajmniej była wybrukowana, i wjechała na drogę boczną wyłożoną czerwonym kamieniem. Zaczęła podskakiwać na wybojach, to wzlatając do góry, to opadając twardo na ziemię. Wewnętrzne mechanizmy przekładni automatycznie, z łoskotem, dostosowały się do nowych warunków. Taksówka nie nadawała się do takiej jazdy. Nat w każdej chwili oczekiwał, że się zatrzyma zmęczona harówką.

–Wiecie, co tam zobaczymy? – spytała Molly, patrząc przez gęste listowie drzew rosnących po obu stronach wąskiej, pnącej się pod górę drogi. – Założę się, że za następnym rogiem będzie na nas czekać złomowisko Stukniętego Luke'a.

–Na nas? – zdziwił się Jim Planck. – Dlaczego właśnie na nas?

–Dlatego że jesteśmy już prawie wykończeni – odparła Molly.

Za następnym zakrętem drogi pojawiła się jakaś budowla. Nat przyjrzał jej się, zastanawiając się, co to może być. Stara, odrapana, wyglądająca na opuszczoną... nagle zdał sobie sprawę, że patrzy na stację benzynową. Pozostałość po czasach samochodów z silnikami spalania wewnętrznego.

–Antyk – zdziwiła się Molly. – Prawdziwy relikw. Dziwne. Zatrzymajmy się tutaj. To przecież zabytek historyczny, tak jak stary fort czy młyn z wiatrakiem. Proszę cię, Nat, zatrzymaj tę cholerną taksówkę.

Nat nacisnął guziki na desce rozdzielczej taksówki, która rycząc z powodu tarcia niedopasowanych kół zębatych zatrzymała się przed stacją benzynową.

Jim Planck ostrożnie otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Miał ze sobą japoński aparat, który teraz wyjął i mrużąc oczy, starał się coś dojrzeć w mglistym półmroku. Twarz mu błyszczała, zmoczona ciepłym deszczem. Woda kapiała z okularów, więc je zdjął i wepchnął do kieszeni płaszcza.

–Zrobię parę zdjęć – powiedział do Nata i Molly.

–Tam ktoś jest – szepnęła Molly do Nata. – Nie ruszaj się i nic nie mów. Patrzy na nas.

Nat wysiadł z taksówki, przeszedł przez ulicę wyłożoną czerwonym kamieniem i ruszył w kierunku stacji benzynowej. Znajdujący się w środku człowiek wstał i wyszedł mu na spotkanie. Drzwi się otworzyły. Przed budynkiem stanął zgarbiony mężczyzna z wielką, zdeformowaną szczęką i zębami. Uczynił niewyraźny gest ręką i zaczął mówić.

–Co on mówi? – spytał najwyraźniej przestraszony Jim Nata. Stary człowiek mamrotał:

–Hig, hig, hig.

Tak przynajmniej zdawało się Natowi. Mężczyzna starał się im coś powiedzieć, ale to mu się nie udawało. Jednak z uporem ponawiał wysiłki. W końcu Nat zrozumiał, że są to prawdziwe słowa. Starał się je zrozumieć. Nadstawił uszu i czekał, a człowiek z wielką szczęką mamrotał coś dalej w zdenerwowaniu.

–Pyta – rzekła Molly do Nata – czy przywieźliśmy jego pocztę.

–Pewnie taki tu mają zwyczaj – zauważył Jim – że samochód jadący tą drogą zabiera pocztę z miasta. – Do starca z wielką szczęką powiedział: – Przykro mi, nie wiedzieliśmy. Nie mamy dla pana poczty.

Mężczyzna pokiwał głową i przestał mamrotać. Wyglądał na zrezygnowanego.

Najwyraźniej zrozumiał.

–Szukamy Richarda Kongrosiana – rzekł Nat. – Czy dobrze jedziemy? Stary chytrze rozejrzał się na boki.

–Macie jakieś warzywa?

–Warzywa! – powtórzył Nat.

–Warzywa mogę jeszcze jeść. – Stary patrzył na niego, wyciągnąwszy dłoń w oczekiwaniu i nadziei.

–Przykro mi – rzekł zakłopotany Nat. Zwrócił się do Jima i Molly. – Warzywa – powtórzył. – Rozumiecie go? Tak właśnie powiedział, prawda?

Stary mamrotał:

–Nie mogę jeść mięsa. Poczekajcie. – Włożył rękę w kieszeni płaszcza, wyjął kartkę z nadrukiem i podał Natowi. Kartka była tak zniszczona i brudna, że ledwo można było ją odczytać. Nat podniósł ją wyżej do światła i mrużąc oczy, z trudem odczytał litery.

NAKARMCIE MNIE, A POWIEM WAM

WSZYSTKO,

CO CHCECIE USŁYSZEĆ

WYDRUKOWANO DZIĘKI UPRZEJMOŒCI STOWARZYSZENIA CHUPPERŒW

–Jestem chupperem – rzekł stary, po czym nagle zabrał kartkę i włożył ją z powrotem do kieszeni płaszcza.

–Wynośmy się stąd – powiedziała cicho Molly do Nata.

Twarz zdeformowana przez promieniowanie, pomyślał Nat. Chupperzy północnej Kalifornii mieli tu swoją enklawę. Zastanawiał się, ilu ich tu jeszcze może żyć. Dziesięciu? Tysiąc? I tutaj właśnie Richard Kongrosian postanowił zamieszkać.

Ale może Kongrosian miał rację. Przecież to ludzie, niezależnie od tego, jak bardzo zdeformowani. Otrzymywali pocztę, pewnie mieli jakąś pracę, czymś się zajmowali. Jeśli nie mogli pracować, prawdopodobnie żyli na koszt powiatu. Nikomu nie przeszkadzali i bez wątplenia byli bezbronni. Jego pierwotna, instynktowna awersja wprawiła go w zakłopotanie.

–Chce pan pieniędzy? – Nat wyjął platynową monetę pięciodolarową.

Chupper przyjął monetę i podziękował.

–Czy Kongrosian mieszka przy tej drodze? – spytał jeszcze raz Nat.

Chupper wskazał ręką.

–Dobra – rzekł Jim Planck. – Jedziemy. Najwyraźniej zmierzamy w dobrym kierunku.

– Spojrzał na Nata i Molly. – No, chodźcie.

Wsiadli do taksówki. Nat włączył ją i przejechali obok stacji benzynowej i starego Chuppera, który nadal stał bez ruchu, patrząc, jak odjeżdżają. Wyglądało to tak, jakby został wyłączony, jak simulakrum, mechaniczna ludzka atrapa.

–O rany! – rzekła Molly i westchnęła głęboko. – Co to takiego, u diabła?

–Będzie ich więcej – powiedział Nat.

–Dobry Boże! Kongrosian musi rzeczywiście mieć świra, żeby tutaj mieszkać. Ja osobiście za nic nie zgodziłabym się żyć w tym bagnie. Żałuję w ogóle, że tutaj

przyjechałam. Nagrajmy go w studio, co? Wolałabym już wracać.

Taksówka powoli sunęła tunelem, którego sklepienie tworzyły gałęzie drzew, aż w końcu dotarła do ruin miasta.

Ujrzeni rząd rozpadających się drewnianych domów z wyblakłymi reklamami i powybijanymi szybami. Domy te nie były jednak opuszczone. Od czasu do czasu na zarośniętych przez chwasty chodnikach pojawiali się ludzie. A właściwie chupperzy. Pięciu czy sześciu przechodziło w pobliżu. Bóg raczy wiedzieć, co tu robili. Nie mieli przecież ani telefonów, ani poczty...

Może Kongrosian uważa, że tutaj jest spokojnie, pomyślał Nat. Gdyby nie padający deszcz, panowałaby zupełna cisza. Może kiedy człowiek się do tego przyzwyczai... chociaż wątpię, by udało mi się kiedykolwiek przyzwyczaić do czegoś takiego. Zniszczenie wзира z każdego kąta. Podobnie jak nieobecność czegokolwiek nowego, czegokolwiek, co by rosło lub kwitło. Mogą być chupperami, jeśli chcą lub jeśli muszą, ale powinni jednak bardziej się starać, dawać z siebie więcej, żeby ich osada nie wyglądała jak ruina. To straszne.

Podobnie jak Molly, zaczynał żałować, że tu w ogóle przyjechał.

–Zanim zdecydowałbym się przenieść tutaj na stałe, długo bym się zastanawiał – rzekł. – Jeśli jednak bym to zrobił, musiałbym zaakceptować jeden z najbardziej trudnych aspektów życia.

–Jakież to? – spytał Jim.

–Wyższość przeszłości nad terażniejszością.

W tym miejscu przeszłość była bezsprzecznie najważniejsza. Ich wspólna przeszłość. Wojna, która poprzedzała ich epokę, i jej konsekwencje. Zmiany ekologiczne w życiu każdego człowieka. Człowiek czuł się tutaj jak w muzeum, ale z żywymi eksponatami. Ruch odbywał się w kierunku kołowym... Nat zamknął oczy. Ciekawe, zastanawiał się, czy rodzą się nowi chupperzy. Przecież to musi być dziedziczne. Na pewno jest. To dość przykra egzystencja, ale jak widać... nadal trwa.

Przeżyli. To dobrze z punktu widzenia prawdziwego środowiska, procesu ewolucji. Tak przecież działo się od czasów trylobitów. Poczul, że jest mu niedobrze.

Potem pomyślał: Przecież już kiedyś widziałem takie deformacje. Na zdjęciach. Na rekonstrukcjach. Jak widać, rekonstrukcje te były bardzo dobre. Może korygowane za pomocą sprzętu von Lessingera. Zniekształcone ciała, wielkie szczęki, niemożność jedzenia mięsa z powodu braku siekaczy, wielka trudność w mówieniu.

–Molly – powiedział na głos. – Wiesz, kim są chupperzy?

Kiwnęła głową.

Jim Planck powiedział, że to neandertalczycy. Nie tyle napromieniowane dziwolągi, ile zwyczajni ludzie z epoki kamiennej.

Taksówka kołysząc się przemierzała miasteczko chupperów. Jej mózg elektroniczny poszukiwał położonego niedaleko domu, w którym mieszkał znany na całym świecie pianista Richard Kongrosian.

Czy przy obcych czujesz, że nie istniejesz? – skrzeczała reklama Theodorusa Nitza. – Nie zauważają cię, jakbyś był niewidzialny? Czy w autobusie albo statku kosmicznym rozglądasz się i widzisz, że nikt, absolutnie nikt cię nie poznaje, nie zwraca na ciebie uwagi i możesz nawet...

Za pomocą śrutówki na dwutlenek węgla Maury Frauenzimmer zestrzelił reklamę Nitza, która wisiała na ścianie po przeciwnej stronie jego zaśmieconego biura. Musiała wcisnąć się tutaj w nocy, bo rano powitała go swoim cienkim głosikiem.

Zniszczona reklama opadła na podłogę. Maury zmiażdżył ją butem i odstawił strzelbę na miejsce.

–Poczta – rzekł Chic Strikerock. – Gdzie jest dzisiejsza poczta? – Odkąd przyszedł do biura, szukał jej wszędzie.

Maury głośno siorbnął kawę z kubka.

–Zobacz na wierzchu dokumentów. Pod szmatką, którą czyścimy klawisze maszyny do pisania. – Wgryzł się w śniadaniowy pączek pokryty lukrem. Zauważył, że Chic dziwnie się dziś zachowuje, i był ciekaw, co to może oznaczać.

Nagle Chic rzekł:

–Maury, napisałem do ciebie list. – Rzucił złożony kawałek papieru na biurko.

Maury wiedział, co w nim jest, nawet bez zaglądania do środka.

–Zwalniam się – rzekł Chic. Był bardzo blady.

–Proszę, nie rób tego – odparł Maury. – Na pewno będzie lepiej. Nie muszę jeszcze zamykać firmy. – Nie przeczytał listu. Pozostawił papier tam, gdzie Chic go rzucił. – Co będziesz robił, jeśli odejdziesz?

–Wyemigruję na Marsa.

Stojący na biurku interkom zabrzączał, a sekretarka, Greta Trupę, powiedziała:

–Panie Frauenzimmer, przyszedł pan Garth McRae z kilkoma innymi panami.

Ciekawe, kto to taki, zastanawiał się Maury.

–Nie wpuszczaj ich jeszcze – powiedział. – Rozmawiam z panem Srrikerockiem.

–Nie przeszkadzaj sobie. Musisz prowadzić interes – przypomniał mu Chic. – Ja idę. Zostawię moją rezygnację na twoim biurku. Życz mi szczęścia.

–Powodzenia. – Maury czuł się przygnębiony i chory. Gapił się na biurko, aż drzwi otworzyły się i zamknęły za Chikiem. Wspaniały początek dnia, pomyślał. Podniósł list, rozłożył. Potem złożył znowu. Nacisnął guzik interkomu. – Panno Trupę, proszę wpuścić... tego pana, o którym pani mówiła. Gartha McRae, czy jak mu tam i jego towarzyszy.

–Tak, panie Frauentzimmer.

Maury natychmiast rozpoznał urzędników państwowych. Dwóch z nich miało na sobie szare mundury policji państwowej, a mężczyzna przewodzący grupie, zapewne McRae, wyglądał na urzędnika najwyższego szczebla; innymi słowy, na wysoko postawionego gesa. Maury niezdarnie poderwał się na nogi i wyciągnął dłoń.

–Czym mogę panom służyć?

McRae podał mu rękę.

–Pan jest Frauentzimmer?

–Zgadza się. – Maury'emu serce waliło i z ledwością oddychał. Czy mają zamiar go zamknąć? Tak jak wiedeńską szkołę psychoanalityków? – Czy coś zrobiłem? – Słyszał, jak głos mu drży ze zdenerwowania. Nieszczęścia zawsze chodzą parami.

McRae się uśmiechnął.

–Jeszcze nic. Przyszliśmy do pana, aby zacząć rozmowy w sprawie złożenia zamówienia w pańskiej firmie. Jednakże rozmowa ta będzie dotyczyła informacji na poziomie gesów. Czy możemy rozpruć pański interkom?

–S-słucham?! – Maury wybałuszył oczy.

McRae skinął do ludzi z policji państwowej i odsunął się na bok. Jeden z policjantów sprawnie rozłączył interkom. Następnie zaczęli rozglądać się po ścianach i meblach. Skrupulatnie przeglądali pokój i znajdujący się w nim sprzęt. Potem skinęli do McRae'a.

McRae ciągnął:

–W porządku. Panie Frauentzimmer, mamy tutaj plany simulakram, którego budowę chcielibyśmy panu zlecić. Proszę. – Wyciągnął zapieczętowaną kopertę. – Niech pan to obejrzy, poczekamy.

Maury otworzył kopertę i zaczął przeglądać jej zawartość.

–Czy podejmie się pan tej pracy? – spytał McRae.

Maury podniósł głowę.

–Przecież to opis der Alte.

–Zgadza się – przytaknął McRae.

A więc o to chodzi, pomyślał Maury. To jest właśnie ta gesowska informacja. Teraz jestem gesem. Wystarczył krótki moment. Jestem teraz jednym z nich. Szkoda, że Chic odszedł. Biedny Chic, nie mógł wybrać sobie gorszego momentu na odejście. Ma pecha. Gdyby został jeszcze pięć minut...

–To trwa od pięćdziesięciu lat – rzekł McRae.

Wciągnęli go. Chcieli, żeby wiedział wszystko.

–O kurczę – dziwił się Maury – nigdy bym nie podejrzewał. Oglądałem go w telewizji, słuchałem przemówień. A przecież sam buduję takie urządzenia. – Był wstrząśnięty.

–Karp dobrze wypełniał swoje zadanie – kontynuował McRae. – Szczególnie w przypadku obecnego der Alte, Rudiego Kalbfleischa. Ciekawi byliśmy, czy pan się domyślał.

–Nie – przyznał Maury. – Ani razu o tym nie pomyślałem. – Nie domyśliłby się tego chyba nigdy.

–Czy może pan to zrobić? Zbudować następnego?

–Pewnie – pokiwał głową Maury.

–Kiedy może pan zacząć?

–Natychmiast.

–Dobrze. Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że początkowo policja państwowa będzie musiała stacjonować tutaj, żeby nadzorować bezpieczeństwo prac.

–W porządku – zgodził się Maury. – Jak trzeba, to trzeba. Zaraz, niech pan chwilkę poczeka. – Przecisnął się obok nich do drzwi i wyszedł do sekretariatu. Byli tak zdziwieni, że go wypuścili. – Panno Trupę, czy zauważyła pani, w którym kierunku poszedł pan Strikerock? – spytał.

–Odjechał, panie Frauenzimmer – poprawiła go sekretarka. – W kierunku

autobahnu. Chyba pojechał do domu, do Abrahama Lincolna.

Biedny chłopcze, pomyślał Maury. Potrząsnął głową. Pech nadal Chica prześladował. Maury czuł się teraz szczęśliwy. To wszystko zmienia, pomyślał. Znowu ruch w interesie. Sprzedaję swoje produkty królowi, a właściwie Białemu Domowi, ale co za różnica. Przecież to jest to samo. Tak, zupełnie to samo!

Wrócił do biura, gdzie McRae i inni czekali na niego. Patrzyli na niego ze złością.

–Przepraszam – powiedział. – Szukałem mojego dyrektora sprzedaży. Chciałem go tu ściągnąć. Przez jakiś czas nie będziemy przyjmować nowych zamówień, żeby móc się na tym skoncentrować... – Zawahał się. – A co do kosztów...

–Podpiszemy kontrakt – przerwał mu McRae. – Zagwarantujemy panu zwrot kosztów plus czterdzieści procent. Rudi Kalbfleisch kosztował nas w sumie miliard dolarów SZEA netto, plus oczywiście koszty konserwacji i napraw od czasu zakupu.

–Ach tak – zgodził się Maury. – Lepiej żeby nie zaciął się w środku przemówienia. – Miał ochotę zachichotać, ale nie mógł w tym momencie.

–Czy suma ta wydaje się panu do przyjęcia? Powiedzmy między jednym miliardem a półtora?

–Tak, może być. – Miał wrażenie, że jego głowa za chwilę stoczy się z ramion i upadnie na podłogę.

McRae przyjrzał mu się i rzekł:

–Pańska firma jest bardzo mała, panie Frauentzimmer. I ja, i pan zdajemy sobie z tego sprawę. Niech pan się zbytnio nie podnieca. Na pewno nie stanie się pan potentatem, takim jak Karp und Sohnen Werke. Jednak firma zapewni panu egzystencję. Oczywiście, jesteśmy w stanie wspierać pana ekonomicznie tak długo, jak długo to będzie konieczne. Przejrzeliśmy pańskie księgi, czy napawa to pana przerażeniem? Wiemy, że od wielu miesięcy stacza się pan na dno.

–Zgadza się – przyznał Maury.

–Ale pańskie produkty nam odpowiadają – kontynuował McRae. – Dokładnie przyjrzelśmy się wielu z nich tutaj i tam, gdzie pracują, na Księżycu i Marsie. Widać, że są dziełem uzdolnionego człowieka. I to bardziej uzdolnionego niż Karp. Dlatego właśnie przyszliśmy do pana, a nie do Antona i starego Felixa.

–Tak się właśnie zastanawiałem – rzekł Maury. A więc dlatego rząd zdecydował się tym razem złożyć zamówienie u niego, a nie u Karpa. Czyżby Karp zbudował wszystkich dotychczasowych derAltel Dobrze pytanie. Jeśli tak, cóż to była za

radykalna zmiana opinii rządu! Lepiej jednak o nic nie pytać.

–Proszę się poczęstować – rzekł McRae, wyciągając do niego pudełko cygar Optimo Admirala. – Wyjątkowo łagodne. Liście z Florydy.

–Dziękuję. – Maury z wdzięcznością, ale niepewnie przyjął wielkie zielonkawe cygaro. On i McRae zapalili, patrząc sobie w oczy, po czym zapadła pełna spokoju i bezpieczeństwa cisza.

Edgar Stone był zaskoczony wiadomością wywieszoną na tablicy informacyjnej w Abrahamie Lincolnie, mówiącą, że Duncan i Miller zostali wybrani przez łowcę talentów na występy w Białym Domu. Przeczytał ogłoszenie jeszcze kilka razy, szukając jakiegoś żartu i zastanawiając się, jak ten mały, nerwowy, skurczony człowieczek potrafił tego dokonać.

Musieli jakoś oszukiwać, zdecydował Stone. Tak jak ja przepuściłem go w teście... W podobny sposób ktoś inny musiał sfałszować rezultaty kolejnych ocen w trakcie kwalifikacji talentów. Sam słyszał grę na butelkach, był obecny w trakcie przedstawienia i wiedział, że Duncan i Miller ze swoimi butelkami klasycznymi nie byli wcale tacy dobrzy. Właściwie byli niezli... ale intuicja podpowiadała mu, że wcale nie dlatego się zakwalifikowali.

Gdzieś w środku, głęboko, poczuł gniew, złość na siebie, że sfałszował wynik testu Duncana. Wskazałem mu ścieżkę do sukcesu. Ocaliłem go. A teraz jest już na drodze do Białego Domu.

Nic dziwnego, że Ian Duncan uzyskał tak mało punktów w teście z rel-polu. Musiał pewnie ćwiczyć na butelce. Duncan nie miał czasu na rzeczywistość, choć pozostała część społeczeństwa musiała się z nią borykać. Życie artysty jest straszne, pomyślał gorzko Stone. Takiego nie obowiązują żadne reguły ani odpowiedzialność. Może robić, co mu się żywnie podoba.

W każdym razie wystawił mnie do wiatru, powiedział do siebie.

Idąc szybko korytarzem na drugim piętrze, dotarł do biura duszpasterza. Zadzwoił, a drzwi otworzyły się, ukazując mu duchownego, który siedział za biurkiem pogrążony w pracy. Jego twarz wyrażała zmęczenie.

–Hmm... ojciec – zaczął Stone – przyszedłem się wyspowiadać. Czy możesz poświęcić mi parę minut? Muszę komuś opowiedzieć o moich grzechach.

Patrick Doyle podrapał się w czoło i skinął głową.

–Taaak – mruknął. – Z deszczu pod rynnę. Od rana przez konfesjonator zgłosiło się do mnie już dziesięciu prezesów. Proszę. – Wskazał niechętnie alkowę, która

przylegała do jego biura. – Siadaj i podłącz się. Będę słuchał i wypełniał formularze 4-10, które dostałem właśnie z Berlina.

Przepełniony sprawiedliwym oburzeniem, trzęsącymi się rękami Edgar Stone podłączył elektrody konfesjonatora do odpowiednich miejsc na czaszce, wziął mikrofon i zaczął się spowiadać. Wałki maszyny powoli się obracały, rejestrując jego wypowiedź.

–W przyływie niezrozumiałej litości – zaczął – złamałem zasady tego budynku. Ale najbardziej mnie martwi nie tyle sam ten czyn, ile motywy za nim stojące. Czyn ten jest tylko wynikiem nieprawidłowego zachowania się wobec współmieszkańców. Mój sąsiad, Ian Duncan, kiepsko spisał się na ostatnim teście z rel-polu i podejrzewałem, że zostanie wyrzucony z Abrahama Lincolna. Identyfikowałem się z nim, bo podświadomie postrzegam siebie jako nieudacznika, zarówno jako mieszkańiec tego budynku, jak i człowiek. Dlatego też sfalszowałem wynik testu i sprawiłem, że Duncan zdał. Tak więc należy dać panu Ianowi Duncanowi nowy test z rel-polu, a ten, który ja podpisałem, unieważnić. – Spojrzał na duszpasterza, ale ten najwyraźniej nie reagował.

To tyle, jeśli chodzi o Duncana i jego butelkę klasyczną, powiedział do siebie Stone.

Konfesjonator zdążył już zanalizować spowiedź. Wypluł z siebie kartkę, a Doyle wstał i sięgnął po nią. Po długim, dokładnym jej przestudiowaniu podniósł wzrok i żywiej przyjrzał się Stone'owi.

–Panie Stone – rzekł – napisano tutaj, że pańska spowiedź nie jest wcale spowiedzią. O co panu właściwie chodzi? Niech pan wraca i zaczyna wszystko od początku. Nie opowiedział pan wszystkiego wystarczająco dokładnie i nie dostarczył pan maszynie materiału do analizy. Proponuje, żeby zaczął pan następną spowiedź od stwierdzenia, że świadomie chciał pan zmylić konfesjonator.

–To niemożliwe – powiedział Stone, a właściwie starał się powiedzieć. Głos z trudem wydobywał mu się z gardła sparaliżowanego konsternacją. – Poporozmawiajmy o tym nieoficjalnie. Sfalszowałem test Iana Duncana. To fakt. A co do moich motywów...

Doyle mu przerwał:

–Czy przypadkiem nie zazdrości pan Duncanowi? Słyszał pan o jego sukcesie, o występach w Białym Domu?

Zapadła cisza.

–Hm... możliwe – wyznał w końcu Stone. – Ale nie zmienia to faktu, że zgodnie z wszelkimi zasadami Ian Duncan nie powinien tutaj mieszkać. Powinien zostać

wyrzucony z oczywistych powodów. Niech pan sprawdzi w Kodeksie Mieszkańców Budynków. Pamiętam, że jest tam ustęp mówiący o takiej sytuacji.

–Ale przecież nie może pan stąd wyjść bez prawdziwej spowiedzi – nalegał duszpasterz. – Musi pan spełnić wymogi maszyny. Stara się pan wyrzucić sąsiada po to, aby zaspokoić swoje osobiste, emocjonalne i psychologiczne potrzeby. Niech pan się wyświadczy, a potem, być może, porozmawiamy o kodeksie i jego wykładni odnoszącej się do Duncana.

Stone jęknął i jeszcze raz podłączył skomplikowaną plątaninę elektrod do swojej głowy.

–Dobrze – zazgrzytał zębami. – Nienawidzę Iana Duncana, ponieważ został obdarzony talentem artystycznym, a ja nie. Proszę o wysłuchanie mnie przez dwunastoosobową radę sąsiadów, którzy stwierdzą, jaką karę należy wymierzyć za mój grzech. Nalegam także, by Duncan przeszedł jeszcze jeden test z rel-polu! Nie dam za wygraną! On nie ma prawa mieszkać pośród nas. Z moralnego i prawnego punktu widzenia jest to naganne.

–Teraz przynajmniej mówi pan uczciwie – stwierdził Doyle.

–Prawdę mówiąc – ciągnął Stone – podoba mi się jego gra na butelce. Podobał mi się ich występ tamtego wieczora. Muszę jednak postępować zgodnie z interesem publicznym.

Wydawało mu się, że konfesjonator parsknął szyderczo, kiedy wypluwał drugą kartkę. Może jednak było to tylko subiektywne wrażenie.

–Pograża się pan coraz bardziej – rzekł Doyle, czytając kartkę. – Niech pan spojrzy. – Podał z uśmiechem kartkę Stone'owi. – W pańskim mózgu toczy się walka pomieszanych, ambiwalentnych opinii. Kiedy spowiadał się pan po raz ostatni?

Stone zaczerwienił się i wymamrotał:

–Wydaje mi się... że w sierpniu zeszłego roku. Papę Jones był wtedy duszpasterzem. Tak, to musiało być w sierpniu. – W rzeczywistości miało to miejsce na początku lipca.

–Trzeba będzie nad panem popracować – stwierdził Doyle, zapalił cygaro i usadowił się wygodniej w fotelu.

Po długich dyskusjach i zażartych walkach zdecydowali, że utworem otwierającym ich koncert w Białym Domu będzie utwór Bacha Chaconne w D. Al zawsze go lubił, choć był trudny. Kiedy Al myślał, że będą go grać, robił się nerwowy. Wolałby, żeby zdecydowali się na o wiele prostszą Suitę na pięćdziesiąt skrzypiec. Ale było już za

późno. Al wysłał informację do sekretarza Białego Domu, pana Harolda Slezaka.

–No i czego się boisz – uspokajał go Al. – Przecież grasz drugie skrzypce. Chyba nie masz nic przeciwko temu, że ja gram pierwsze?

–Nie – odparł Ian. Rzeczywiście, było to pocieszające. Al miał o wiele trudniejszą część.

Poza obwodem Złomowiska Numer Trzy papula poruszyła się i przeszła przez chodnik swoim kołyszącym się krokiem w pogoni za klientami. Była dopiero dziesiąta rano i w pobliżu nie przechodził jeszcze nikt wart zainteresowania. Dzisiaj parking został rozłożony w górzystej części Oakland w Kalifornii, pośród krętych, osłoniętych drzewami dróg w lepszej dzielnicy mieszkalnej. Po drugiej stronie parkingu Ian dostrzegł budynek Joe Louis o ciekawym kształcie, z tysiącem mieszkań zajmowanych głównie przez bardzo wysoko postawionych Murzynów. W porannym słońcu budynek wyglądał na szczególnie ładny i zadbany. Wejście patrolował zaopatrzony w pistolet i identyfikator strażnik. Zatrzymywał wszystkich, którzy nie mieszkali w budynku.

–Slezak musi zatwierdzić program – przypomniał mu Al. – Może Nicole nie będzie chciała słuchać kantaty. Ma bardzo wyszukany gust, który w dodatku zmienia się co chwila.

W myślach Ian ujrzał Nicole leżącą w swoim wielkim łóżku w różowej sukience z falbankami. Na tacy obok stało śniadanie, a Nicole przeglądała program, który dano jej do akceptacji. Słyszała już o nas, pomyślał. Wie o naszym istnieniu. W tym wypadku naprawdę istniejemy. Jak dziecko, które musi być dogłądane przez matkę, zostaliśmy powołani do życia przez spojrzenie Nicole.

A kiedy już nie będzie na nas patrzeć, to co dalej? Co stanie się z nami później? Przystaniemy istnieć, pograżymy się z otchłani zapomnienia. Rozpadniemy się na pojedyncze atomy, pomyślał. Wrócimy tam, skąd przyszliśmy, do świata niebytu. Do świata, gdzie dotąd przebywaliśmy.

–Poza tym – ciągnął Al – może poprosić nas o bis. Może nawet zażyczyć sobie jakiś swój ulubiony utwór. Sprawdziłem to i zdaje się, że czasami prosi o zagranie Szczęśliwego rolnika Schumanna. Kapujesz? Lepiej popracujmy nad Szczęśliwym rolnikiem, tak na wszelki wypadek. – W zamyśleniu zagrał parę nut na butelce.

–Nie mogę – rzekł nagle Ian. – Ja tak nie mogę. To dla mnie zbyt wiele znaczy. Na pewno coś pójdzie nie tak. Nie spodobamy jej się i wyrzucą nas. Będzie to na nas ciężać do końca życia.

–Słuchaj, mamy papulę. Dzięki niej... – Al urwał. Chodnikiem szedł wysoki, barczysty, starszy mężczyzna w drogiej marynarce z włókien naturalnych. – Mój

Boże, to przecież sam Lukę – zdziwił się Al. Wyglądał na przestraszonego. – Tylko dwa razy widziałem go w życiu. Coś musi być nie tak.

–Lepiej ściągnij papulę – zaproponował Ian. Papula zaczęła iść w kierunku Stukniętego Luke'a.

–Nie mogę – odparł Al. zdenerwowany. W desperacji tańczył palcami po klawiszach na pasie. – Nie odpowiada.

Lukę pochylił się, podniósł papulę i szedł dalej w kierunku parkingu.

–Ma przede mną pierwszeństwo w kierowaniu papulą – powiedział Al i spojrzał na lana.

Otworzyły się drzwi do biura i stanął w nich Stuknięty Lukę.

–Dotarła do mnie informacja, że używasz jej w wolnym czasie do własnych celów – powiedział do Ala poważnym tonem. – Mówiliśmy ci, żebyś tego nie robił. Papula należy do parkingu, a nie do operatora.

–Słuchaj, Lukę... – próbował się tłumaczyć Al.

–Powinienem cię zwolnić – ciągnął Lukę – ale jesteś dobrym sprzedawcą, więc nie zrobię tego. Przez jakiś czas jednak będziesz musiał wyrabiać normę bez pomocy. – Z papulą pod pachą ruszył do wyjścia. – Mój czas jest cenny. Muszę iść. – Zauważył butelkę Ala. – To nie jest instrument muzyczny. Do tego wlewa się whisky.

–Słuchaj, Lukę – tłumaczył Al – to przecież reklama. Występy dla Nicole oznaczają, że sieć złomowisk uzyska pewien prestiż. Prawda?

–Nie potrzebuję prestiżu – rzekł Lukę, zatrzymując się w drzwiach. – Nie zabawiam Nicole Thibodeaux. Pozwalam, żeby prowadziła swoje społeczeństwo, jak jej się podoba, a ja prowadzę swoje złomowiska tak, jak mnie się podoba. Ona zostawia mnie w spokoju, a ja ją i wszystko jest w porządku. Nie zmieniaj tego. Powiedz Slezakowi, że nie możesz wystąpić i zapomnij o tym. Zresztą żaden dorosły mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie dmuchałby do pustej butelki.

–Tu się pan myli – odparł Al. – Sztukę odnajduje się w najbardziej przyziemnych, codziennych przedmiotach, jak na przykład w tych butelkach.

Lukę dłużył w zębach srebrną wykałaczką.

–Nie masz już teraz papuli do zmiękczenia Pierwszej Rodziny. Pomyśl lepiej o tym. Naprawdę uważasz, że się wam uda bez papuli? – Uśmiechnął się szeroko.

Po chwili milczenia Al zwrócił się do Iana.

–On ma rację. To papulą pracowała za nas. Ale... niech to szlag... zrobmy to tak czy inaczej.

–Masz jaja – stwierdził Luke – ale brak ci rozumu. Podziwiam cię jednak. Teraz wiem, dlaczego jesteś jednym z lepszych sprzedawców w naszej organizacji. Nie poddajesz się. Weź papulę wieczorem przed występem w Białym Domu i zwróć mi ją następnego dnia rano. – Rzucił okrągłą, przypominającą żuka istotę Alowi. Al złapał ją i przycisnął do piersi jak wielką poduszkę. – Może będzie to dobra reklama dla złomowisk – rzekł w zamyśleniu Luke. – Ale wiem z pewnością, że Nicole nas nie lubi. Zbyt wielu ludzi wyślizgnęło jej się z rąk dzięki nam. Jesteśmy dziurą w jej systemie i ona o tym wie. – Znowu szeroko się uśmiechnął, ukazując złote zęby.

–Dzięki, Luke – rzekł Al.

–Ale ja będę ją obsługiwał – zdecydował Luke. – Zdalnie. Jestem w tym lepszy niż ty. Ostatecznie to ja je zbudowałem.

–Pewnie – odparł Al. – I tak będę przecież miał ręce zajęte graniem.

–Tak – przytaknął Luke – będziesz potrzebował obydwu dłoni do tej butelki.

Coś w tonie Luke'a zaniepokoiło Iana Duncana. Co on zamierza? – zastanawiał się. Tak czy inaczej, on i jego przyjaciel Al Miller nie mieli wyjścia. Papula musiała pracować dla nich. I nie było wątpliwości, że Luke potrafi ją dobrze obsługiwać. Wykazał już swoją wyższość nad Alem i jak stwierdził, Al będzie miał zajęte ręce. Niemniej...

–Luke – zapytał Ian – czy kiedykolwiek spotkał pan Nicole? – Ta myśl naszła go nagle, intuicyjnie.

–Pewnie. Wiele lat temu. Miałem trochę kukiełek. Mój ojciec i ja podróżowaliśmy tu i tam, wszędzie dając przedstawienia kukielkowe. W końcu dochrapaliśmy się występu w Białym Domu.

–I co się stało? – spytał Ian.

Po chwili zastanowienia Luke odparł:

–Nie podobał jej się nasz występ. Powiedziała, że nasze lalki są nieprzyzwoite.

I dlatego jej nienawidzisz, pomyślał Ian. Nigdy jej nie wybaczyłeś.

–A były?

–Nie. To prawda, jedno przedstawienie polegało na rozbieraniu się. Mieliśmy kukiełki zwariowanych dziewczyn. Nikt jednak nigdy wcześniej nie miał nic przeciwko nim. Mój ojciec bardzo wziął to sobie do serca, aleja się nie przejąłem. – Lukę mówił z beznamiętną twarzą.

–Czy Nicole już wtedy była Pierwszą Damą? – spytał Al.

–Och, tak – odparł Lukę. – Już od siedemdziesięciu trzech lat zajmuje to stanowisko. Nie wiedziałaś?

–Niemożliwe! – powiedzieli Al i Ian równocześnie.

–Możliwe. Tak naprawdę jest staruszką. Musi być. Prababcią. Ale podejrzewam, że nadal nieźle się trzyma. Zobaczycie, kiedy będziecie przed nią występować.

–A... a... w telewizji... – wyjąkał Ian w osłupieniu

–No pewnie – zgodził się Lukę. – W telewizji wygląda na dwudziestkę. Ale spójrzcie tylko do ksiązek historycznych... chociaż właściwie nie możecie, bo książki te są udostępniane tylko gesom. To znaczy prawdziwe książki historyczne. Nie te, które dostajecie, żeby przygotować się do testów z rel-polu. Kiedy przeczytacie, sami zrozumiecie. Tam są wszystkie fakty. Ukryte przed ludźmi.

Fakty, zdał sobie sprawę Ian, są niczym, kiedy widzisz na własne oczy, że jest równie młoda jak zawsze. A my przecież widzimy to każdego dnia.

Kłamiesz, Lukę, pomyślał. Wiemy o tym. Wszyscy o tym wiemy. Mój kumpel Al ją widział. Al powiedziałby mi, gdyby naprawdę tak wyglądała. Nienawidzisz jej i dlatego mówisz takie rzeczy. Roztrzęsiony obrócił się plecami do Luke'a, nie chcąc mieć z nim już nic wspólnego. Siedemdziesiąt trzy lata na stanowisku... przecież musiałaby mieć prawie dziewięćdziesiątkę. Zmarszczył brwi. Zaraz wymazał tę myśl z pamięci. Przynajmniej się starał.

–Powodzenia, chłopcy – rzekł Lukę, żując wykałaczkę.

Szkoda, że rząd zakazał pracy psychoanalitykom, pomyślał Al Miller. Spojrzał na drugą stronę biura i na swojego kolegę Iana Duncana. Bo kiepsko z tobą, zdał sobie sprawę. Ale właściwie jeden jeszcze przyjmował. Słyszał o nim w telewizji. Doktor Superb, bodajże tak się nazywał.

–Ian – powiedział – potrzebujesz pomocy. Nie możesz grać dla Nicole w tym stanie.

–Wszystko będzie dobrze – stwierdził krótko Ian.

–Byłeś już kiedyś u psychiatry? – spytał Al.

–Parę razy, dawno temu.

–Myślisz, że to lepsze niż terapia chemiczna?

–Wszystko jest lepsze od terapii chemicznej.

Jeśli jest to jedyny psychoanalityk w całych SZEA, pomyślał Al, na pewno ma tłum pacjentów. Nie będzie chciał przyjąć nikogo więcej.

Jednak, dla czystego sumienia, poszukał numeru telefonu, podniósł słuchawkę i zadzwonił.

–Do kogo dzwonisz? – spytał podejrzliwie Ian.

–Do doktora Superba. Ostatniego...

–Wiem. Ale po co? Dla siebie? Dla mnie?

–Może dla nas obydwu – odparł Al.

–Ale głównie dla mnie.

Al nie odpowiedział. Na ekranie pojawił się obraz dziewczyny z pięknymi, dużymi i wysoko umieszczonymi piersiami. Usłyszał jej głos:

–Biuro doktora Superba.

–Czy doktor przyjmuje jeszcze jakichś nowych pacjentów? – spytał Al, przypatrując się dokładnie dziewczynie.

–Tak – odparła energicznym, pewnym głosem.

–Świetnie! – ucieszył się zdziwiony Al. – Ja i mój partner chcielibyśmy umówić się w takim razie na wizytę, w dowolnym terminie. Im szybciej, tym lepiej. – Podał jej nazwisko swoje i Iana.

–Może w piątek o dziewiątej trzydzieści rano? – zaproponowała dziewczyna.

–W porządku – zgodził się Al. – Dziękuję bardzo. – Szybko się rozłączył. – Załatwione! Teraz możemy wyjawić nasze zmartwienia komuś, kto ma odpowiednie kwalifikacje, żeby nam pomóc. A co do wizerunku matki... Widziałeś tę dziewczynę? Bo...

–Możesz iść – odparł Ian. – Ja nie idę.

–Jeśli nie pójdziesz – rzekł spokojnie Al – to nie zagram w Białym Domu. Dlatego

chyba lepiej będzie, jak pójdziesz.

Ian patrzył na niego z niedowierzaniem.

–Nie żartuję – upewnił go Al.

Zapadła długa, nienaturalna cisza.

–Dobrze – powiedział w końcu Ian. – Ale tylko raz. Tylko w ten piątek.

–To będzie zależeć od lekarza.

–Słuchaj, jeśli Nicole Thibodeaux ma pięćdziesiąt lat, żadna psychoterapia mi już nie pomoże.

–Tak bardzo związałeś się z nią emocjonalnie? Z kobietą, której nigdy nie widziałeś? To schizofrenia. Bo przecież ona jest... – Al machnął ręką. – Iluzją. Czymś syntetycznym, nierzeczywistym.

–Co jest nierzeczywiste, a co rzeczywiste? Dla mnie ona jest bardziej rzeczywista niż ktokolwiek inny. Nawet ty. Nawet ja i moje własne życie.

–Do diabła – zdziwił się Al. Był pod wrażeniem. – No cóż, przynajmniej masz dla kogo żyć.

–Zgadza się – skinął głową Ian.

–Zobaczymy, co Superb powie w piątek – zdecydował Al. – Spytały go, czy to rzeczywiście schizofrenia. – Wzruszył ramionami. – Zresztą może się myłę. Może to wcale nie jest schizofrenia. – Może to Lukę i ja jesteśmy wariatami, pomyślał. Dla niego na przykład Lukę był bardziej rzeczywisty, o wiele ważniejszy niż Nicole Thibodeaux. Ale z drugiej strony widział przecież Nicole na własne oczy, a Ian nie. I to właśnie ich różniło, chociaż wcale nie wiedział dlaczego.

Podniósł butelkę i zaczął ćwiczyć. Po chwili także Ian Duncan przyłączył się do gry i razem dmuchali w instrumenty.

Chudy, niewysoki i wyprostowany major zapowiedział:

–Frau Thibodeaux, oto marszałek Rzeszy, pan Hermann Goering.

Potężnie zbudowany mężczyzna, ubrany w białą szatę podobną do togi i trzymający na skórzanej smyczy coś, co wyglądało jak lwiątko, postąpił do przodu i rzekł po niemiecku:

–Miło mi panią poznać, pani Thibodeaux.

–Panie marszałku – rzekła Nicole – czy pan wie, gdzie się znajduje teraz?

–Tak – skinął głową Goering. Do lwiątko rzucił ostro: – Sei ruhig, Marsi. – Lwiątko się położyło.

Bertold Goltz przyglądał się tej scenie z ciekawością. Dzięki własnemu sprzętowi von Lessingera podróżował już nieco dalej w czasie. Nie mógł się doczekać, kiedy Nicole sprowadzi Goeringa. I oto chwila ta nadeszła. A właściwie nadejdzie za siedem godzin.

Mając sprzęt von Lessingera, łatwo było przedostać się do Białego Domu mimo straży policji państwowej. Goltz po prostu przeniósł się w czasie do momentu, gdy Biały Dom jeszcze nie istniał, po czym wrócił do bliskiej przyszłości. Dokonywał już kilka razy podobnej sztuczki i miał zamiar ją często stosować. Wiedział o tym, bo wpadł już kiedyś na siebie z przyszłości, łapiąc się na gorącym uczynku. Spotkanie go rozbawiło. Nie tylko mógł swobodnie obserwować Nicole, ale także siebie z przeszłości i przyszłości. Przyszłości, która nie musiała, ale mogła się przydarzyć. Mógł więc swobodnie przyglądać się potencjalnym wydarzeniom.

Zawrą układ, zdecydował Goltz. Nicole i Goering. Reichsmarschallowi, zabranemu pierwotnie z roku 1941, a potem 1944, pokazane zostaną zrujnowane Niemcy z roku 1945. Ujrzy on koniec nazizmu, ujrzy samego siebie w dokach Norymbergi, a potem swoje samobójstwo, dokonane za pomocą trucizny schowanej w odbycie. Łagodnie mówiąc, wyrze to na nim kolosalne wrażenie. Nie będzie trudno przekonać go do układu. Naziści, nawet bez wywierania specjalnej presji, byli ekspertami od układów. Kilka cudownych rodzajów broni z przyszłości, jakie pojawiły się pod koniec drugiej wojny światowej oraz w wieku barbarzyństwa, używanych będzie nie przez trzynaście lat, ale – jak obiecywał Hitler – przez tysiąclecie. Promienie śmierci, lasery, bomby wodorowe o mocy stu megaton... wszystko to bardzo pomoże siłom Trzeciej Rzeszy. No i oczywiście A-1 i A-2, czyli – jak zwali je alianci

–V-1 i V-2. Teraz naziści będą mieć swoje A-3, A-4 i tak dalej bez ograniczeń, jeśli

tylko będzie to potrzebne. Goltz zmarszczył czoło. Otwierały się przed nimi nowe możliwości, mroczne i przerażające. Były oczywiście także inne warianty rozwoju sytuacji, równie straszne, ale jednak lepsze niż te, w których naziści kroczyli po drodze utorowanej przez broń z przyszłości...

–Hej, ty! – zawołał strażnik z Białego Domu, zauważając nagle Goltza, który stał częściowo ukryty w rogu Pokoju Orchidei. Strażnik natychmiast wyciągnął pistolet i wycelował.

Rozmowa pomiędzy Thibodeaux, Goeringiem i czterema doradcami wojskowymi od razu ucichła. Wszyscy zwrócili się w kierunku Goltza i strażnika.

–Frau Nicole – rzekł Goltz, parodiując powitanie Goeringa. Niezbity z tropu zrobił krok naprzód. Przecież i tak przewidział to wszystko za pomocą maszyny von Lessingera. – Wie pani, kim jestem. Widmem na przyjęciu. – Zachichotał.

Ale oczywiście Biały Dom także posiadał maszynę von Lessingera i podobnie jak on przewidział całą sytuację. Spotkanie to miało w sobie jakiś posmak grozy. Nie można było do niego nie dopuścić. Nie było żadnych alternatyw przyszłości... zresztą Goltz wcale się tym nie przejmował. Już dawno temu nauczył się, że nie ma dla niego miejsca, jeśli pozostanie anonimowy.

–Innym razem, Goltz – rzekła z niesmakiem Nicole.

–Ależ właśnie teraz – odparł Goltz, idąc w jej kierunku.

Człowiek z policji państwowej spojrzał na nią w oczekiwaniu na dalsze instrukcje. Wyglądał na zdezorientowanego. Poirytowana Nicole machnęła do niego ręką.

–Kto to jest? – spytał Reichsmarschall, przyglądając się Goltzowi.

–Zwykły, biedny Żyd – przedstawił się Goltz. – Nie taki jak Emil Stark, którego zresztą nie ma tutaj, Nicole, mimo twojej obietnicy. Jest wielu biednych Żydów, panie Reichsmarschall. I to zarówno w pańskich czasach, jak i w naszych. Nie posiadam żadnych dóbr kulturalnych ani ekonomicznych, które moglibyście skonfiskować. Żadnych dzieł sztuki ani Geld. Przykro mi. – Usiadł przy stole konferencyjnym i nalał sobie szklankę wody z dzbanka. – Czy pańskie zwierzątko, Marsi, przynosi pecha? Ja oder nein?

–Nie – odparł Goering, głaszcząc z lubością lwiątko. Potem usiadł, kładąc je na stole przed sobą. Lwiątko zwinęło się w kłębek i zamknęło oczy.

–Moja obecność – zaczął Goltz – moja żydowska obecność jest tutaj niepożądana. Ciekaw jestem, dlaczego nie ma tutaj Emila Starka. Czemu, Nicole? Czy obawiałaś się, że urazisz w ten sposób marszałka Goeringa? Dziwne... Przecież to Himmler za

pośrednictwem Eichmanna zajmował się Żydami na Węgrzech. Poza tym w Luftwaffe, dowodzonej przez obecnego tu marszałka, jest żydowski generał, niejaki Milch. Prawda, Herr Goering? – zwrócił się do Reichsmarschalla.

–Nie wiedziałem nic o Milchu – odparł Goering poirytowany. – Jedno co mogę powiedzieć, to że jest dobrym żołnierzem.

–Widzisz – rzekł Bertold Goltz do Nicole – Herr Goering jest przyzwyczajony do tego, że ma do czynienia z Juden. Prawda, Herr Goering? Nie musi pan odpowiadać. Sam to zauważyłem. A co do układu...

–Bertold – wtrąciła się wściekła Nicole – wynoś się stąd! Pozwalałam twoim bandom tłoczyć się na ulicach, ale teraz wszystkich pozamykam, jeśli będziesz próbował nam przeszkadzać. Wiesz, o co mi chodzi. Ty chyba najbardziej ze wszystkich powinienes mnie tutaj wspierać.

–Ale tego nie robię.

–Dlaczego? – wyrwało się jednemu z doradców wojskowych.

–Dlatego – odpowiedział Goltz – że kiedy naziści z waszą pomocą wygrają drugą wojnę światową, zmasakrują wszystkich Żydów. I to nie tylko tych w Europie i białej Rosji, ale w Anglii, Stanach Zjednoczonych i Ameryce Łacińskiej – mówił zupełnie spokojnie. Przecież widział to wszystko, przyglądał się temu dzięki maszynie von Lessingera. Widział kilka z możliwych alternatyw przyszłości. – Pamiętajcie, że dla nazistów celem samym w sobie była eksterminacja świata żydowskiego. Nie był to tylko produkt uboczny ich działań wojennych.

Zapadła cisza, którą po długiej chwili przerwała Nicole.

–Zastrzelcie go – powiedziała do ludzi z ochrony.

Strażnik z wycelowanym w Goltza pistoletem wypalił. Dokładnie w tym samym momencie Goltz dotknął przełącznika maszyny von Lessingera. Cała scena, wraz z jej uczestnikami, rozmyła się i znikła. Bertold Goltz nadal był w tym samym Pokoju Orchidei, ale teraz już sam. Mimo to czuł wyraźną obecność duchów przyszłości, które były tu przed chwilą razem z nim.

Widział mgliście psychokinezyka, Richarda Kongrosiana, w dziwnych sytuacjach. Najpierw podczas jakichś jego dziwacznych rytuałów oczyszczania się, później z Wilderem Pembroke'em. Komisarz policji państwowej coś robił, ale Goltz nie widział go zbyt wyraźnie. Nagle ujrzał siebie, najpierw u władzy, a potem martwego. W polu widzenia pojawiała się także Nicole, która za każdym razem wyglądała inaczej, czego nie mógł zrozumieć. Śmierć wydawała się w przyszłości wszechobecna. Cóż to oznaczało? Czy były to tylko halucynacje?

Załamaniem się precyzji obrazów prowadziło w prostej linii do Richarda Kongrosiana. Był to efekt siły psychokinetycznej, zniekształcenie materiału przyszłości wywołane przez parapsychologiczny talent.

Gdyby Kongrosian to wiedział, pomyślał Goltz. Taka siła... jest tajemnicą nawet dla jej posiadacza. Kongrosian obdarzony talentem, mimo swego szaleństwa, choć wydawało się, że nie jest w stanie funkcjonować, wywierał jednak przemożny wpływ na krajobraz przyszłości. Gdybym tylko mógł to rozgryźć, pomyślał Goltz. Ten człowiek jest, a właściwie stanie się jedną z najważniejszych zagadek dla nas wszystkich... a wtedy dopnę swego. Przyszłość nie będzie już składać się z cieni wymieszanych w konfiguracjach, które nie dają się rozplatać.

W swoim pokoju w szpitalu psychiatrycznym Richard Kongrosian mówił na głos:

–Jestem już całkiem niewidzialny. – Podniósł dłoń i rękę, ale nic nie ujrzał. – Stało się – dodał. Nie słyszał także swego głosu. Tego również nie mógł nie zauważyć. – I co ja mam teraz zrobić? – spytał cztery ściany swego pokoju.

Nie usłyszał odpowiedzi. Był zupełnie sam. Nie miał już żadnego kontaktu z innymi przedstawicielami świata żywych.

Muszę się stąd wydostać, zdecydował. Muszę szukać pomocy, bo tutaj jej nie otrzymam. Lekarze nie są w stanie zatrzymać rozwoju choroby.

Pojadę z powrotem do Jenner. Spotkam się z synem.

Nie było sensu szukać doktora Superba ani innego lekarza, niezależnie od tego, czy leczył chemicznie, czy nie. Okres szukania właściwej terapii dobiegł końca. Nadeszła nowa epoka. Co legnie u jej podstaw? Nie wiedział jeszcze. Ale wiedział, że niedługo się tego dowie. Pod warunkiem oczywiście, że przeżyje. Ale jak miał przeżyć, jeśli pod każdym względem był już martwy?

–To jest to – powiedział do siebie. – Umarłem, a jednak żyję.

Może w takim razie, pomyślał, powinienem szukać nowych narodzin.

Spokojnie – bo przecież nikt go nie mógł dostrzec – ruszył korytarzem, zszedł na dół i opuścił bocznymi drzwiami szpital. Szedł teraz chodnikiem nieznanym sobie ulicy, gdzieś w położonej na wzgórzach części San Francisco, otoczonej przez ogromne, wysokie budynki mieszkalne, z których wiele pochodziło jeszcze sprzed trzeciej wojny światowej.

Unikał stawiania na szczeliny w betonie i w ten sposób starał się nie pozostawiać na swojej drodze niezdrowego odoru, który wydzielał.

Chyba jest ze mną lepiej, stwierdził. Przynajmniej udało mi się odkryć rytuał oczyszczenia, który równoważyłby zapach mego ciała przez jakiś czas. Gdyby nie to, że nadal jestem niewidzialny...

Jak mam grać w tym stanie na pianinie? – pytał sam siebie. Bez wątpienia to już koniec mojej kariery. Wtedy nagle przypomniał sobie Merrilla Judda, chemika z A.G. Chemie.

Judd miał mi pomóc. W związku z tą całą niewidzialnością zupełnie o tym zapomniałem.

Mogę wziąć taksówkę automatyczną i pojechać do A.G. Chemie.

Machnął na przejeżdżającą taksówkę, lecz najwyraźniej go nie zauważyła. Zawiedziony patrzył, jak odjeżdża. Wydawało mi się, że elektroniczne urządzenia skanujące nadal mnie dostrzegają, pomyślał. Ale najwyraźniej się myliłem.

A może pójdę piechotą?

Chyba będę musiał. Bo przecież nie wejdę do zwykłych środków transportu publicznego. To nie byłoby fair w stosunku do innych.

Mam dla Judda zadanie, pomyślał. Nie tylko musi zmyć mój wywołany przez fobię zapach ciała, ale jeszcze raz musi uczynić mnie niewidzialnym... Nie uda im się. To zbyt poważna sprawa, nie dadzą rady. W takim razie będę musiał szukać odrodzenia. Kiedy spotkam Judda, spytam go o to i zobaczymy, czy A.G. Chemie może mi w tym pomóc. Było nie było, są po Karpie drugą najbardziej wpływową organizacją w SZEA. Żeby znaleźć jeszcze większą potęgę, musiałbym wrócić do ZSRR.

A.G. Chemie jest taka dumna ze swoich metod terapii chemicznej; sprawdźmy, czy mają lek, który prowadzi do ponownych narodzin.

Szedł chodnikiem i rozmyślał, unikając następowania na szczeliny w betonie, kiedy nagle zauważył, że na jego drodze coś leży. Było to jakieś stworzenie, płaskie, o owalnym kształcie, pomarańczowe w czarne kropki. Machało antenkami. W tej samej chwili w jego głowie pojawiła się myśl:

Odrodzenie... tak, nowe życie, które można zacząć od początku w zupełnie nowym świecie.

Mars!

Kongrosian zatrzymał się i rzekł:

–Masz rację.

Na chodniku przed nim stała papula. Rozejrzał się wokół i dostrzegł zacumowane niedaleko złomowisko z blaszakami pobłyskującymi w słońcu. Na środku parkingu, w małym budynku biurowym siedział operator i Kongrosian zaczął powoli iść w jego kierunku. Papula ruszyła za nim, ciągle do niego nadając.

Zapomnij o A.G. Chemie... oni ci nie pomogą.

Racja, pomyślał Kongrosian. Jest już za późno. Gdyby Judd od razu wpadł na jakiś pomysł, może jeszcze coś dałoby się zrobić. Ale teraz...

W tym momencie zdał sobie z czegoś sprawę. Papula go widziała. Albo przynajmniej wyczuwała jego obecność jakimś organem lub zmysłem, w tym czy innym wymiarze. I... nie przeszkadzał jej jego smród.

Ani trochę, zapewniła go papula. Pachniesz wspaniale. Nie mam żadnych zastrzeżeń.

Kongrosian zatrzymał się i rzekł:

–Czy na Marsie też tak jest? Będą mogli mnie widzieć... albo przynajmniej wyczuwać... i nie będzie im przeszkadzać mój zapach?

Na Marsie nie ma reklam Theodorusa Nitza, odparła papula. Stopniowo pozbędziesz się skażenia. Tamtejsze środowisko jest czyste, dziewicze. Wejdź do biura i porozmawiaj z panem Millerem, naszym przedstawicielem handlowym. On chętnie ci pomoże. Przecież po to tu jest.

Kongrosian posłusznie otworzył drzwi biura. Przed nim czekał jeszcze inny klient; handlowiec wypełniał właśnie formularz kontraktu. Klient był chudy, wysoki, łysiejący, wyglądał na chorego lub zmęczonego. Spojrzał na Kongrosiana i przesunął się w bok.

Przeszkadza mu mój zapach.

–Przepraszam – mruknął przepraszająco Kongrosian.

–Panie Strikerock – mówił handlowiec do oczekującego klienta – będzie pan łaskaw podpisać się tutaj... – Obrócił formularz i podał klientowi długopis.

Klient w spazmie aktywności mięśniowej podpisał się i cofnął, najwyraźniej trzęsąc się z napięcia.

–To wielki moment – powiedział do Kongrosiana – kiedy człowiek się na to decyduje. Nigdy sam z siebie nie miałem na tyle odwagi, ale zasugerował mi to psychiatra. Powiedział, że jest to dla mnie najlepsze wyjście.

–Kim jest pański psychiatra? – spytał z zainteresowaniem Kongrosian.

–Przecież mamy tylko jednego psychiatrę. Doktora Egona Superba.

–Ja też się u niego lecę – zdziwił się Kongrosian. – To cholernie dobry lekarz. Właśnie z nim rozmawiałem.

Klient z uwagą przyjrzał się twarzy Kongrosiana, po czym powiedział powoli i wyraźnie:

–Pan był tym człowiekiem, który rozmawiał z nim przez telefon. Pan dzwonił do doktora Superba. Byłem wtedy na wizycie.

–Panie Strikerock – odezwał się handlowiec – jeśli zechce pan wyjść ze mną, poinstruuje pana odnośnie do użytkowania. Może pan wybrać dowolny pojazd. – Potem zwrócił się do Kongrosiana: – Za chwilę wrócę. Proszę poczekać.

Kongrosian o mało nie upadł.

–Pan... pan mnie widzi?

–Widzę każdego – odparł handlowiec. – Po pewnym czasie. – Po czym wyszedł za Strikerockiem.

Uspokój się, rzekła papula w umyśle Kongrosiana. Pozostała w biurze, najwyraźniej chcąc dotrzymać mu towarzystwa. Wszystko w porządku. Pan Miller zajmie się tobą, i to już za chwiiiiilkę, zakończyła śpiewnie, jakby kołysząc go do snu. Wszystko w porząząądku, uspokajała go.

Nagle klient, Strikerock, wszedł znowu do biura i rzekł do Kongrosiana:

–Przypominam sobie! Pan jest tym sławnym pianistą koncertowym, który zawsze gra dla Nicole w Białym Domu. Richard Kongrosian.

–Tak – przyznał Kongrosian. Miło mu było, że go rozpoznano. Na wszelki wypadek jednak odsunął się ostrożnie od Strikerocka, żeby nie urazić go zapachem. – To dziwne, pan też mnie widzi. Przecież dopiero co stałem się niewidzialny... właśnie o tym rozmawiałem z doktorem Superbem przez telefon. W chwili obecnej szukam odrodzenia. Dlatego właśnie chcę emigrować. Na Ziemi nie ma już dla mnie ratunku.

–Wiem, co pan czuje. – Strikerock pokiwał głową. – Właśnie rzuciłem pracę. Nie łączy mnie tutaj nic z nikim, ani z bratem, ani... – Umilkł, a na jego twarzy dał się zauważyć wyraz smutku. – Z nikim. Wyjeżdżam sam.

–Niech pan posłucha – rzekł nagle Kongrosian. – A może byśmy wyemigrowali

razem? Tylko... czy zapach mego ciała sprawia panu wiele przykrości?

Strikerock najwyraźniej nie wiedział, o co chodzi.

–Wyemigrować razem? To znaczy wykupić ziemię jako partnerzy?

–Mam masę pieniędzy z koncertów – stwierdził Kongrosian. – Wystarczy dla nas obydwu. – Pieniądze stanowiły najmniejszy problem. Chciałby pomóc temu Strikerockowi, który przecież właśnie rzucił pracę.

–Może się dogadamy. – Strikerock w zamyśleniu kiwał powoli głową. – Na Marsie na pewno będziemy samotni jak cholera. Nie będziemy mieli żadnych sąsiadów, jeśli nie liczyć manekinów. A widziałem ich już tyle, że wystarczy mi do końca życia.

Sprzedawca, Miller, powrócił do biura z nieco zaskoczonym wyrazem twarzy.

–Będziemy potrzebować tylko jednego blaszaka – zakomunikował Strikerock. – Kongrosian i ja emigrujemy razem, jako partnerzy.

Miller filozoficznie wzruszył ramionami i odparł:

–Pokażę wam więc nieco większy model. To model rodzinny. – Otworzył drzwi biura, a Kongrosian i Chic Strikerock wyszli na parking. – Znacie się? – spytał.

–Teraz już tak – oświadczył Strikerock. – Mamy ten sam problem, na Ziemi jesteśmy, że tak powiem, niewidzialni.

–Właśnie – zgodził się Kongrosian. – Stałem się całkowicie niewidzialny dla ludzi. Najwyraźniej nadszedł już czas emigracji.

–No cóż, jeśli tak, to macie panowie rację – zgodził się cierpko Miller.

Z telefonu rozległ się męski głos.

–Nazywam się Merrill Judd. Dzwonię z firmy A.G. Chemie. Przykro mi, że pani przeszkadzam...

–O co chodzi? – spytała Janet Raimer, siadając za swoim czystym, małym, idiosynkretycznie uporządkowanym biurkiem. Skinęła w kierunku swojej sekretarki, która natychmiast zamknęła drzwi do biura, wyciszając hałas dochodzący z korytarza Białego Domu. – Mówi pan że ma to coś wspólnego z Richardem Kongrosianem.

–Zgadza się. – Widniejąca na ekranie miniaturowa głowa Merrilla Judda potaknęła. – Dlatego też kontakt z panią wydawał mi się właściwy z uwagi na bliskie więzy łączące Kongrosiana i Biały Dom. Uznałem, że sprawa powinna panią zainteresować. Jakies

pół godziny temu próbowałem odwiedzić Richarda Kongrosiana w Szpitalu Neuropsychiatrycznym imienia Franklina Aimesa w San Francisco, ale tam go nie ma. Pracownicy nie wiedzą, gdzie jest.

–Rozumiem – rzekła Janet Raimer.

–Jak wiem, jest poważnie chory. Z mojej z nim rozmowy wnioskuję...

–Tak – przerwała mu Janet – jest chory. Czy ma pan dla nas jeszcze jakieś informacje? Jeśli nie, chciałabym od razu zająć się tą sprawą.

Psychochemik z A.G. Chemie nie miał więcej informacji. Odłożył słuchawkę, a Janet zaczęła dzwonić pod różne numery wewnętrzne, aż w końcu złapała swojego bezpośredniego przełożonego, Harolda Slezaka.

–Kongrosian opuścił szpital i znikł. Bóg jeden raczy wiedzieć, gdzie się podziewa. Pewnie wrócił do Jenner... ale oczywiście trzeba to sprawdzić. Prawdę mówiąc, uważam, że należy w sprawę zaangażować policję państwową. Kongrosian jest dla nas bardzo ważny.

–Bardzo ważny – powtórzył Slezak jak echo, marszcząc nos. – Powiedzmy raczej, że go lubimy. Wolelibyśmy nie musieć obchodzić się bez niego. Postaram się załatwić pozwolenie Nicole na zaangażowanie policji. Wydaje mi się, że masz rację co do oceny sytuacji. – Bez zbędnych słów pożegnania Slezak rozłączył się. Janet odłożyła słuchawkę.

Zrobiła wszystko, co było w jej mocy. Teraz sprawa nie leżała już w jej gestii.

Po chwili w biurze zjawiał się komisarz policji państwowej z notatnikiem w dłoni. Był to Wilder Pembroke – spotkała go już wiele razy, kiedy zajmował mniej ważne stanowiska. Usiadł przy biurku i zaczął zadawać pytania.

–Sprawdziłem już w szpitalu. – Patrzył na nią w zamyśleniu. – Wygląda na to, że Kongrosian zadzwonił do doktora Egon Superba... wie pani, kto to jest. Jedyne praktykujący psychoanalityk. W chwilę potem wyszedł. Czy wiedziała pani, że Kongrosian spotyka się z Superbem?

–Oczywiście – odparła Janet. – Już od jakiegoś czasu.

–Jak pani myśli, dokąd mógł się udać?

–Jeśli nie do Jenner...

–Nie. Mamy tam swojego człowieka.

–W takim razie nie wiem, niech pan spyta Superba.

–Właśnie to robimy – odparł Pembroke.

Zaśmiała się.

–Może przyłączył się do Bertolda Goltza.

Komisarz nie wyglądał na rozbawionego. Twarz miał kamienną.

–Oczywiście sprawdzimy także i tę możliwość. Jest jeszcze szansa, że natknął się na jeden z parkingów Stukniętego Luke'a, na złomowisko. Zawsze pojawiają się w odpowiedniej chwili w odpowiednim miejscu. Bóg jeden wie, jak to robią, ale tak jest. Spośród wszystkich możliwości... – Pembroke mówił właściwie sam do siebie, wyglądał na dość podnieconego – według mnie ta jest najgorsza.

–Kongrosian nigdy nie poleciałby na Marsa – stwierdziła Janet. – Przecież tam nie ma zapotrzebowania na jego talent. Nie potrzebują pianistów. A pod przykrywką ekscentryka i artysty Richard jest wielkim spryciarzem.

–Może ma dość grania – zasugerował Pembroke. – Może przerzucił się na coś innego.

–Ciekawe, czy psychokinetyk może być dobrym farmerem.

–Może Kongrosian zastanawia się teraz dokładnie nad tym samym? – zauważył Pembroke.

–Przecież... wzięłyby żonę i syna.

–Może nie. Może właśnie o to chodzi. Czy widziała pani jego syna? Jego potomstwo? Czy zna pani okolice Jenner i wie, co tam się dzieje?

–Tak – stwierdziła krótko.

–W takim razie sama pani rozumie. Oboje umilkli.

Ian Duncan siadał właśnie w wygodnym skórzanym fotelu przed doktorem Egonem Superbem, kiedy do biura wpadł oddział policji.

–Będzie pan musiał przełożyć tę wizytę na kiedy indziej – rzekł młody dowódca oddziału po okazaniu swojej legitymacji. – Richard Kongrosian znikł ze szpitala i staramy się go namierzyć. Czy kontaktował się z panem?

–Nie po tym, jak opuścił szpital – odparł Superb. – Dzwonił do mnie wcześniej, kiedy był jeszcze w...

–To wiemy. Jak się panu wydaje, czy jest możliwe, że Kongrosian dołączył do Synów Hioba?

Superb odparł od razu:

–To niemożliwe.

–W porządku. – Policjant zanotował odpowiedź. – Czy myśli pan, że mógł pójść na parking Stukniętego Luke'a? Wyemigrować albo starać się wyemigrować?

Superb namyślał się przez chwilę.

–Ma ku temu powody. Przecież potrzebuje izolacji i ciągle jej szuka.

Dowódca zamknął notatnik, odwrócił się do swojego oddziału i rzekł:

–A więc to o to chodzi. Musimy zamknąć parkingi. – Wyjął przenośny system i rzekł: – Doktor Superb uznał emigrację za prawdopodobną. Powinniśmy iść dalej tym śladem. Natychmiast sprawdzić obszar San Francisco i zbadać, czy przypadkiem nie pojawił się tam jakiś parking. To tyle. – Rozłączył się. – Dziękujemy za pomoc, doktorze Superb. Jeśli Kongrosian skontaktuje się z panem, proszę nas powiadomić. – Położył na biurku swoją kartę wizytową.

–Bądźcie... dla niego mili – rzekł Superb. – Jeśli uda wam się go odnaleźć. On jest bardzo ciężko chory.

Policjant słabo się uśmiechnął, po czym nakazał oddziałowi opuścić pomieszczenie. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Ian Duncan i Superb byli znowu sami.

Duncan rzekł dziwnym, ochrypłym głosem:

–Cóż, chyba lepiej będzie, jeśli przyjdę do pana kiedy indziej. – Niepewnie wstał i dodał: – Do widzenia.

–O co chodzi? – zapytał Superb, także się podnosząc.

–Muszę iść. – Ian Duncan już znikł za drzwiami.

Dziwne, pomyślał Superb. Ten... zdaje się, Ian Duncan, nie powiedział nawet słowa. Dlaczego pojawienie się policji tak go poruszyło?

Ciągle się zastanawiając, ale nie znajdując żadnej odpowiedzi, wrócił na swój fotel i poprosił Amandę Conners, by przysłała następnego pacjenta. W poczekalni panował tłok, a wszyscy ukradkowo przyglądali się Amandzie i każdemu j ej ruchowi.

–Tak, doktorze – usłyszał słodki głos Amandy, który natychmiast podniósł go na

duchu.

Opuściwszy gabinet psychoanalityka, Ian Duncan w pośpiechu zaczął szukać taksówki. Wiedział, że Al jest w San Francisco. Al dał mu plan przemieszczania Złomowiska Numer Trzy. Dopadną Ala. To koniec Duncana i Millera, i ich butelek klasycznych.

Podjechała opływowa, nowoczesna taksówka.

–...mogę pomóc, chłopie?

–Pewnie – odparł Ian i rzucił się przez ulicę w jej kierunku.

Mam szansę, pomyślał, kiedy taksówka zmierzała do podanego celu. Ale oni będą tam pierwsi. A może nie? Policja musi przeszukać całe miasto, osiedle po osiedlu. On natomiast znał dokładnie miejsce, gdzie stał Parking Numer Trzy. Może jednak miał niewielką szansę...

Jeśli dopadną ciebie, Al, to będzie także mój koniec, mówił do siebie w myślach. Nie mogę grać sam. Przyłączę się do Goltza albo umrę. Obie możliwości są równie straszne. Ale to nie będzie już miało znaczenia.

Taksówka pędziła przez miasto w stronę Złomowiska Numer Trzy.

Nat Flieger zastanawiał się, czy chupperzy mają jakąś muzykę ludową. EME była zainteresowana wszelkiego rodzaju muzyką. Ale przecież nie to było teraz ich zadaniem. Przed nimi wyrósł dom Richarda Kongrosiana, pomalowany na bladozielony kolor, trzypiętrowy budynek z niewiarygodnie starymi, brązowymi, zaniedbanymi palmami, które rosły na podwórku.

Ale Goltz mówił...

–Dotarliśmy na miejsce – mruknęła Molly.

Antyczna taksówka zwolniła, wydała z siebie niezdecydowany brzęk i stanęła. Zapadła cisza. Nat słuchał wiatru świszczącego w konarach drzew i cichego, miarowego kapania deszczu, który padał bez przerwy na taksówkę, na roślinność, źle utrzymany stary drewniany dom z tarasem i wieloma małymi oknami, z których kilka było pękniętych.

Jim Planck zapalił cygaro i rzekł:

–Ani śladu życia.

Była to prawda. Goltz najwyraźniej miał rację.

–Wydaje mi się, że gonimy za nim jak głupi. – Molly otworzyła drzwi taksówki i wyskoczyła na zewnątrz. Błoto pod jej stopami ustępowało z plaskaniem. Zrobiła kwaśną minę.

–A chupperzy? – zauważył Nat. – Zawsze przecież możemy nagrać ich muzykę. Oczywiście jeśli jakąś mają. – On także wygramolił się na zewnątrz. Stał obok Molly i obydwójce patrzyli bez słowa na ogromny stary dom.

Ogarnęła ich melancholia. Z rękami w kieszeniach Nat podszedł do domu. Stał na zwirowej ścieżce, która przechodziła pomiędzy starymi krzakami fuksji i kamelii. Molly szła za nim, Jim Planck został w samochodzie.

–Miejmy to już za sobą i zmywajmy się stąd – powiedziała Molly i zadrżała, bo było jej zimno w bawełnianej bluzce i szortach.

Nat objął ją ramieniem.

–A to co ma znaczyć? – zdziwiła się.

–Nic szczególnego. Nagle cię polubiłem. Zresztą polubiłem właściwie wszystko, co nie jest wilgotne i nie pluska. – Na chwilę przygarnął ją mocniej do siebie. – Nie jest

ci choć trochę lepiej?

–Nie – odparła Molly. – A może i tak, nie wiem. – Wydawała się poirytowana. – Jezu, idź wreszcie na ganek i zapukaj! – Odsunęła się i popchnęła go do przodu.

Nat wszedł po zapadających się drewnianych stopniach na ganek i zadzwonił.

–Źle się czuję – rzekła Molly. – Co to takiego?

–Wilgoć. – Także dla Nata powietrze było zbyt ciężkie i obezwładniające. Z trudem oddychał. Zastanawiał się, jaki wpływ będzie miała pogoda na jego ganimedańską formę życia, czyli aparat rejestrujący. Lubiła wilgoć, więc może tutaj rozkwitnie. Może ampek F-a2 mógł nawet żyć sam w lesie tropikalnym. Nat zdał sobie sprawę, że znalazł się w środowisku bardziej obcym niż na Marsie. Porównanie Marsa i Tijuany wypadło na pewno lepiej niż Jenner i Tijuany. Z ekologicznego punktu widzenia.

Drzwi się otworzyły. Stała w nich kobieta ubrana w długą jasnożółtą bluzę. Blokowała całe przejście i przyglądała mu się spokojnie brązowymi, łagodnymi, ale dziwnie nieufnymi oczami.

–Pani Kongrosian? – rzekł niepewnie.

Beth Kongrosian nie wyglądała najgorzej. Ciemna blondynka, mogła mieć koło trzydziestki. Była dość wysoka, a figurze nie mógłby niczego zarzucić. Przyglądał się z szacunkiem i zainteresowaniem.

–Pan ze studia? – Dość niski głos nie wyrażał żadnych uczuć. – Pan Dondoldo dzwonił do mnie i powiedział, że już państwo jedziecie. Co za szkoda. Jeśli chcecie, możecie wejść do środka, ale Richarda nie ma. – Otworzyła szerzej drzwi. – Richard jest w szpitalu, w San Francisco.

O Boże, pomyślał. Co za beznadziejny pech. Obrócił się do Molly i bez słowa wymienili spojrzenia.

–Proszę, wejdźcie – zachęcała Beth Kongrosian. – Przygotuję wam kawę albo obiad, zanim wyjedziecie. Macie przed sobą długą drogę.

–Wracaj i powiedz Jimowi – rzekł Nat do Molly. – Ja chyba skorzystam z oferty pani Kongrosian. Chętnie wypiję filiżankę kawy.

Molly obróciła się i ruszyła w kierunku taksówki.

–Wyglądacie na zmęczonych – powiedziała Beth Kongrosian. – Pan się nazywa Flieger? Zapisalam pańskie nazwisko. Podał mi je pan Dondoldo. Richard na pewno z przyjemnością by zagrał dla państwa. Jaka szkoda. – Wprowadziła go do pokoju

gościnnego. Był ciemny i chłodny, wypełniony wiklinowymi meblami, a co najważniejsze suchy. – Może drinka? – spytała. – Co pan powie na dżin z tonikiem? Ja napiję się szkockiej. A może woli pan szkocką z lodem?

–Nie, dziękuję, poproszę kawę – odparł Nat. Przyjrzał się fotografii na ścianie. Przedstawiała mężczyznę i dziecko na huśtawce. – Czy to państwa syn?

Kobiety jednak nie było już w pokoju.

Przyjrzał się bliżej. Dziecko na fotografii miało szczękę chuppera.

Weszli Molly i Jim Planck. Machnął na nich ręką i we trójkę przyglądali się zdjęciu.

–Ciekawe, czy mają jakąś muzykę – zastanawiał się Nat.

–Nie mogą śpiewać – zauważyła Molly. – Jak mogliby śpiewać, skoro nie mogą mówić? – Odeszła od zdjęcia i stanęła z założonymi rękami, przyglądając się palmie za oknem. – Jakie brzydkie drzewo. – Odwróciła się do Nata. – Prawda?

–Uważam, że na świecie jest miejsce dla każdego rodzaju życia – stwierdził.

–Zgadza się – poparł go Jim Planck.

Beth Kongrosian wróciła do pokoju.

–Czego państwo sobie życzą? Kawy? Drinka? Coś do zjedzenia?

W swoim biurze, w budynku administracyjnym Karp und Sohnen Werke, filii w Detroit, Vince Strikerock właśnie odebrał telefon od swojej żony, a właściwie byłej żony, Julie. Teraz nazywała się znowu Julie Applequist, tak jak wtedy, gdy ją poznał.

Julie wyglądała pięknie, choć była nieco zdenerwowana i strapiona.

–Vince, ten twój cholerny brat... wyjechał. – Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, błagalnie. – Nie wiem, co robić.

–Gdzie pojechał, Julie? – zapytał spokojnie i powoli.

–Wydaje mi się... – Połykała słowa. – Vince, on chce emigrować. Rozmawialiśmy o emigracji i ja się nie zgodziłam, a on wyszedł sam. Był bardzo zdecydowany. Dopiero teraz to do mnie dotarło. Przedtem nie brałam tego poważnie. – Po policzkach ciekły jej łzy.

Za Vince'em pojawił się jego przełożony.

–Herr Anton Karp chce się z panem spotkać w apartamencie numer cztery.

Natychmiast. – Spojrzał na ekran i zrozumiał, że to połączenie prywatne.

–Julie – powiedział Vince niezręcznie – muszę kończyć.

–Dobra – odparła kiwając głową. – Ale zrób coś dla mnie. Znajdź Chica, dobrze? Nigdy więcej już cię o nic nie poproszę. Obiecuję. Po prostu muszę go odzyskać.

Wiedziałem, że się wam nie powie, pomyślał Vince. Czuł ponurą satysfakcję. Trudno, kochanie. Popełniłaś błąd. Znam Chica i wiem, że kobiety takie jak ty go przerażają. Tak go wystraszyłaś, że zdecydował się emigrować, a skoro już zaczął działać, na pewno się nie zatrzyma i nie będzie oglądać się za siebie. Bo to jest podróż w jedną stronę.

–Zrobię, co będę mógł – obiecał.

–Dzięki, Vince – westchnęła przez łzy. – Chociaż nie Kocham cię już, to nadal...

–Do widzenia – uciął i rozłączył się.

Chwilę później jechał windą.

Anton Karp od razu przeszedł do rzeczy:

–Herr Strikerock, wiem, pański brat pracuje w malutkiej, znajdującej się na skraju bankructwa firmie, która działa pod nazwą Frauentzimmer Associates. Zgadza się? – Ciężka, ponura twarz Karpa zdradzała napięcie.

–Tak – odparł powoli i ostrożnie Vince. – Ale... – zawahał się. Oczywiście, jeśli Chic wyemigruje, będzie musiał rzucić pracę. Nie będzie mógł zabrać jej ze sobą. Czego Karp mógł chcieć? Lepiej być ostrożnym i nie mówić zbyt wiele. – Ale, hmm...

–Czy on może pana tam wprowadzić?

Vince zamruga.

–Do fabryki? Jako gościa? Czy też... – Kiedy patrzył w zimne, niebieskie oczy niemieckiego przemysłowca, czuł, że już wie, o co chodzi. – Nie rozumiem – wymamrotał.

–Dziś – rzekł Karp energicznym, ostrym staccato – rząd powierzył kontrakt na symulakra Herr Frauentzimmerowi. Przemysleliśmy sytuację i nasza odpowiedź będzie podyktowana obecnymi warunkami. Dzięki temu zamówieniu firma Frauentzimmer się rozwinie, zatrudni nowych pracowników. Chciałbym, żeby pan, dzięki swemu bratu, zaczął pracować dla nich, i to jak najszybciej. Najlepiej już od dziś.

Vince patrzył na niego osłupiały.

–O co chodzi? – spytał Karp.

–Jestem... zaskoczony – wykrztusił Vince.

–Jak tylko Frauentzimmer pana przyjmie, proszę mnie natychmiast poinformować. Niech pan nie rozmawia z nikim oprócz mnie. – Karp nerwowo przemierzał wielki pokój i drapał się energicznie w nos. – Potem panu powiemy, co dalej robić. To tyle na razie, Herr Strikerock.

–Czy ma jakieś znaczenie, co tam będę robić? – spytał Vince niepewnie. – To znaczy jaką pracę będę wykonywać?

–Nie – odparł Karp.

Vince wyszedł. Drzwi natychmiast się za nim zamknęły. Stał samotnie w korytarzu, starając się zebrać myśli. Mój Boże, pomyślał. Chcą, żebym sabotował pracę fabryki Frauentzimmera. O to im chodzi. Sabotował lub szpiegował. Tak czy inaczej, sprawa jest nielegalna i może sprowadzić mi na kark policję. Właśnie na mnie, a nie na Karpów.

Chcą też w to wplątać mojego brata, powiedział do siebie.

Czuł się bezradny. Mogli zmusić go do wszystkiego. Wystarczyło tylko, żeby Karpowie ruszyli jednym palcem.

A ja zrobię, co mi każą.

Wrócił do swojego biura, zamknął drzwi i trzęsąc się wciąż ze zdenerwowania, usiadł w fotelu. Siedział w ciszy za biurkiem, palił cygaro ze sztuczną tabaką i rozmyślał. Zauważył, że dłonie ma odrętwiałe.

Muszę się stąd wydostać, pomyślał. Nie mam zamiaru zostać żalonym, maleńkim pionkiem w grze o Karp Werke. Zgniółł cygaro o popielniczkę. Dokąd pójdę? Dokąd? Potrzebuję pomocy. Od kogo ją uzyskam?

Może od tego doktora, do którego miałem pójść razem z Chikiem.

Podniósł słuchawkę i powiedział do telefonistki:

–Połącz mnie z doktorem Egonem Superbem. Jedynym psychoanalitykiem, który jeszcze leczy – przypomniał jej.

Potem, siedząc ponuro za biurkiem, czekał ze słuchawką przy uchu na połączenie.

Zbyt dużo mam na głowie, pomyślała Nicole Thibodeaux. Usiłuję prowadzić delikatne, skomplikowane negocjacje z Hermannem Goeringiem. Powiedziałam

Garthowi McRae, by zlecił kontrakt na nowego der Alte małej firmie, a nie Karpowi. Muszę zdecydować, co zrobić dalej z Kongrosianem, jeśli uda nam się go odnaleźć. Do tego dochodzi jeszcze ustawa McPhearsona i ten psychoanalityk, doktor Superb, no i wreszcie to. Zbyt szybka decyzja policji, by rozpocząć polowanie na parkingi blaszaków Stukniętego Luke'a, podjęta bez konsultowania się ze mną ani nawet bez powiadomienia mnie.

Z nieszczęśliwą miną czytała rozkaz policyjny, który rozesłano do wszystkich jednostek PP na terenie całych SZEA. To nie leży w naszym interesie, zdecydowała. Nie mogą pozwolić sobie na atak na Luke'a, ponieważ po prostu nic na niego nie mam. Wyjdziemy tylko na głupków.

Poza tym... okażemy się społeczeństwem totalitarnym. Istniejącym wyłącznie dzięki potężnym oddziałom wojskowym i policyjnym.

Spojrzała na Wildera Pembroke'a i rzekła:

–Czy udało się już panu znaleźć ten parking? Ten w San Francisco, na którym, jak pan podejrzewa, znajduje się Richard Kongrosian?

–Nie, jeszcze nie. – Pembroke nerwowo pocierał czoło. Najwyraźniej był spięty. – Gdybym miał czas, oczywiście skonsultowałbym tę decyzję z panią. Ale kiedy Kongrosian odleci na Marsa...

–Lepiej byłoby go stracić, niż przedwcześnie atakować Luke'a! – Szanowała Luke'a. Znała go i jego interesy od dawna. Widziała, z jaką łatwością uciekał przed policją miejską.

–Dostałem interesujący raport z Karp Werke. – Pembroke oczywiście za wszelką cenę starał się zmienić temat rozmowy. – Zdecydowali się przeniknąć do organizacji Frauzimmera, by...

–Później – przerwała mu Nicole. – Wie pan, że popełnił pan błąd. Muszę panu powiedzieć, że w głębi ducha cieszę się z istnienia złomowisk. Są zabawne. W żaden sposób nie można ich odnaleźć. Ma pan umysł gliniarza. Niech pan zadzwoni do jednostki w San Francisco i powie im, żeby nie pacyfikowali parkingu, jak go już odnajdą. A jeśli go jeszcze nie odnaleźli, niech dadzą sobie spokój. Niech pan odwoła swoich ludzi i zapomni o całej sprawie. Kiedy nadejdzie czas, by ruszyć przeciw Luke'owi, sama panu powiem.

–Harold Slezak się zgodził...

–To nie Slezak decyduje o naszej polityce. Dziwne, że nie starał się pan o pozwolenie od Rudiego Kalbfleischa. To by jeszcze bardziej pasowało do was. Przyznam, że pana nie lubię. Jest pan dla mnie podejrzany. – Patrzyła, jak komisarz

policji państwowej kuli ramiona i zwiesza głowę. – I co? Niech pan mi odpowie.

–Nie znaleźli parkingu, więc nic się jeszcze nie stało – rzekł Pembroke z godnością. Wyciągnął swój syskom. – Zostawcie parkingi w spokoju – polecił. Nie wyglądał w tej chwili zbyt imponująco. – Zapomnijcie o całej sprawie. Tak, dobrze słyszycie. – Wyłączył syskom i podniósł głowę, by spojrzeć na Pierwszą Damę.

–Powinam pana zamknąć – rzekła Nicole.

–Czy coś jeszcze, pani Thibodeaux? – Głos Pembroke'a brzmiał obojętnie.

–Nie. Żegnam.

Pembroke wyszedł miarowym, sztywnym krokiem.

Nicole spojrzała na zegarek. Była już ósma. Cóż to zaplanowano na dzisiejszy wieczór? Najpierw miał być krótki program z kolejną, siedemdziesiątą piątą w tym roku Wizytą w Białym Domu. Czy Janet udało się coś zorganizować tak, żeby Slezak zdołał odpowiednio zaplanować program?

Pewnie nie.

Przeszła przez Biały Dom do małego biura Janet Raimer.

–Masz coś spektakularnego? – spytała.

Janet przejrzała szybko swoje notatki, zmarszczyła brwi i powiedziała:

–Jeden z występów będzie naprawdę czymś zadziwiającym. Gra na butelkach. Muzyka klasyczna. Duncan i Miller. Oglądałam ich w Abrahamie Lincolnie, byli świetni. – Uśmiechnęła się.

Nicole jęknęła.

–Naprawdę są dobrzy – powtórzyła Janet z naciskiem. Z nakazem. – To relaksująca muzyka. Proszę cię, daj im szansę. Będą grać dziś albo jutro, nie jestem pewna, na kiedy Slezak ich zaplanował.

–Gra na butelkach – rzekła Nicole. – Tak nisko upadliśmy od czasów Richarda Kongrosiana. Zaczynam już sądzić, że powinniśmy oddać się w ręce Bertolda Goltza. I pomyśleć tylko, że w epoce barbarzyństwa mieli Kirstena Flagstada, który ich zabawiał.

–Może będzie lepiej, kiedy nowy der Alte obejmie stanowisko – rzekła Janet.

Nicole przyjrzała jej się z pewnym ożywieniem.

–Skąd o tym wiesz?

–Wszyscy w Białym Domu o tym mówią. W końcu – zjeżyła się Janet Raimer – jestem przecież gesem.

–To pięknie – rzekła sardonicznie Nicole. – W takim razie musisz wieść naprawdę wspaniałe życie.

–Czy możesz mi powiedzieć, jaki będzie następny der Alte?

–Stary – odparła Nicole. Stary i zmęczony, dopowiedziała sobie w duchu. Sztywny formalista, pełen moralizujących przemówień, prawdziwy typ lidera, który jest w stanie wbić posłuszeństwo do głów besów. Który zdoła podtrzymać walący się system. Według techników od maszyny von Lessingera będzie ostatnim der Alte. Przynajmniej wedle wszelkiego prawdopodobieństwa. Nie potrafią jednak wyjaśnić dlaczego. Wygląda na to, że mamy szansę, choć niewielką. Czas i dialektyczna siła historii są po stronie najgorszego Osobnika z możliwych. Tego wulgarnego brutala Bertolda Goltza.

Przyszłość jednak nie jest jeszcze pewna i zawsze pozostaje miejsce na nieprzewidziane i nieprawdopodobne. Każdy, kto korzystał z maszyny von Lessingera, wie, że... podróżowanie w czasie nadal jest po większej części sztuką, a nie nauką.

–Będzie się nazywać Dieter Hogben – dokończyła Nicole.

Janet zachichotała.

–Och, nie, tylko nie Dieter Hogben. A może Hogbein? Co tak naprawdę starasz się osiągnąć w ten sposób?

–Będzie pełen godności – rzekła sztywno Nicole.

Nagle tuż za nią rozległ się jakiś odgłos. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z komisarzem policji państwowej. Pembroke wyglądał na wzburzonego, ale zadowolonego.

–Pani Thibodeaux, znaleźliśmy Richarda Kongrosiana. Zgodnie z podejrzeniami doktora Superba, był na złomowisku i przygotowywał się do wylotu na Marsa. Czy mamy sprowadzić go do Białego Domu? Oddział w San Francisco czeka na rozkazy; nadal przebywają na parkingu.

–Pojadę tam – zdecydowała pod wpływem impulsu Nicole. – Poproszę, by zrezygnował z pomysłu emigracji. Dobrowolnie. Jestem pewna, że potrafię go przekonać... nie będziemy musieli posuwać się do używania siły.

–Utrzymuje, że jest niewidzialny – ciągnął Pembroke, idąc razem z Nicole przez korytarz Białego Domu w kierunku lądowiska na dachu. – Oddział jednak twierdzi, że jest najzupełniej widzialny, przynajmniej dla nich.

–To kolejne z jego złudzeń – wyjaśniła Nicole. – Musimy postarać się mu to wyperswadować. Powiem, że jest widzialny i koniec.

–A co do jego zapachu...

–A niech to diabeł weźmie! – ucięła Nicole. – Mam dość tych jego wszystkich dolegliwości. Mam dość wysłuchiwania o hipochondrycznych obsesjach. Zamierzam złamać go siłą i majestatem państwa. Musi wreszcie przestać poddawać się swoim wymyślonym chorobom.

–Ciekawe, czy to coś da – zadumał Pembroke.

–Na pewno – rzekła Nicole. – Nie będzie miał wyboru. Na tym to właśnie polega. Nie zamierzam go prosić, tylko wydam mu polecenie.

Pembroke spojrział na nią i wzruszył ramionami.

–Zbyt długo już się z nim bawimy – ciągnęła Nicole. – Śmierdzący czy niewidzialny, jest przecież pracownikiem Białego Domu i ma występować zgodnie z grafiką, bo inaczej... Nie może uciekać na Marsa, do szpitala, do Jenner czy gdziekolwiek indziej.

–Tak proszę pani – rzekł głucho Pembroke pochłonięty własnymi, zagmatwanymi myślami.

Kiedy Ian Duncan dotarł do Złomowiska Numer Trzy w centrum San Francisco, stwierdził, że jest za późno. Policja państwowa już tam była. Zauważył zaparkowane samochody policyjne i ubranych w szare uniformy drągali z PP obstawiających cały parking.

–Wypuść mnie tutaj – poinstruował taksówkę. Znajdował się zaledwie o jedną przecznicę od parkingu.

Zapłacił i ostrożnie wyszedł z taksówki. Na ulicy zebrała się już grupka gapiów, którzy nie mieli nic lepszego do roboty, więc Ian Duncan dołączył do nich, niby się dziwiąc, co policja państwowa robi na parking.

–Co się dzieje? – spytał mężczyzna stojący koło Iana. – Wydawało mi się, że jeszcze nie zaczęli walki z parkingami. Myślałem...

–Coś się musiało zmienić w pol-rządzie – zawyrokowała kobieta po lewej.

–W pol-rządzie – powtórzył jak echo mężczyzna, który najwyraźniej nie rozumiał.

–Gesowski termin – rzekła z dumą kobieta. – Polityka rządowa.

–Aha. – Mężczyzna pokiwał głową.

–Teraz zna pan termin gesowski – rzekł Ian.

–Rzeczywiście – ożywił się mężczyzna. – Znam gesowski termin.

–Ja też kiedyś znałem gesowski termin – kontynuował Ian. Zauważył Ala siedzącego w biurze naprzeciw dwóch policjantów. Oprócz Ala był tam jeszcze jeden człowiek... nie, dwóch. Jednym z nich był Richard Kongrosian. Innym... poznał go. Był to jego współmieszkaniec z Abrahama Lincolna, Chic Strikerock, mieszkał na ostatnim piętrze, Ian widywał go wiele razy na spotkaniach i w kawiarni. Jego brat, Vince, pełnił aktualnie obowiązki kontrolera identyfikatorów. – Przypomniałem sobie, to było "wszyracone".

–Co znaczy "wszyracone"? – spytał mężczyzna.

–Wszystko stracone – odpowiedział Ian.

Termin ten zdawał się bardzo pasować do obecnej sytuacji. Najwyraźniej Al został aresztowany. Podobnie zresztą jak Strikerock i Kongrosian, lecz oni Iana nie obchodzili. Myślał teraz tylko o duecie Duncan i Miller, i o butelkach klasycznych. O przyszłości, która otworzyła się przed nimi, kiedy Al zdecydował się jeszcze raz zagrać. Przyszłości, która z takim hukiem zamknęła teraz przed nimi drzwi. Powinienem był to przewidzieć, pomyślał ze złością Ian. Było oczywiste, że tuż przed występem w Białym Domu wkroczy policja państwowa, aresztuje Ala i będzie po sprawie. Pech prześladowuje mnie całe życie. Nie ma powodu, dla którego teraz miałyby być inaczej.

Jeśli mają Ala, zdecydował, mogą równie dobrze aresztować i mnie.

Przepchnął się przez tłumek gapiów i ruszył w kierunku najbliższego policjanta stojącego na parkingu.

–Jazda stąd! – Policjant próbował go przepędzić.

–Weźcie mnie – odparł Ian. – Ja też chcę być aresztowany.

Facet z PP spojrzał na niego zaskoczony.

–Powiedziałem: zjeżdżaj.

Ian Duncan kopnął go w pachwinę.

Policjant zaklął, chwycił lana za płaszcz i wyciągnął pistolet.

–Do diabła! Jesteś aresztowany!

–Co się tutaj dzieje? – zainteresował się inny, wyższy stopniem policjant.

–Ten palant właśnie kopnął mnie w krocze – wyjaśnił pierwszy policjant, trzymając pistolet wycelowany w lana Duncana. Był zielony na twarzy; usiłował powstrzymać wymioty.

–Jesteś aresztowany – poinformował lana dowódca.

–Wiem – skinął głową lan. – Tego właśnie chciałem. Ale i tak ta cała tyrania wkrótce się skończy.

–Jaka tyrania, głupku? Chyba coś ci się pomieszało. W więzieniu wszystko ci poukładamy.

Z biura w centrum parkingu wyszedł Al. Szedł ze zwieszoną głową.

–Co ty tutaj robisz? – spytał lana. Nie wyglądał na uradowanego jego widokiem.

–Jadę z tobą, panem Kongrosianem i Chikiem Strikerockiem – odparł lan. – Nie zamierzam stać z założonymi rękami. Teraz już i tak nie mam nic lepszego do roboty.

Al otworzył usta ze zdziwienia i usiłował coś powiedzieć. W tym momencie nadleciał statek rządowy, błyszcząc srebrną i żółtą farbą. Wydawał z siebie serie potężnych odgłosów. Zaczął powoli lądować. Policjanci natychmiast odsunęli gapiów, lan razem z Alem znalazł się w rogu parkingu pod nadzorem policjanta, którego kopnął w krocze.

Statek opadł w końcu na ziemię i wyszła z niego młoda kobieta. Nicole Thibodeaux. Była piękna... powabna i piękna. Lukę mylił się albo kłamał, lan stał zauroczony, a znajdujący się obok niego Al wykrztusił:

–Jak to? A niech mnie szlag! Co ona tutaj robi?

Nicole w towarzystwie wysokiego stopniem oficera PP przeszła przez parking do biura, wskoczyła na stopnie, weszła do środka i podeszła do Richarda Kongrosiana.

–O niego jej chodzi – powiedział Al do lana Duncana. – O pianistę. Stąd cały ten szum. – Wyciągnął fajkę z algierskiego wrzośca i kapciuch z tabaką. – Mogę zapalić? – spytał strażnika z PP.

–Nie – odparł tamten.

Al odłożył na bok fajkę i tabakę i zauważył po namyśle:

–Pomyśl tylko, przyjechała do Złomowiska Numer Trzy. Nigdy bym tego nie przewidział. – Nagle schwycił lana za ramię i mocno ścisnął. – Idę do niej, przedstawię się.

Zanim strażnik z PP zdołał cokolwiek powiedzieć, Al ruszył truchtem. Biegł między zaparkowanymi blaszakami i w ułamku sekundy znikł z pola widzenia. Bezradny policjant zaklął i wycelował pistolet w lana.

W chwilę później Al pojawił się znowu przy wejściu do małego budynku biurowego, w którym Nicole rozmawiała z Richardem Kongrosianem. Otworzył drzwi i wszedł do środka.

Kiedy Al otworzył drzwi, Richard Kongrosian mówił właśnie:

–Nie mogę grać dla pani. Śmierdzą! Stoi pani zbyt blisko mnie... proszę, Nicole, moja droga, niech pani odejdzie, na Boga! – Kongrosian odsunął się, rozejrzał, dostrzegł Ala i rzekł z pretensją: – Dlaczego tak długo pokazywał pan tego blaszaka? Dlaczego nie mogliśmy po prostu odlecieć?

–Przykro mi – odparł Al, po czym stanął przed Nicole. – Nazywam się Al Miller. Obsługuję ten parking.

Wyciągnął do niej rękę. Nicole nie zamierzała się odwzajemnić, ale patrzyła na niego.

–Pani Thibodeaux, niech pani pozwoli mu odejść. Niech pani go nie zatrzymuje. Ma prawo emigrować, jeśli tego chce. Niech pani nie czyni ludzi niewolnikami. – Było to wszystko, co przyszło mu na myśl. Wyrzucił to z siebie i ucichł. Serce mu waliło. Jak bardzo Lukę się mylił. Była tak piękna, niewyobrażalnie piękna! Potwierdzało to wrażenie, jakie odniósł, gdy widział ją kiedyś z daleka i tylko przez krótką chwilę.

–To nie pańska sprawa – odparła Nicole.

–Ależ moja. Ten pan jest moim klientem.

W tym momencie Chic Strikerock odzyskał mowę.

–Pani Thibodeaux, to zaszczyt, niewymowny zaszczyt dla... – Głos mu się załamał. Chic przełknął ślinę i zadrżał. Nie mógł dalej mówić. Cofnął się i zamarł, jakby go ktoś wyłączył. Al poczuł niesmak.

–Jestem człowiekiem chorym – wymamrotał Kongrosian.

–Zabierzcie stąd Richarda – rzekła Nicole do wysokiego rangą urzędnika PP, który stał obok niej. – Wracamy do Białego Domu. – Do Ala natomiast powiedziała: – Pański mały parking może nadal działać. Nie interesuje nas. Innym razem, może... – Popatrzyła na niego bez złości i, jak sama mówiła, bez zainteresowania.

–Proszę się odsunąć – nakazał Alowi wysoki rangą, ubrany w szary mundur policjant z surowym wyrazem twarzy. – Wychodzimy. – Minął Ala, ciągnąc Kongrosiana za sobą. Tuż za nimi szła Nicole z rękami w kieszeniach długiego futra z lamparta. Wyglądała na zamyśloną. Jakby powróciła do swoich markotnych rozważań.

–Jestem człowiekiem chorym – wymamrotał raz jeszcze Kongrosian.

–Czy mogę dostać pani autograf? – poprosił Al Pierwszą Damę. Był to impuls, wola podświadomości. Bezcelowa i bezsensowna.

–Co? – Spojrzała na niego zdziwiona. Potem pokazała swoje równe białe zęby w uśmiechu. – Mój Boże – rzekła, po czym wyszła z biura za wysokim oficerem PP i Richardem Kongrosianem. Chic Strikerock nadal starał się dobrać właściwe słowa, by wyrazić swoje myśli.

–Chyba nie dostanę jej autografu – rzekł do niego Al.

–Co... co pan o niej myśli? – wyjąkał Strikerock.

–Urocza – zawyrokował Al.

–Tak – zgodził się Strikerock. – Niewiarygodne. Nigdy nie podejrzewałem, że ją ujrzę na własne oczy. To jakiś cud, prawda? – Podeszedł do okna, by popatrzeć na Nicole, jak szła w towarzystwie Kongrosiana i grubej ryby z policji do zaparkowanego statku.

–Musi być piekielnie łatwo zakochać się w takiej kobiecie – powiedział Al. On także odprowadził ją wzrokiem. Podobnie zresztą jak wszyscy, łącznie z całym oddziałem policjantów. To zbyt łatwe, pomyślał. Wraz z lanem mieli ujrzyć ją znowu, kiedy zagrają dla niej na butelkach. Czy to się zmieniło? Nie. Nicole powiedziała przecież, że nikogo nie aresztują. Odwołała rozkaz policji. Mógł nadal prowadzić interes. Policja za chwilę opuści parking.

Zapalił fajkę.

Ian Duncan podeszedł do niego i powiedział:

–Cóż, Al, kosztowało cię to jeden statek. – Zgodnie z rozkazem Nicole jego też zwolniono.

–Pan Strikerock i tak weźmie blaszaka, prawda, panie Strikerock? – spytał Al.

–Nie – odparł Chic po chwili milczenia. – Zmieniłem zdanie.

–Oto potęga tej kobiety... – rzekł Al i zaklął siarczyście.

Chic Strikerock ciągnął:

–Ale dziękuję. Może spotkamy się jeszcze. Na gruncie zawodowym.

–Jest pan głupcem – odparł Al. – Przez kobietę przestraszył się pan emigracji.

–Może i tak – zgodził się Chic i pokiwał głową.

Najwyraźniej nie było sensu się z nim spierać. Al zrozumiał to od razu, podobnie zresztą jak Ian. Nicole zdobyła następnego poddanego i nawet jej to nie interesowało.

–I co, wraca pan do pracy? – spytał Al.

–Tak – pokiwał głową Strikerock. – Z powrotem do starej rutyny.

–Nigdy nie trafi pan już na ten parking – stwierdził Al. – To pana ostatnia szansa na wyrwanie się stąd.

–Może i tak – rzekł Chic Strikerock, kiwając posępnie głową. Ale się nie ruszył.

–Powodzenia – rzekł szyderczo Al i podał mu dłoń.

–Dziękuję – odparł Chic Strikerock bez cienia uśmiechu.

–Dlaczego? – spytał go Al. – Może mi pan wyjaśnić, dlaczego tak na pana wpłynęła?

–Nie, nie potrafię – odparł Strikerock. – Po prostu tak jest. Nie myślę o tym. Moje działanie nie jest umotywowane logicznie.

–Ty też to czujesz – rzekł Ian Duncan do Ala. – Obserwowałem cię. Widziałem ten wyraz na twojej twarzy.

–Dobra! No i co z tego? – zdenerwował się Al. Odszedł i stał sam, paląc fajkę i wyglądając przez okno na blaszaki zaparkowane na zewnątrz.

Ciekawe, zastanawiał się Chic Strikerock, czy Maury przyjmie mnie z powrotem. Może jest już za późno. Może spaliłem już za sobą wszystkie mosty. Wszedł do ulicznej budki telefonicznej i wybrał numer Maury'ego Frauenzimmersa. Wziął głęboki oddech i w oczekiwaniu stał ze słuchawką przyciśniętą do ucha.

–Chic! – krzyknął Maury Frauenzimmer, kiedy na ekranie pojawił się obraz. Wyglądał na rozpromienionego i młodszego, a jego twarz wręcz jaśniała radością, jakiej Chic jeszcze nigdy u niego nie widział. – Chłopie, ale się cieszę, że w końcu zadzwoniłeś! Wracaj tu, na rany Chrystusa i...

–Co się stało? – spytał Chic. – Co się dzieje, Maury?

–Nie mogę ci powiedzieć. Mamy duże zamówienie, to wszystko, co mogę wyjawic przez telefon. Zatrudniam ludzi skąd popadnie. Potrzebuję cię. Potrzebuję wszystkich! To jest to, na co czekaliśmy przez te wszystkie cholerne lata! – Sprawiał wrażenie, że za chwilę się rozplacze ze szczęścia. – Jak szybko możesz tutaj przyjechać?

–Bardzo szybko – odparł zmieszany Chic. – Chyba.

–Aha, dzwonił twój brat. Usiłował cię odnaleźć. Potrzebuje pracy. Karp go zwolnił albo sam zrezygnował, nie wiem... w każdym razie wszędzie cię szuka. On też chce tutaj pracować razem z tobą. Powiedziałem mu, że jeżeli mi go polecisz...

–Pewnie – rzekł zamyślony Chic. – Vince jest technikiem pierwszej klasy. Posłuchaj, Maury, co to za zamówienie?

Na szerokiej twarzy Maury'ego pojawił się powoli wyraz tajemniczości.

–Powiem ci, jak przyjedziesz, jasne? Więc się spiesz!

–Zamierzałem wyemigrować – przyznał się Chic.

–Co za głupoty opowiadasz! Z takim zamówieniem nie musimy się już o nic martwić. Jesteśmy ustawieni na całe życie. Uwierz mi na słowo, ty, ja, twój brat, wszyscy! Do zobaczenia. – Maury nagle przerwał połączenie. Obraz na ekranie znikł.

To jakieś zamówienie rządowe, pomyślał Chic. I cokolwiek to jest, należało wcześniej do Karpa. Dlatego właśnie Vince szuka pracy. I dlatego Vince chce pracować dla Maury'ego. Wiedział o tym.

Będziemy teraz ekipą gesów, pomyślał Chic uradowany. W końcu, po długim oczekiwaniu, awansowaliśmy na sam szczyt.

Dzięki Bogu, że nie wyemigrowałem. Wycofałem się w ostatnim momencie. W końcu szczęście zaczyna mi dopisywać.

Był to niewątpliwie najlepszy i najbardziej istotny dzień w jego życiu. Dzień, którego nigdy nie zapomni. Podobnie jak jego szef, Maury Frauenzimmer, płał się teraz w bezmiarze szczęścia.

Później będzie wspominać ten dzień jako...

Ale teraz jeszcze o tym nie wiedział.

Przecież nie miał dostępu do maszyny von Lessingera.

Chic Strikerock rozparł się w fotelu i rzekł dobitnie: – Nie wiem, Vince. Może uda mi się załatwić ci pracę u Maury'ego, a może nie. – Cała sytuacja bardzo go bawiła. Jechali obydwoj autobahnem. Zmierzali do Frauenzimmer Associates. Ich kierowany centralnie, ale prywatny pojazd raz po raz sprawnie zakręcał. Nie musieli się niczym przejmować, więc mogli spokojnie myśleć o swoich sprawach.

–Przecież zatrudniacie, kogo tylko się da – zauważył Vince.

–Nie ja tutaj decyduję – odparł Chic.

–Zrób, co będziesz mógł, dobrze? Naprawdę będę ci wdzięczny. Karp zacznie teraz powoli upadać. To oczywiste. – Wyglądem przypominał zbitego psa. Chic nie widział go nigdy tak zrozpaczonego. – Oczywiście nie będę miał do ciebie pretensji, jeśli ci się nie uda. Nie chciałbym cię wpakować w żadne kłopoty.

Chic zastanowił się i odparł:

–Wydaje mi się, że powinniśmy także rozstrzygnąć sprawę Julie. Możemy to zrobić teraz albo kiedykolwiek indziej.

Chic uniósł głowę. Vince patrzył na niego, marszcząc brwi.

–Jak to?

–To będzie wzajemnie korzystny układ – zdecydował Chic.

Po długiej chwili milczenia Vince odparł z kamienną twarzą:

–Rozumiem. Ale przecież sam mówiłeś...

–Mówiłem tylko, że mnie denerwujesz. Ale czuję się teraz o wiele spokojniejszy psychicznie. Przecież byłem o krok od zwolnienia się. Teraz wszystko się zmieniło. Jestem pracownikiem rozwijającej się, prężnej firmy. Obydwaj o tym wiemy. Jestem na szczycie i wiele to dla mnie znaczy. Wydaje mi się teraz, że będę w stanie poradzić sobie z Julie. Przecież właściwie powinienem mieć żonę. To podnosi status człowieka.

–To znaczy, że chcesz wziąć z nią formalny ślub?

Chic skinął głową.

–W porządku – rzekł w końcu Vince. – Możesz ją sobie brać. Prawdę mówiąc, nic mnie to nie obchodzi. To twoja sprawa. Załatw mi tylko pracę u Maury'ego

Frauenzimmer, to najważniejsze.

Dziwne, pomyślał Chic. Nigdy by nie pomyślał, że jego brat może do tego stopnia przejąć się karierą, że zapomni o wszystkim innym. Musi to sobie zapamiętać. Może to coś oznacza.

–Frauenzimmer będzie miał ze mnie sporo pożytku – ciągnął Vince. – Na przykład znam nazwisko nowego der Alte. Słyszałem trochę plotek u Karpa, zanim odszedłem. Chcesz je znać?

–Co? Nowego kogo? – zdziwił się Chic.

–Nowego der Alte. A może nie wiesz jeszcze, co to za kontrakt zwinął sprzed nosa Karpowi twój szef?

Chic zmarszczył brwi.

–Pewnie, że wiem. Tylko się zdziwiłem. – W jego mózgu nadal panował zamęt. – Słuchaj – powiedział tylko – nie obchodzi mnie, czy będzie się nazywał Adolf Hitler czy van Beethoven. – Der Alte. A więc o to chodziło! Czuł się świetnie, poznawszy prawdę. Ten świat, Ziemia, jest najwspanialszym miejscem i zamierzał wykorzystać ów fakt. Teraz, kiedy naprawdę stał się gesem.

–Będzie się nazywać Dieter Hogben – zdradził mu Vince.

–Jestem pewien, że Maury o tym wie – rzekł nonszalancko Chic, lecz był skonsternowany. Całkowicie.

Jego brat pochylił się i włączył radio samochodowe.

–Mówią już o tym.

–Wątpię, żeby informacje rozchodziły się tak szybko – powiedział Chic.

–Cicho! – Jego brat podkreślił głos. Akurat nadawano wiadomości. A więc teraz dowiedzą się wszyscy w SZEA. Chic czuł się rozczarowany...

–...niegroźny zawał serca, o którym powiedzieli nam lekarze, zdarzył się około trzeciej w nocy i sprawił, że wszyscy zaczęli zastanawiać się, czy Herr Kalbfleisch będzie w stanie dokończyć swoją kadencję. Stan zdrowia der Alte jest obecnie tematem wielu spekulacji, a ten nieoczekiwany wypadek zdarzył się akurat w momencie, gdy... – ciągnął relację spiker.

Vince i Chic wymienili spojrzenia i nagle wybuchnęli śmiechem.

–To nie potrwa długo – rzekł Chic.

Staruszek był na wylocie. Pojawił się już pierwszy z publicznych komunikatów. Łatwo było przewidzieć, że proces składać się będzie z regularnie powtarzanych informacji. Najpierw pierwszy, niegroźny zawał serca, który pojawił się niespodziewanie i zostanie uznany za wypadek przy pracy. Szokujący dla wszystkich, ale jednocześnie przygotowujący podłoże do dalszego działania. Besowcy musieli przyzwyczać się do tej myśli. Taka była tradycja, która działała bez zastrzeżeń. Tak jak wcześniej, za każdym razem.

Wszystko się zazębia, pomyślał Chic. Wymiana der Alte, który z nas dostanie Julie, zmiana firmy, w której ja i mój brat będziemy pracować... nie ma żadnych kwestii pozostawionych samym sobie.

A mimo to...

Gdyby tak wyemigrował... Gdzie by teraz był? Jak wyglądałoby jego życie? On i Richard Kongrosian byliby kolonistami na odległym Marsie. Ale nie wyemigrowali i moment wyboru już przeminął. Odrzucił tę myśl i powrócił do kwestii ważniejszej w tej chwili.

–Praca w kartelu wygląda zupełnie inaczej niż w małej firmie – powiedział do Vince'a. – Anonimowość, bezosobowy biurokratyzm...

–Cicho! – uciął Vince. – Następne wiadomości. – Znowu nastawił głośniej radio w samochodzie.

–...obowiązki z powodu choroby przejął wiceprezydent. Wkrótce ogłoszone zostaną przedterminowe wybory. Stan doktora Rudiego Kalbfleischa pozostaje na razie...

–Nie dadzą nam wiele czasu – stwierdził Vince, marszcząc brwi i nerwowo zagryzając dolną wargę.

–Uda się nam – uspokajał go Chic. Sam się nie przejmował. Maury sobie poradzi. Szef na pewno wyjdzie na prostą, skoro tylko dostał taką szansę.

Teraz, gdy nadszedł wreszcie ich wielki dzień, porażka była niemożliwa. Dla nikogo z nich.

O Boże, gdyby musiał się jeszcze tym martwić!

Reichsmarschall siedział w dużym niebieskim fotelu i zastanawiał się nad propozycją Nicole. A ona w tym czasie spoczywała w swoim antycznym fotelu z okresu dyktoriau na drugim końcu Pokoju Lotosowego, sączyła herbatę i czekała.

–Chce pani po prostu, żebyśmy zapomnieli o przysiędze złożonej Adolfowi Hitlerowi – rzekł w końcu Goering. – Chyba nie rozumie pani Ftihrer Prinzip, zasady wodza?

Postaram się to pani wyjaśnić. Na przykład, proszę sobie wyobrazić statek, który...

–Nie potrzebuję wykładów – ucięła Nicole. – Potrzebuję decyzji. A może nie jest pan w stanie się zdecydować? Czy stracił pan tę zdolność?

–Ale jeśli to zrobimy – odparł Goering – nie będziemy lepsi niż spiskowcy, którzy podłożyli bombę w kwaterze głównej Hitlera. Właściwie będziemy musieli zrobić to samo co oni. – Potarł ze zdenerwowania czoło. – To bardzo trudna decyzja. Dlaczego musimy się tak spieszyć?

–Bo chcę już załatwić tę sprawę – odpowiedziała Nicole.

Goering westchnął.

–Widzi pani, naszym największym błędem w nazistowskich Niemczech była niemożność właściwego wykorzystania umiejętności kobiet. Wysłaliśmy je do kuchni i sypialni. Nie były właściwie wykorzystane w czasie wojny, do administracji i produkcji lub wewnątrz aparatu partyjnego. Obserwując panią, widzę, jak wielki błąd popełniliśmy.

–Jeśli nie zdecyduje się pan w ciągu najbliższych sześciu godzin – rzekła Nicole, nie zważając na jego słowa – technicy von Lessingera wyślą pana z powrotem do wieku barbarzyństwa i układ, jaki mogliśmy zawrzeć... – Machnęła krótko ręką w geście, który był zrozumiały także dla Goeringa. – Wszystko będzie skończone.

–Ja po prostu nie mam takiej władzy – zaczął Goering.

–To niech pan lepiej ma tę władzę. Co pan myślał, widząc swoje wielkie, tłuste zwłoki w celi w Norymberdze? Ma pan wybór: albo to, albo przyjęcie odpowiedniej władzy, żeby ze mną rozmawiać. – Dalej sączyła herbatę.

–Ja... będę się musiał jeszcze zastanowić – odparł Goering zachrypniętym głosem. – W czasie następnych paru godzin. Dziękuję za pozostawienie mi czasu. Osobiście nie mam nic przeciw Żydom. Chętnie bym nawet...

–A więc niech pan to zrobi.

Reichsmarschall siedział pochylony i zamyślony, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z tego, że Nicole wstała.

Wyszła z pokoju, pozostawiając go samemu sobie. Co za ponura, wstrętna kreatura, pomyślała. Osłabiona układami panującymi w Trzeciej Rzeszy, niezdolna do samodzielnego myślenia i działania. Nic dziwnego, że przegrali wojnę. Pomyśleć tylko, że podczas pierwszej wojny światowej był walecznym, dzielnym lotnikiem, członkiem eskadry Richthofena. Latał jednym z tych małych, zbudowanych z drewna

i kawałków drutu samolocików. Trudno wprost uwierzyć, że to ten sam człowiek.

Przez okno w Białym Domu ujrzała tłum zbierający się przed bramą. Ciekawscy, którzy przyszli z powodu "choroby" Rudiego. Nicole uśmiechała się przez chwilę. Gapie przy bramie czuwali. Będą tu teraz tkwić dzień i noc aż do śmierci Kalbfleischa, jakby czekali na bilety w pierwszym rzędzie. Potem cicho się rozejdą do swoich zajęć.

Diabeł jeden wie, po co tu przyszli. Nie mieli nic lepszego do roboty? Wiele razy już zastanawiała się nad tym. Czy to zawsze ci sami ludzie? Ciekawe.

Wyszła za róg i stanęła twarzą w twarz z Bertoldem Goltzem.

–Przybiegłem, jak tylko się dowiedziałem – rzekł leniwie. – A więc staruszek zrobił swoje i teraz pójdzie na złom? Tym razem szybko poszło. Zastąpi go Herr Hogben, mityczny, nieistniejący konstrukt o pięknej buźce. Wracam z Fraunzimmer Werke. Rozkręcają się tam.

–Czego tu chcesz? – spytała Nicole.

Goltz wzruszył ramionami.

–Może tylko porozmawiać. Uwielbiam z tobą plotkować. Ale prawdę mówiąc, tym razem przychodzę w innym celu. Karp und Sohnen mają już w zakładach Fraunzimmersa swojego człowieka.

–Jestem tego świadoma – odparła Nicole. – I nie mów Werke o firmie Fraunzimmersa. Są jeszcze zbyt mali, żeby być kartelem.

–Kartel nie musi być wielki. Najważniejsze, że posiada monopol. I nie ma konkurencji... tak jak Fraunzimmer. Lepiej mnie wysłuchaj, Nicole. Niech twoi technicy od maszyny von Lessingera zajrzą w przyszłość ludzi Fraunzimmersa. Przynajmniej na dwa miesiące. Chyba się zdziwisz. Karp tak łatwo się nie podda. Powinnaś była o tym pomyśleć.

–Kontrolujemy...

–Tak wam się tylko wydaje – przerwał jej Goltz. – Nic nie kontrolujecie. Zajrzyjcie w przyszłość, a przekonacie się. Przepelnia was samozadowolenie jak dużego, tłustego kota.

Nicole dotknęła guzika bezpieczeństwa przy kołnierzyku. Goltz uśmiechnął się szeroko.

–Alarm, Nicky? Z mojego powodu? No cóż, w takim razie chyba sobie pójde. A tak

przy okazji: gratulacje w związku z powstrzymaniem Kongrosiana przed emigracją. To był wspaniały krok z twojej strony. Ale nie wiesz jeszcze, że w sidła zastawione na Kongrosiana złapało się więcej, niż się spodziewałaś. Proszę, skorzystaj ze sprzętu von Lessingera. Przecież po to właśnie jest, żeby go wykorzystywać w takich momentach.

Na końcu korytarza pojawiło się dwóch ludzi w szarych mundurach PP. Nicole skinęła na nich ręką, a oni natychmiast wyciągnęli pistolety.

Goltz ziewnął i znikł.

–Zwiął – rzekła Nicole oskarżające do policjantów.

Oczywiście, że Goltz zwiął, wiedziała, że tak będzie. Przynajmniej nie musiała z nim już rozmawiać. Pozbyła się go.

Powinniśmy wrócić do czasów dzieciństwa Goltza i zniszczyć go, pomyślała. Ale Goltz już ich oczekiwał. Był tam od dawna, asystował swoim rodzinom i całemu dzieciństwu. Strzegł siebie. Dzięki maszynie von Lessingera stał się swoim rodzicem. Był nieodłącznym towarzyszem samego siebie, swym Arystotelesem przez pierwszych piętnaście lat życia i z tego powodu nie można go było zniszczyć.

Zaskoczenie. Ten element prawie znikł z polityki od czasu wynalezienia maszyny von Lessingera. Obecnie wszystko było jedynie przyczyną albo skutkiem. Taką przynajmniej miała nadzieję.

–Pani Thibodeaux – rzekł jeden z policjantów z szacunkiem. – Przyszedł jakiś człowiek z A.G. Chemie, który chce się z panią spotkać. Pan Merrill Judd. Wpuściliśmy go.

–Ach, tak. – Nicole kiwnęła głową. Psychochemik umówił się z nią na spotkanie. Miał jakieś świeże pomysły dotyczące kuracji Kongrosiana. Zjawił się w Białym Domu, jak tylko dowiedział się, że znaleziono pianistę. – Dziękuję – dodała i ruszyła w kierunku Pokoju Makowego, gdzie miała spotkać się z Juddem.

A niech cholera weźmie tych Karpów, Antona i Felixa, pomyślała idąc szybko korytarzem wysłanym dywanami. Obaj policjanci podążali za nią. Mogą usiłować sabotować projekt Dietera Hogbena, myślała. Może Goltz ma rację. Może powinniśmy temu przeciwdziałać! Ale są zbyt silni. I mają zbyt duże wsparcie. Karpowie, ojciec i syn, są starymi wygami w tym biznesie, starszymi nawet od niej.

Ciekawe, o co dokładnie chodziło Goltzowi, kiedy mówił, że odzyskując Richarda Kongrosiana, wyciągnęliśmy na światło dzienne więcej, niż oczekiwaliśmy. Czy to ma coś wspólnego ze Stukniętym Lukiem? Kolejnym, równie złym jak Karp i Goltz piratem i nihilistą, działającym na własne konto, wbrew interesowi państwa.

Wszystko strasznie się skomplikowało, a tu jeszcze ten nie zakończony, naglący układ z Goeringiem, przysyłający wszystko wokół. Reichsmarszał po prostu nie potrafił i nie chciał decydować, a jego niezdecydowanie zatrzymywało koła maszynierii. Koszty rosły. Jeśli Goering nie zdecyduje się do wieczora...

Tak jak go zapewniała, zostanie wysłany do swoich czasów, i to jeszcze przed ósmą wieczór. Powróci do przegranej wojny, co w rezultacie kosztować go będzie jego tłuste życie.

Dopilnuję, żeby Goering dostał to, na co sobie zasłużył, pomyślała ze złością. Podobnie zresztą jak Goltz i Karp. Wszyscy, łącznie ze Stukniętym Lukiem. Ale trzeba działać ostrożnie, zajmując się każdym z nich po kolei. W tej chwili jednak miała do rozstrzygnięcia inną kwestię, związaną z Kongrosianem.

Szybko weszła do Pokoju Makowego i przywitała psychochemika z A.G. Chemie, Merrilla Judda.

Ian Duncan miał straszny sen. Wielka stara kobieta wyciągała w jego kierunku zielonkawe pomarszczone szpony i skrzeczała, by coś zrobił... nie rozumiał jednak co, bo jej słowa zacierały się w ustach pełnych połamanych zębów, topiły się w strumieniach śliny, która pryskała jej na policzki. Próbował się uwolnić od tego snu, obudzić, uciec przed nią...

–Na Boga! – Głos zdenerwowanego Ala przedarł się przez pokłady jego podświadomości. – Wstawaj! Musimy przenieść parking. Za niespełna trzy godziny mamy być w Białym Domu.

Nicole! – pomyślał Ian, kiedy siadał oszołomiony na łóżku. To o niej śniłem. Była stara i zwiędła, miała suchą, obwisłą skórę i ziejący śmiercią oddech, ale to była ona.

–Dobra – mruknął, wstając na nogi. – Nie zamierzałem wcale ucinać sobie drzemki. I słono za nią zapłaciłem. Miałem koszmarne sen o Nicole. Słuchaj, Al, a jeśli ona naprawdę jest stara, niezależnie od tego, co widzieliśmy? Może to tylko jakiś trik, wyświetlana iluzja. To znaczy...

–Zagramy – uciął Al.

–Ale ja tego nie przeżyję – ciągnął Ian Duncan. – Moja zdolność adaptacyjna jest już na wyczerpaniu. To się staje koszmarem. Lukę kieruje papulą i może Nicole jest stara... po co mamy w takim razie grać? Czy nie moglibyśmy po prostu wrócić do oglądania jej w telewizji? Mnie to wystarczy. Potrzebuję jej obrazu. Co ty na to?

–Nie – rzekł uparcie Al. – Musimy przez to przejść. Pamiętaj, zawsze możesz wyemigrować na Marsa. Wszystko, czego nam trzeba, jest pod ręką.

Parking już się wzbił w powietrze i przemieszczał w kierunku Wschodniego Wybrzeża i Waszyngtonu.

Kiedy wylądowali, Harold Slezak, pulchny, przyjazny mały człowieczek przywitał ich ciepło. Podali sobie dłonie i poszli w stronę bocznego wejścia do Białego Domu. Slezak paplał bez przerwy.

–Wasz program jest ambitny, ale na pewno się wam uda. Już nie mogę się doczekać, wszyscy nie możemy się doczekać, to znaczy myślę o Pierwszej Rodzinie, a w szczególności Pierwszej Damie, która uwielbia wszelkie formy oryginalnej sztuki. Zgodnie z waszymi danymi biograficznymi przeprowadziliście dokładne badania dotyczące prymitywnych nagrań na płytach z wczesnych lat dwudziestego wieku, od roku 1920, dokonanych przez zespoły grające na butelkach, które przetrwały wojnę secesyjną. Jesteście więc autentycznymi graczami na butelkach, tyle że nie gracie folku, ale muzykę klasyczną, prawda?

–Zgadza się – odparł Al.

–A czy nie moglibyście zagrać jednego kawałka folkowego? – spytał Slezak, kiedy mijali strażników z PP przy wejściu do Białego Domu i wchodzili do długiego cichego korytarza ze sztucznymi świecami umieszczonymi po obu stronach w równych odstępach. – Na przykład Rockaby My Sara Jane. Macie to w waszym repertuarze?

–Mamy – odparł krótko Al. Na jego twarzy pojawił się przez chwilę wyraz zgorznienia, który natychmiast znikł.

–Świetnie – ucieszył się Slezak, poklepując ich przyjacielsko po plecach. – Czy mógłbym spytać, cóż to za istota, którą niesiecie? – Przyjrzał się papuli bez specjalnego entuzjazmu. – Jest żywa?

–To nasz totem – stwierdził Al.

–To znaczy przynosi wam szczęście? Maskotka?

–Dokładnie – zgodził się Al. – Kiedy jest przy nas, mniej się denerwujemy. – Pogłaskał papulę po głowie. – Poza tym to część naszego przedstawienia. Tańczy, kiedy gramy. Wie pan, jak małpka.

–A niech mnie kule biją! – wykrzyknął Slezak z entuzjazmem. – Rozumiem. Nicole będzie zachwycona. Uwielbia miękkie, włochate stworzenia. – Otworzył im drzwi.

I wtedy zobaczyli Nicole.

Jak Lukę mógł się tak pomylić? – zastanawiał się Duncan. Była jeszcze piękniejsza niż wtedy, kiedy widział ją na parkingu, a w porównaniu z tym, co oglądał w telewizji,

była o wiele bardziej dystyngowana. Na tym polegała główna różnica, bajeczna autentyczność jej obecności. Zmysły wyczuwały tę różnicę.

Siedziała w wypłowiałych niebieskich, bawełnianych spodniach, mokasynach na małych stopach, w niedbale rozpiętej pod szyją białej koszuli, przez którą widział, albo wydawało mu się, że widzi jej opaloną gładką skórę. Wygląda nieoficjalnie, pomyślał Ian. Nie ma w niej pretensjonalności ani pustki. Jej krótkie włosy, odsłaniające pięknie uformowaną szyję i uszy, fascynowały go i przykuwały całą uwagę. Jest taka młoda, pomyślał. Nie wyglądała nawet na dwudziestkę. Zastanawiał się, czy dzięki jakiemuś cudownemu zrządzeniu losu zapamiętała go. Albo Ala.

–Nicole, oto butelkarze – rzekł Slezak.

Spojrzała do góry i na boki. Czytała właśnie "Times". Teraz uśmiechnęła się na powitanie.

–Dzień dobry. Czy jedliście już panowie lunch? Jeśli chcecie, możemy podać na przekąskę kanadyjski bekon, jajka i kawę. – Co dziwne, głos nie dochodził od niej. Materializował się w górnej części pokoju, prawie pod sufitem, Ian spojrzał do góry, ujrzał rząd głośników i zaskoczony zdał sobie sprawę, że oddziela ją od nich szklana lub plastikowa bariera, która pełniła zadanie osłony bezpieczeństwa. Poczuł rozczarowanie, choć rozumiał, dlaczego jest to konieczne. Gdyby coś się jej przydarzyło...

–Dziękujemy, pani Thibodeaux, już jedliśmy – odpowiedział AL. On także patrzył do góry na głośniki.

Jedliśmy, pani Thibodeaux, pomyślał Ian Duncan. Tak naprawdę przecież jest właśnie na odwrót, to ona, siedząc w tych swoich niebieskich spodniach i białej koszuli, pożera nas. Dziwna myśl...

–No proszę – powiedziała Nicole do Harolda S leżaka – mają ze sobą jedną z tych śmiesznych papul. To dopiero będzie zabawa. – Zwróciła się do Ala: – Czy mogę ją obejrzeć? Proszę jej pozwolić tu przyjść. – Machnęła ręką, a przezroczysta zasłona zaczęła się podnosić.

Al postawił na podłodze papulę, która drobnymi kroczkami podreptała w kierunku Nicole pod osłoną bezpieczeństwa. Podskoczyła i nagle Nicole trzymała ją w silnych, kompetentnych rękach, przyglądając się jej tak dokładnie, jakby chciała zobaczyć, co jest w środku.

–A niech to! Ona nie jest żywa. To tylko zabawka.

–Żadna papula nie ocalała – wyjaśnił Al. – W każdym razie o ile mi wiadomo. Ale to oryginalny model, bazujący na skamieniałościach, jakie odnaleziono na Marsie. –

Zrobił krok w jej kierunku...

Zasłona natychmiast opadła. Al został odcięty od papuli i stał teraz jak głupek, najwyraźniej bardzo rozzłoszczony. Po chwili jednak, jakby instynktownie, dotknął przełączników w talii. Papula wyslizgnęła się z rąk Nicole i niezgrabnie skoczyła na podłogę. Nicole krzyknęła zdziwiona. W jej oczach pojawiło się zaciekawienie.

–Czy chce pani jedną z nich, Nicky? – spytał Harold Slezak. – Możemy pani taką sprowadzić, nawet kilka sztuk.

–Co ona potrafi? – spytała Nicole.

Slezak znowu zaczął paplać jak najęty:

–Tańczy, kiedy grają. Ma rytm w kościach, prawda, panie Duncan? – Zacierał z wigorem wielkie dłonie, patrząc na Iana i Alę. – Może mógłby pan coś zagrać, jakiś krótki kawałek, żeby pokazać pani Thibodeaux.

–Pewnie – odparł Al. – Hmm, możemy zagrać krótki kawałek z Schuberta, przeróbkę Pstrąga. W porządku, Iane, przygotuj się. – Wyjął swoją butelkę z futerału, Iane zrobił to samo. – Na pierwszej butelce gra Al Miller – zapowiedział Al – a na drugiej mój partner, Iane Duncan. Oto koncert utworów klasycznych. Rozpoczynamy od młodego Schuberta.

Bum bumbum BUM BUM buum bum, ba-bum-bum bup-bup-bup-bup-bupppp...

Nagle Nicole rzekła:

–Już pamiętam, gdzie was widziałam. A zwłaszcza pana, panie Miller.

Opuścili butelki i czekali.

–Na złomowisku – rzekła Nicole. – Kiedy poleciałam po Richarda. Rozmawiał pan ze mną. Prosił pan, żebym zostawiła Richarda w spokoju.

–Tak – przyznał Al.

–Myślał pan, że pana nie zapamiętam? – spytała Nicole. – Na Boga!

–Widuje pani tylu ludzi... – zaczął nieśmiało Al.

–Ale mam dobrą pamięć. Nawet w stosunku do tych, którzy nie są szczególnie ważni. Powinien był pan poczekać jeszcze trochę, zanim zdecyduje się pan przyjść tutaj... a może nic pan sobie z tego nie robi?

–Ależ robię.

Przeglądała mu się przez dłuższą chwilę.

–Muzycy to dziwacy – stwierdziła w końcu. – Zauważyłam, że nie myślą jak inni ludzie. Żyją w świecie własnych wyobrażeń, tak jak Richard. On jest najgorszy. Ale z drugiej strony jest najlepszy spośród wszystkich muzyków Białego Domu. Może tak musi być. Nie wiem. Nie mam na ten temat żadnej teorii. Ktoś powinien przeprowadzić dokładniejsze badania naukowe i rozstrzygnąć sprawę raz na zawsze. No cóż, proszę kontynuować.

–Dobrze – odparł Al, rzucając szybkie spojrzenie na lana.

–Nie wspomniałeś, że jej o tym mówiłeś – rzekł lan. – Że prosiłeś ją, by zostawiła Kongrosiana w spokoju...

–Wydawało mi się, że wiesz o tym. Wydawało mi się, że byłeś tam i sam słyszałeś. – Al wzruszył ramionami. – Tak czy inaczej, nie chciało mi się wierzyć, że będzie mnie pamiętać. – Najwyraźniej nadal nie mógł w to uwierzyć. Na jego twarzy malowało się bezgraniczne zdumienie.

Jeszcze raz zaczęli grać.

Bum-bum-bum BUM BUM buum bum...

Nicole zachichotała.

Przeegraliśmy, pomyślał lan. Boże, nadeszło najgorsze, staliśmy się pośmiewiskiem. Przestał grać. Al kontynuował, jego policzki były czerwone i puchły od dmuchania. Wydawało się, że nie jest świadom faktu, iż Nicole podniosła dłoń, by ukryć śmiech. Al grał dalej sam, aż do końca utworu.

–Papula nie tańczyła – zauważyła Nicole. – Nie zrobiła nawet jednego kroku. Dlaczego? – Wybuchnęła niepowstrzymanym śmiechem.

–Ja... nie mogę jej kontrolować – rzekł Al ponuro. – Teraz kierowana jest zdalnie. – Po czym zwrócił się do lana: – Lukę ją kontroluje. – Obrócił się do papuli i powiedział: – Lepiej, żebyś tańczyła.

–Ależ to paradne – rzekła Nicole. – Patrz – powiedziała do kobiety, która właśnie stanęła koło niej. lan rozpoznał Janet Raimer. – On ją błaga, żeby zaczęła tańczyć. Tańcz, jak cię tam zwał, papulo z Marsa, a właściwie imitacja papuli z Marsa. – Trąciła papulę butem, starając się zbudzić ją do życia. – No już, mała syntetyczna staruszko, zrobiona z kabli. Proszę. – Szturchnęła ją nieco mocniej.

Papula ją ugryzła.

Nicole krzyknęła. Za jej plecami rozległ się odgłos wystrzału i papula znikła, rozsypując się na tysiąc kawałeczków. W polu widzenia pojawił się policjant z pistoletem w dłoni, przyglądając się Nicole i latającym cząstkom papuli. Jego twarz była spokojna, ale ręce i pistolet drżały. Al zaczął przeklinać. Klął długo.

–Lukę – powiedział wreszcie do lana. – On to zrobił. To zemsta. Koniec z nami. – Wyglądał, jakby w tej chwili zestarzał się o parę lat. Spokojnie, mechanicznymi ruchami, systematycznie zaczął pakować swoją butelkę.

–Jesteście aresztowani – rzekł drugi strażnik Białego Domu, który nagle się pojawił i wycelował w nich pistolet.

–Pewnie – odparł apatycznie Al, kiwając głową ze zrozumieniem – nie mieliśmy z tym nic wspólnego, więc aresztujcie nas.

Nicole z pomocą Janet Raimer wstała powoli. Zatrzymała się przy przezroczystej osłonie.

–Ugryzła mnie, bo się śmiałam? – spytała spokojnie.

Slezak stał, pocierając czoło. Nic nie mówił. Patrzył tylko na nich bez słowa.

–Przepraszam – powiedziała Nicole. – Rozzłościłam ją, prawda? Przykro mi. Na pewno spodobałby się nam wasz występ. Dziś wieczorem, po kolacji.

–Lukę to zrobił – rzekł do niej Al.

–Lukę – powtórzyła. – Ach tak, to pański pracodawca. – Zwróciła się do Janet Raimer: – Chyba lepiej będzie, jeśli jego też aresztujemy, prawda?

–Jak sobie życzysz – odparła blada i bardzo przestraszona Janet.

–Ta cała gra na butelkach... – zaczęła Nicole. – To była tylko przykrywka dla działań skierowanych bezpośrednio przeciw nam, prawda? Przesłębstwo przeciw państwu. Będziemy musieli przemyśleć całą filozofię zapraszania artystów... może to był błąd od samego początku. Dajemy zbyt dużo swobody wszystkim, którzy mają wobec nas wrogie zamiary. Przykro mi. – Wyglądała na zasmuconą. Założyła ręce i kiwała się do przodu i do tyłu w zamyśleniu.

–Niech mi pani wierzy, Nicole... – zaczął Al.

–Nie jestem Nicole. Niech mnie pan tak nie nazywa. Nicole Thibodeaux zmarła wiele lat temu. Jestem Kate Rupert, czwarta w kolejności kobieta, która zajęła jej miejsce. Jestem tylko aktorką, która wystarczająco dobrze naśladuje prawdziwą Nicole i dzięki temu może kontynuować jej pracę. Czasami, kiedy zdarza się coś takiego jak

dziś, żałuję, że to robię. Nie mam prawdziwej władzy. Tak naprawdę wszystkim zarządza rada... ja jej zresztą nigdy nie spotykam. Nie interesuję ich, a oni mnie. Jesteśmy kwita.

Nastąpiła długa cisza.

–Ile razy... próbowano panią zabić? – zapytał Al.

–Sześć czy siedem. Nie pamiętam dokładnie. Za każdym razem ze względów psychologicznych. Nieuleczony kompleks Edypa albo coś równie dziwaczного. Zresztą wszystko jedno. – Odwróciła się do funkcjonariuszy z PP. W tej chwili na miejscu było już kilka oddziałów policji. Wskazując na Ala i Iana rozkazała: – Wygląda na to, że nie wiedzą, co się tutaj dzieje. Może są niewinni. – Do Janet Raimer i Harolda Slezaka powiedziała natomiast: – Czy trzeba ich unicestwić? Może po prostu wymażecie im część pamięci i puścicie ich wolno? Czy to nie wystarczy?

Slezak spojrział na Janet Raimer i wzruszył ramionami.

–Jeśli tak pani sobie życzy.

–Tak – rzekła Nicole. – Tak bym wolała. To by mi ułatwiło zadanie. Zabierzcie ich do Centrum Medycznego w Bethesda, a potem wypuście. A teraz do roboty. Pozwólmymy wystąpić następnym artystom.

Policjant dźgnął Iana w plecy lufą pistoletu.

–Proszę iść korytarzem.

–Dobrze – mruknął Ian chwytając za butelkę.

Co się właściwie stało? – zastanawiał się. Nic z tego nie rozumiem. Ta kobieta nie jest tak naprawdę Nicole i co gorsza, nie ma już Nicole. Jest tylko obraz telewizyjny, iluzja medialna, a za nią stoi kobieta, którą rządzi zupełnie inna grupa ludzi. Kim są i w jaki sposób doszli do władzy? Jak długo rządzą? Czy kiedykolwiek się tego dowiemy? Zaszliśmy już tak daleko, prawie dowiedzieliśmy się, o co tu chodzi. Poznaliśmy rzeczywistość stojącą za iluzją, tajemnice ukrywane przed nami przez całe życie. Nie mogliby powiedzieć nam całej prawdy? Przecież wiemy już bardzo dużo. Co za różnica?

–Żegnaj – powiedział do niego AL

–Co? Dlaczego to mówisz? Przecież nas wypuszczą, prawda?

–Ale nie będziemy się pamiętać. Możesz mi uwierzyć. Nie pozwolą nam zatrzymać takich wspomnień. Więc... – Al wyciągnął rękę. – Żegnaj, Ian. Udało nam się dotrzeć

do Białego Domu. Nie będziemy tego pamiętać, ale to prawda. Naprawdę nam się udało. – Uśmiechnął się szyderczo.

–Jazda – rzucił do nich policjant.

Nadal trzymając swoje butelki, szli korytarzem w kierunku drzwi zewnętrznych i czarnej furgonetki medycznej, która na pewno już tam stała.

Wieczorem Ian Duncan stał na rogu pustej ulicy. Było mu zimno. Trząśł się i mrugał oczami w jasnym świetle platformy załadowniczej miejskiego transportu. Co ja tu robię? – zastanawiał się zdezorientowany. Spojrzał na zegarek. Ósma. Chyba powinienem być na Spotkaniu Zadusznym, pomyślał oszołomiony.

Nie mogę opuścić drugiego spotkania, pomyślał nagle. Kara mnie zrujnuje. Zaczął iść.

Widział dobrze znajomy budynek, Abraham Lincoln z gęstą siecią wieżyczek i okien. Był już blisko i spieszył się, łapiąc oddech, starając się utrzymać szybkie tempo. Pewnie spotkanie już się skończyło, pomyślał. Światła w dużym, centralnym audytorium były zgaszone. A niech to szlag, zaklął w desperacji.

–Już po spotkaniu? – spytał odźwiernego, wchodząc do holu i pokazując identyfikator.

–Coś się panu pomyliło, panie Duncan – odparł Vince Strikerock. – Spotkanie było wczoraj. Dziś mamy piątek.

Coś jest nie tak, pomyślał Ian, ale nic nie powiedział. Skinął tylko głową i ruszył do windy.

Kiedy wyszedł na swoim piętrze, otworzyły się drzwi i jakaś tajemnicza postać skinęła na niego.

–Hej, Duncan!

Był to mieszkaniec budynku o nazwisku Corley. Ian ledwie go znał. Ponieważ takie spotkanie mogło być tragiczne w skutkach, podszedł ostrożnie.

–O co chodzi?

–Plotki – rzekł Corley cichym, przerażonym szeptem. – W pańskim ostatnim teście z rel-polu... są jakieś sprzeczności. Obudzą pana jutro o szóstej rano i poddadzą testowi z zaskoczenia. – Rozejrzał się po korytarzu. – Niech pan powtórzy sobie późne lata osiemdziesiąte dwudziestego wieku, szczególnie ruchy religijno-kolektywistyczne. Jasne?

**–Pewnie – odparł Ian z wdzięcznością. – Dziękuję. Może będę mógł w jakiś sposób...
– Przerwał, ponieważ Corley znikł w swoim mieszkaniu i zamknął drzwi, Ian był sam.**

To miło z jego strony, myślał idąc korytarzem. Pewnie mnie uratował, ocalił przed definitywnym wywaleniem na ulicę.

Kiedy dotarł do swojego mieszkania, usiadł wygodnie, rozkładając wokół siebie wszystkie książki dotyczące historii politycznej Stanów Zjednoczonych. Będę się uczył całą noc, zdecydował. Bo muszę zdać ten test. Nie mam wyboru.

Żeby nie zasnąć, włączył telewizor. Pojawił się w nim obraz znajomej, miłej kobiety, Pierwszej Damy, której obecność natychmiast wypełniła pokój.

–...a w trakcie naszego muzycznego wieczoru – mówiła – posłuchamy kwartetu saksofonowego, który zagra różne tematy z oper Wagnera, szczególnie zaś z moich ukochanych Śpiewaków norymberskich. Mam nadzieję, że będzie to dla nas wszystkich wyjątkowo miłe doświadczenie, które na długo pozostanie w naszej pamięci. Ale to nie wszystko. Na moją specjalną prośbę sprowadzono dla państwa waszego ulubionego artystę, znanego na całym świecie skrzypka Henn LeClerca. Usłyszymy go w utworach Jerome'a Kerna i Cole Portera. – Uśmiechnęła się, a Ian Duncan siedzący za stertą książek odwzajemnił jej uśmiech.

Ciekawe, jak to jest grać w Białym Domu, zastanawiał się. Występować przed Pierwszą Damą. Szkoda, że nigdy nie uczyłem się gry na żadnym instrumencie muzycznym. Nie potrafię grać, pisać wierszy, tańczyć ani śpiewać... nic. Jaką mam szansę? Gdybym pochodził z rodziny muzyków, gdyby ojciec albo matka uczyli mnie...

Nieco przybity skreślił parę notatek na temat powstania Francuskiej Partii Chrześcijańsko-Faszystowskiej w 1975 roku. Później odłożył długopis i odwrócił krzesło w ten sposób, by stało na wprost telewizora. Nicole pokazywała właśnie porcelanę z Delft, którą udało jej się kupić w jakimś małym sklepiku w Schweinfurcie, w Niemczech. Jakież piękne, czyste kolory... Patrzył zafascynowany, jak jej silne, smukłe palce pieszczą porcelanę.

–Spójrzcie tylko – mówiła Nicole ciepłym głosem. – Czy nie chcielibyście mieć takiej zastawy? Czyż nie jest piękna?

–Tak – odparł Ian Duncan.

–Ilu z was chciałoby pewnego dnia zobaczyć taką porcelanę na własne oczy? – spytała Nicole. – Podnieście rękę.

Ian podniósł dłoń z nadzieją.

–Och, aż tylu – powiedziała Nicole uśmiechając się promiennym, przyjaznym uśmiechem. – No cóż, może później przejdziemy się jeszcze po Białym Domu. Co wy na to?

Ian Duncan krzyczał, podskakując na krześle:

–Tak, bardzo bym chciał!

Wydawało się, że Nicole z ekranu patrzy wprost na niego. Uśmiechnął się więc do niej. Później, ociągając się, czując, jak spada na niego wielki ciężar, odwrócił się w końcu do swoich książek. Wrócił do twardej rzeczywistości codziennego życia.

Coś uderzyło w szybę okna i jakiś głos zawołał:

–Ianie Duncan, nie mam za dużo czasu!

Zauważył w ciemności na zewnątrz jakiś poruszający się obiekt w kształcie jajka. Znajdujący się w nim mężczyzna machał energicznie ręką i wołał. Jajko wydało z siebie głuchy odgłos, coś w rodzaju pu-put, jego silniki się zatrzymały, a mężczyzna kopniakiem otworzył luk pojazdu i wyskoczył na zewnątrz.

Czyżby przyjechali już, żeby zrobić mi test? – zastanawiał się Duncan. Czuł się kompletnie bezradny. Tak wcześnie... jeszcze nie zdążyłem się przygotować.

Mężczyzna w pojeździe ze złością obrócił silniki, aż ich biały płomień dotknął powierzchni budynku. Pokój zatrzęsł się, na zewnątrz odpadły kawałki muru. Szyba w oknie się roztopiła, kiedy uderzyły weń płomienie z silników. Poprzez powstałą w ten sposób dziurę mężczyzna krzyknął jeszcze raz, starając się rozbudzić otępiałe zmysły Iana.

–Hej, Duncan! Pospiesz się. Mam już twojego kumpla. Leci innym statkiem! – Niemłody mężczyzna, ubrany w drogi kombinezon z włókien naturalnych w niebieskie wzory, który wydawał się już nieco przestarzały, zręcznie wychylił się z wiszącego w powietrzu pojazdu w kształcie jajka i wskoczył do pokoju. – Musimy ruszać, jeśli chcemy to zrobić. Nie pamiętasz mnie? Al też mnie nie pamiętał.

Ian Duncan patrzył na niego szeroko otwartymi oczyma, zastanawiając się, kto to jest i kim jest jakiś tam Al.

–Psychologowie mamuśki musieli dobrze się z wami rozprawić – ciągnął nieznajomy. – Ta Bethesda to dopiero musi być miejsce. – Podszedł do Iana i złapał go za ramię. – PP zamyka wszystkie złomowiska. Muszę spadać na Marsa i zabieram was ze sobą. Weź się w garść. Jestem Stuknięty Lukę. Nie pamiętasz mnie teraz, ale sobie przypomnisz, kiedy znajdziemy się na Marsie i zobaczysz swego kumpla, Ala. Chodź. – Lukę popchnął go w kierunku dziury w ścianie pokoju i znajdującego się za

nią pojazdu.

Ian właśnie zdał sobie sprawę, że ten pojazd to blaszak. Zastanawiał się, co powinien wziąć ze sobą. Czego będzie potrzebował na Marsie? Szczoteczki do zębów, pidżamy, płaszcz? Ostatni raz rozejrzał się po pokoju.

Gdzieś w oddali rozległy się syreny policyjne.

Lukę rzucił się z powrotem do blaszaka, Ian poszedł w jego ślady. Zaskoczony stwierdził, że na podłodze blaszaka znajduje się gromada jasnopomarańczowych stworzeń przypominających chrabąszcze, których antenki machały na niego, kiedy między nimi przechodził. Papule, przypomniał sobie. Czy coś w tym rodzaju.

Już wszystko w porządku, uspokajały go w myślach papule. Nie martw się. Stuknięty Lukę wy dostał cię w ostatniej chwili. Teraz już będzie dobrze.

–Tak – zgodził się Ian. Położył się przy ścianie blaszaka i odprężył, podczas gdy statek wystrzelił do góry w ciemną pustkę nocy, w kierunku nowej planety, która czekała na nich u celu podróży.

Chciałbym opuścić Biały Dom – rzekł rozdrażnionym tonem Richard Kongrosian do policjanta, który go strzegł. Czuł się jednocześnie poirytowany i zaniepokojony. Stał tak daleko od komisarza Pembroke'a, jak to tylko było możliwe. Wiedział, że Pembroke jest tutaj głównodowodzącym.

–Pan Judd, psychochemik z A.G. Chemie, będzie tu za chwilę – wyjaśnił Wilder Pembroke. – Proszę o cierpliwość, panie Kongrosian. – Mówił ze spokojem, ale nie potrafił uspokoić Kongrosiana. Było w nim coś, co sprawiało, że pianista denerwował się jeszcze bardziej.

–Ta sytuacja jest nie do przyjęcia – rzekł Kongrosian. – Pilnujcie mnie i patrzycie na wszystko, co robię. Nie wytrzymam tego. Proszę nie przyglądać mi się cały czas. Mamparanoia sensitiva. Nie wie pan o tym?

Rozległo się pukanie do drzwi pokoju.

–Przyszedł pan Judd na spotkanie z panem Kongrosianem – zawołał pracownik Białego Domu.

Pembroke otworzył drzwi, wpuszczając Merrilla Judda, który szybko wszedł do środka z teczką w ręku.

–Panie Kongrosian, miło mi spotkać się w końcu z panem osobiście.

–Dzień dobry, Judd – mruknął Kongrosian, ponuro patrząc na otaczającą go rzeczywistość.

–Mam ze sobą nowy, eksperymentalny środek, który może panu pomóc – poinformował go Judd. Otworzył teczkę i sięgnął do środka. – Chlorowodorek imipraminy. Dwa razy dziennie po pięćdziesiąt miligramów. To ta pomarańczowa tabletki. Ta brązowa z kolei to nasz nowy tlenek metabiretynianu, sto miligramów na...

–Trucizna – skwitował jego słowa Kongrosian.

–Słucham?

–Nie mam zamiaru niczego przyjmować. To część precyzyjnie zorganizowanego planu mającego na celu zamordowanie mnie. – Kongrosian nie wątpił w swoje słowa. Zdał sobie z tego sprawę, kiedy tylko Judd przybył tutaj z teczką pełną środków A.G. Chemie.

–Ależ to nieprawda! – zaprotestował Judd, rzucając szybkie spojrzenie na Pembroke'a. – Zapewniam pana. Chcemy panu pomóc. Na tym polega nasza praca.

–Czy właśnie dlatego mnie porwaliście?

–Nie porwaliśmy pana. A co do...

–Wszyscy działacie razem – stwierdził Kongrosian. Na szczęście umiał temu zaradzić. Przygotowywał się tylko na nadejście odpowiedniej chwili. Podniósł ramiona i skoncentrował umysł na psychochemiku.

Merrill Judd uniósł się nad podłogę i zawisł w powietrzu. Trzymając nadal kurczowo swoją teczkę firmową, patrzył wytrzeszczonymi oczyma na Kongrosiana i Pembroke'a. Próbował coś powiedzieć i wtedy Kongrosian rzucił go na zamknięte drzwi pokoju. Puste w środku, drewniane drzwi rozleciały się w drzazgi, kiedy ciało uderzyło w nie i przeleciało na wylot.

Wilder Pembroke chrząknął i rzekł zdenerwowany:

–Być może... powinniśmy sprawdzić, czy nic mu się nie stało. – Ruszył w kierunku rozbitych drzwi, po czym dodał przez ramię: – Wydaje mi się, że A.G. Chemie to się nie spodoba. Mówiąc delikatnie.

–Mam gdzieś A.G. Chemie – powiedział Kongrosian. – Chcę mojego lekarza. Nie ufam nikomu przyprowadzonemu przez was. Skąd mam wiedzieć, że on w ogóle był z A.G. Chemie? Pewnie tylko się podszywał.

–Tak czy inaczej – ciągnął Pembroke – nie musi się pan już o niego martwić. – Ostrożnie otworzył pozostałość po drewnianych drzwiach.

–On naprawdę był z A.G. Chemie? – spytał Kongrosian, odprowadzając wzrokiem Pembroke'a.

–Przecież sam pan z nim rozmawiał przez telefon. To pan do niego zadzwonił. – Pembroke ze złością przeszukiwał korytarz, nie mogąc znaleźć Judda. – Gdzie on jest? Na miłość boską, co pan mu zrobił, panie Kongrosian?

Po chwili ociągania Kongrosian rzekł:

–Przeniosłem go na dół, do podziemnego pomieszczenia pralni. Nic mu się nie stało.

–Czy zna pan zasadę von Lessingera? – spytał Pembroke, patrząc na niego przenikliwie.

–Oczywiście.

–Jako członek dowództwa policji państwowej mam dostęp do maszyny von Lessingera. Czy chciałby pan wiedzieć, kogo następnego potraktuje pan w ten sposób za pomocą swoich psychokinetycznych zdolności?

–Nie – odpowiedział Kongrosian.

–Lepiej by było dla pana, żeby pan to wiedział. Może wtedy umiałby się pan powstrzymać. Bo tego czynu będzie pan gorzko żałował.

–A o kogo chodzi? – spytał Kongrosian.

–O Nicole – wyjął Pembroke. – Niech mi pan coś powie. Co pana właściwie dotychczas powstrzymywało przed użyciem swojego talentu w celach politycznych?

–Politycznych? – zdziwił się Kongrosian. Nie widział możliwości wykorzystania swoich zdolności w takim celu.

–Jeśli mogę panu przypomnieć – wyjaśniał Pembroke – polityka to sztuka przekonywania innych ludzi do robienia tego, co chce im się narzucić, nawet siłą. Jeśli zajdzie taka konieczność. To, co pan zrobił za pomocą psychokinezy, było dość niezwykle... niemniej jednak stanowiło działanie polityczne.

–Zawsze wydawało mi się, że nie powinienem wykorzystywać jej przeciw ludziom – przyznał Kongrosian.

–Ale teraz...

–Teraz sytuacja się zmieniła. Jestem więźniem. Wszyscy zwrócili się przeciw mnie. Na przykład pan jest przeciw mnie. Może będę musiał postąpić tak samo z panem.

–Proszę tego nie robić – rzekł Pembroke i uśmiechnął się oszczędnie.

–Jestem tylko pracownikiem instytucji rządowej wykonującym swoją pracę.

–Jest pan kimś znacznie ważniejszym. Niech pan mi powie, w jaki sposób wykorzystam swoje zdolności przeciw Nicole. – Nie potrafił sobie wyobrazić takiej możliwości. Czuł dla niej zbyt wiele szacunku. Był pełen czci.

–Poczekamy, zobaczymy – rzekł Pembroke.

–To dziwne – zamyślił się Kongrosian – że zadaliście sobie trud użycia maszyny von Lessingera tylko po to, by zobaczyć, co się ze mną stanie. Przecież jestem całkowicie bezużyteczny, jestem wyrzutkiem społeczeństwa. Jestem wariatem, który nigdy nie powinien był się narodzić.

–Przemawia przez pana choroba – zauważył Pembroke oschle. – Gdzieś w głębi

umysłu wie pan o tym.

–Ale musi pan przyznać, że to dziwne, iż użyliście maszyny von Lessingera w tym wypadku. Dlaczego to zrobiliście? – Jaki był prawdziwy cel? – pomyślał.

–Moim zadaniem jest ochrona Nicole. To sprawa oczywista, że skoro wystąpi pan wkrótce przeciw niej...

–Myślę, że pan kłamie – przerwał mu Kongrosian. – Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił. Nie w stosunku do Nicole.

Wilder Pembroke uniósł brew. Potem odwrócił się i nacisnął guzik windy, by zjechać na dół i poszukać psychochemika z A.G. Chemie.

–Co zamierza pan zrobić? – dopytywał się Kongrosian.

Był szczególnie podejrzliwy w stosunku do ludzi z PP. Szczególnie po tym, jak PP pojawiła się na złomowisku i go zatrzymała. Ten człowiek natomiast budził w nim jeszcze większe podejrzenie i wrogość, choć tak naprawdę nie rozumiał, dlaczego tak się dzieje.

–Co zamierzam? Wykonywać dalej swoją pracę – wyjaśnił Pembroke.

Znowu, z powodów, których nie mógłby wytłumaczyć, Kongrosian mu nie uwierzył.

–Jak więc chce pan wyzdrowieć? – spytał go Pembroke, kiedy otworzyły się drzwi windy. – Skoro wyrzucił pan człowieka z A.G. Chemie... – Wszedł do windy pierwszy i gestem zaprosił Kongrosiana.

–Mój lekarz, Egon Superb, nadal może mi pomóc.

–Chce się pan z nim spotkać? Możemy to zorganizować.

–Oczywiście! – ucieszył się Kongrosian. – I to jak najszybciej. To jedyna osoba w całym wszechświecie, która nie jest przeciw mnie.

–Mógłbym pana do niego zawieźć – rzekł Pembroke z namysłem widocznym na jego płaskiej, surowej twarzy. – Gdybym był pewien, że to jest dobry pomysł... a tego akurat nie jestem taki pewien.

–Jeśli mnie tam pan nie zawiezie, za chwilę psychokinetycznie wrzucę pana do Potomaku.

Pembroke wzruszył ramionami.

–Nie wątpię w pana możliwości. Ale zgodnie ze wskazaniem sprzętu von Lessingera

nie zrobi pan tego. Zaryzykuję.

–Nie wydaje mi się, żeby zasada von Lessingera dokładnie opisywała psychokinetyków – rzekł podenerwowany Kongrosian. – Słyszałem w każdym razie takie sądy. Nie poddajemy się regułom. – Trudno rozmawiało mu się z tym silnym człowiekiem, którego po prostu nie lubił. Nie lubił go i nie darzył go zaufaniem.

Może to kwestia mentalności policyjnej, pomyślał.

A może coś więcej.

Nicole, pomyślał. Dobrze wiesz, że nigdy nie potrafiłbym ci nic zrobić. Nie mam co do tego wątpliwości. Mój cały świat rozpadłby się w jednej chwili. To tak jakbym chciał zranić własną matkę albo siostrę, kogoś, na kim mi zależy. Muszę się kontrolować, zreflektował się. Proszę, dobry Boże, pozwól mi kontrolować mój talent psychokinetyczny, kiedy znajdę się w obecności Nicole. Dobrze?

Winda zjeżdżała na dół, a on czekał żarliwie na odpowiedź.

–A tak przy okazji – przerwał milczenie Pembroke – co do pańskiego zapachu... wydaje się, że znikł.

–Znikł! – Nagle pianistę uderzyło znaczenie uwagi policjanta. – To znaczy, że czuł pan zapach mego ciała? Ależ to niemożliwe! To przecież... – Przerwał zmieszany. – A teraz mówi pan, że znikł. – Nic nie rozumiał.

–Z pewnością czułbym go teraz, kiedy jesteśmy w windzie. Oczywiście zapach może powrócić. Jeśli tak się stanie, z przyjemnością pana o tym poinformuję.

–Dziękuję – rzekł Kongrosian. I pomyślał: Ten człowiek nieustannie pragnie zyskać nade mną przewagę. To świetny psycholog... a może, z racji swego zawodu, jest po prostu świetnym strategiem politycznym?

–Papierosa? – Pembroke wyciągnął pudełko.

Przerażony Kongrosian uskoczył do tyłu.

–Nie. Przecież są nielegalne... zbyt niebezpieczne. Nigdy bym się nie odważył wypalić papierosa.

–Niebezpieczeństwa są wszędzie – zauważył Pembroke i zapalił. – Prawda? Cały świat jest niebezpieczny. Trzeba ciągle mieć się na baczności. Pan, panie Kongrosian potrzebuje ochroniarzy. Oddziału specjalnie wybranych, dobrze wyszkolonych ludzi z PP, którzy będą z panem przez cały czas. – Po chwili dodał: – Inaczej...

–Inaczej nie będę miał żadnych szans.

Pembroke pokiwał głową.

–W każdym razie pana szansę będą znacznie ograniczone. Mówię to na podstawie maszyny von Lessingera.

Od tej chwili jechali dalej w milczeniu.

Winda się zatrzymała w podziemiach Białego Domu. Kongrosian i Pembroke wyszli na korytarz.

Czekał tam na nich mężczyzna, którego obydwaj poznali. Bertold Goltz.

–Niech pan mnie posłucha, Kongrosian – rzekł do pianisty.

Komisarz PP natychmiast wyciągnął pistolet. Wycelował w Goltza i wypalił.

Ale Goltz już znikł.

Na podłodze, w miejscu gdzie jeszcze przed chwilą stał, leżała kartka papieru. Kongrosian schylił się po nią.

–Niech pan tego nie dotyka! – rzucił ostro Pembroke.

Za późno. Kongrosian podniósł kartkę i rozwinął. Było tam napisane:

PEMBROKE PROWADZI PANA NA

ÓMIERĆ.

–To ciekawe. – Kongrosian podał kartkę policjantowi. Pembroke odłożył pistolet i wziął papier. Przeczytał, a jego twarz zniekształciła wściekłość.

Za nimi rozległ się głos Goltza:

–Pembroke czekał od wielu miesięcy, żeby pana uwięzić w Białym Domu. Teraz nie ma już czasu do stracenia.

Komisarz PP odwrócił się, wyciągając pistolet i wypalił. I znowu Goltz, uśmiechając się z pogardliwą goryczą, znikł. Nigdy go nie dostaniesz, pomyślał Kongrosian. Jak długo ma sprzęt von Lessingera.

Nie ma już czasu do stracenia na co? – zastanawiał się. Co się stanie? Goltz najwyraźniej to wiedział i prawdopodobnie Pembroke też. Mieli przecież identyczny sprzęt.

I co to ma wspólnego ze mną?

Ze mną... i moimi zdolnościami, które przyrzekłem sobie kontrolować. Czy oznacza to, że ich użyję?

Nie miał pojęcia, że tak się stanie. Zresztą i tak niewiele mógł na to poradzić.

Nat Flieger usłyszał bawiące się za domem dzieci. Nucily piosenkę, której melodia przypominała jakąś pieśń pogrzebową. A przecież muzyka była całym jego życiem. Choć bardzo się starał, nie zrozumiał słów. Były dziwnie zniekształcone i wymawiane jednym ciągiem.

–Mogę spojrzeć? – spytał panią domu, wstając z trzeszczącego krzesła wiklinowego.

Beth Kongrosian pobladła i rzekła:

–Wolałabym... żeby pan tego nie robił. Niech pan nie patrzy na dzieci. Proszę!

–Jesteśmy z firmy muzycznej, pani Kongrosian – powiedział spokojnie Nat. – Interesujemy się wszystkim, co dotyczy muzyki. – Nic nie mogło go powstrzymać. Nakazywał mu to instynkt. I ani dobre maniere, ani grzeczność, ani nic innego się teraz nie liczyło. Wyrzwał przez okno i zobaczył dzieci siedzące w kółku. Wszystkie były chupperami. Zastanawiał się, który z nich jest Plautusem Kongrosianem. Każde

wyglądało dla niego tak samo. Może był to mały chłopiec w żółtych spodenkach i podkoszulku siedzący trochę na uboczu. Nat skinął na Molly i Jima. Podeszli do niego.

Pięcioro dzieci neandertalskich, pomyślał Nat. Wyciągniętych ze swego czasu. Przeszłość przeniesiono do dzisiejszego dnia. A my, ludzie z EME, możemy zarejestrować ich muzykę. Ciekawe, jak będzie wyglądać okładka do tej płyty przygotowana przez nasz wydział graficzny. Zamknął oczy, nie chcąc przyglądać się dłużej scenie za oknem.

Ale nagramy je. Bo przyjechaliśmy tutaj w konkretnym celu. Nie możemy, a raczej nie chcemy wracać z pustymi rękami. Musimy coś z tym zrobić. A sprawa jest ważna, może nawet ważniejsza niż muzyka samego Richarda Kongrosiana. Nie możemy pozwolić sobie na luksus poddawania się uczuciom.

–Jim – powiedział. – Przynieś ampek F-a2. Biegiem. Zanim przestaną.

–Nie pozwolę wam ich nagrać – wtrąciła Beth Kongrosian

–Musimy ich nagrać i zrobimy to. Przyzwyczailiśmy się do podobnych sytuacji w czasie sesji muzyki folk, dokonywanych w terenie. Wiele razy sądy SZEA musiały decydować w takich sprawach i zawsze decyzja była korzystna dla firmy płytowej. – Nat ruszył za Jimem Planckiem, żeby pomóc mu zestawić sprzęt.

–Panie Flieger, czy pan rozumie, kim one są?! – krzyknęła za nim pani Kongrosian.

–Tak – odparł. I szedł dalej.

Wyciągnęli ampek F-a2. Organizm pulsował, sennie falując nibynóżkami, jakby był głodny. Wilgoć w powietrzu nie wpłynęła znacząco na jego stan. Istota była tylko nieco apatyczna.

Beth Kongrosian wyrosła obok nich, a na jej twarzy malowało się zdecydowanie. Powiedziała niskim głosem:

–Proszę mnie posłuchać. Dzisiejszego wieczora będą mieć spotkanie. Dorośli. W domu wspólnoty, w lesie, całkiem niedaleko stąd, przy bocznej drodze wyłożonej płytami z czerwonej skały. On należy do nich, do ich organizacji. Będzie dużo śpiewu i tańców. Dokładnie to, czego chcecie. O wiele więcej niż znajdziecie tutaj, u tych małych dzieci. Proszę więc, poczekajcie do wieczora.

–Nagramy jedno i drugie – zdecydował Nat i skinął na Jima, by zaniósł ampek F-a2 w pobliże dzieci.

–Możecie zostać u nas do wieczora – przekonywała Beth Kongrosian, biegnąc za

nimi. – Bardzo późno, około drugiej, śpiewają szczególnie pięknie. Trudno zrozumieć słowa, ale... – Złapała go za ramię. – Richard i ja staraliśmy się oduczyć tego nasze dziecko. Dzieci w tym wieku nie biorą jeszcze udziału w spotkaniach. Nic ciekawego nie nagracie. Kiedy usłyszycie dorosłych... – Przerwała na chwilę, po czym dokończyła smutno: – Wtedy zrozumiecie, o czym mówię.

–Poczekajmy – zdecydowała Molly.

Nat zawahał się i spojrzał na Jima Plancka, który skinął głową.

–W porządku – powiedział Nat do pani Kongrosian. – Ale musi nas pani zaprowadzić do domu, w którym się spotykają. I dopilnować, żebyśmy weszli do środka.

–Pomogę wam. Dziękuję, panie Flieger.

Czuję się winny, pomyślał Nat.

–No dobrze. Poza tym... – Poczucie winy wzięło nad nim górę. – A niech to, nie musi nas pani gościć. Poczekamy w Jenner.

–Ależ uczynię to z przyjemnością. Jestem strasznie samotna. Kiedy nie ma Richarda, brakuje mi towarzystwa. Nawet nie wiecie, jak to jest, gdy ludzie z... zewnątrz przyjeżdżają tutaj.

Dzieci zauważyły dorosłych i zawstydzone przestały śpiewać. Szeroko otwartymi oczyma patrzyły na Nata, Molly i Jima. I tak prawdopodobnie nie udałoby się ich nagrać, pomyślał Nat. Nic więc nie stracił, zawierając ten układ.

–Boi się ich pan? – spytała Beth Kongrosian.

–Nie, nieszczególnie. – Wzruszył ramionami.

–Rząd wie o wszystkim – ciągnęła Beth Kongrosian. – Przyjeżdżało wielu etnologów i Bóg jeden wie kto jeszcze. Robili zwiad. Wszyscy twierdzili, że dowodzi to jednej rzeczy. W czasach prehistorycznych, w epoce przed człowiekiem z Cro-Magnon pojawił się... – Przerwała z wyrazem bezradności na twarzy.

–Krzyżowali się między sobą – dokończył za nią Nat. – Jak sugerowały to szkielety znalezione w jaskiniach Izraela.

–Tak. – Skinęła głową. – Prawdopodobnie wszystkie tak zwane podgatunki. Gatunki, które nie przetrwały. Zostały wchłonięte przez Homo sapiens.

–Mogło też być inaczej – rzekł Nat. – Wydaje mi się bardziej prawdopodobne, że tak zwane podgatunki były mutacjami, które trwały przez pewien czas, po czym

wyginęły, ponieważ nie zdołały się przystosować. Może w tamtych czasach było coś z promieniowaniem.

–Nie zgadzam się – powiedziała Beth Kongrosian. – Zresztą informacje, jakie uzyskano dzięki maszynie von Lessingera, dowodzą słuszności mojej teorii. Zgodnie z pańską byłyby to tylko mutacje, a ja twierdzę, że są to prawidłowe gatunki... Wydaje mi się, że ewoluowały niezależnie, od wspólnego pierwotnego przodka, prokonsula. Potem połączyły się, kiedy Homo sapiens dotarł na ich obszary łowieckie.

–Czy mogłabym dostać jeszcze jedną filiżankę kawy? – wtrąciła się Molly. – Zimno mi. – Zadrżała. – Ta wilgoć w powietrzu mnie przygnębia.

–Wejdźmy do domu – zaproponowała Beth Kongrosian. – Nie jesteście przyzwyczajeni do tutejszej pogody. Rozumiem was. Pamiętam, jak ja się czułam, kiedy po raz pierwszy tutaj przyjechaliśmy.

–Plautus nie urodził się tutaj – stwierdził Nat.

–Nie – potwierdziła. – Przyjechaliśmy tutaj z jego powodu.

–Czy rząd nie chciał go przyjąć? – spytał Nat. – Mają przecież specjalne szkoły dla tych, którzy przeżyli promieniowanie.

–Wydawało nam się, że będzie tu szczęśliwszy – powiedziała Beth Kongrosian. – Większość z nich... chupperów, jak o sobie mówią, jest właśnie tutaj. Przybyli ze wszystkich części świata w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

Weszli do ciepłego, suchego domu.

–Właściwie to bardzo ładny chłopiec – zauważyła Molly. – Słodki i wrażliwy mimo...
– Zawahała się.

–Dolna szczęka, a także nogi jeszcze się w pełni nie wykształciły; dlatego na razie powłóczy nogami – powiedziała pani Kongrosian. – Zaczyna się to dopiero koło trzynastego roku życia. – Zaczęła parzyć kawę dla gości.

Dziwne, pomyślał Nat Flieger. Zupełnie czego innego oczekiwaliśmy po tej wyprawie.

Ciekawe, czy to się będzie sprzedawać, dodał w myślach.

Słodki, czysty głos Amandy Connors dobiegający z interkomu zaskoczył doktora Egona Superba, który siedział za biurkiem i sprawdzał rozkład wizyt na dzień następny.

–Przyszedł ktoś do pana, doktorze. Pan Wilder Pembroke.

Wilder Pembroke! Superb wyprostował się i odłożył terminarz do szuflady. Poczł nagły, instynktowny niepokój.

–Za chwilę – powiedział do interkomu.

Czy przyszłi w końcu mnie zamknąć? – zastanawiał się. A więc musiałem już spotkać pacjenta, na którym im zależało, i nawet nie zdawałem sobie z tego sprawy. Spotkałem już tego, kogo miałem wyleczyć. Człowieka, któremu nie potrafiłem pomóc.

Na czoło wystąpił mu pot. A więc tak kończy się moja kariera, podobnie jak kariera każdego innego psychoanalityka w SZA. I co teraz? Niektórzy z kolegów wyjechali do krajów komunistycznych, ale z całą pewnością nie było im tam lepiej. Niektórzy wyemigrowali na Księżyc lub Marsa. A jeszcze inni, i to dość liczni, zgłosili się do pracy w A.G. Chemie, organizacji w głównej mierze odpowiedzialnej za zakończenie ich kariery.

Jestem za młody, by przejść na emeryturę, i za stary, by wyuczyć się innego zawodu. Nie potrafię już nic innego robić, pomyślał gorzko. Nie mogę dalej pracować i zarazem nie mogę przestać. To prawdziwy węzeł gordyjski, problem, z jakim najczęściej mają do czynienia moi pacjenci. Czuł teraz więcej współczucia dla nich i dla bałaganu, jaki uczynili ze swego życia.

–Proszę wpuścić komisarza Pembroke'a – powiedział do Amandy.

Do biura wszedł powoli policjant o przenikliwym spojrzeniu. Podeszedł do stołu i usiadł naprzeciwko doktora Superba.

–Ależ pan ma sekretarkę! – zauważył i oblizał wargi. – Zastanawiam się, co się z nią stanie. Moglibyśmy...

–Czego pan chce? – spytał Superb.

–Odpowiedzi na pytanie. – Pembroke rozsiadł się wygodnie, wyciągnął pudełko z papierosami, antyk z poprzedniego stulecia, i zapalił papierosa zapalniczką, również antykiem. Wypuścił dymek i założył nogę na nogę. W końcu powiedział:

–Pański pacjent, Richard Kongrosian, odkrył, że może się zemścić.

–Na kim?

–Na swoich przeciwnikach. To znaczy na nas, oczywiście. I na każdym innym, kto się nawinie. Niech pan mi powie jedną rzecz. Chciałbym pracować z Richardem

Kongrosianem, ale muszę się przed nim chronić. Prawdę mówiąc, boję się go. Bardziej się go boję, doktorze, niż ktokolwiek inny na świecie. I wiem dlaczego... Użyłem maszyny von Lessingera i wiem dobrze, o czym mówię. Gdzie leży klucz do jego umysłu? Jak mogę sprawić, żeby Kongrosian był... – Pembroke szukał słów. Machnął ręką i dokończył: – Żeby można mu było zaufać. Rozumie pan. Z oczywistych względów nie chciałbym zostać podniesiony w powietrze i ciśnięty z wysokości kilku metrów na ziemię pewnego ranka, kiedy się posprzeczamy. – Twarz miał bladą, siedział wyprostowany i spięty.

Po chwili milczenia Superb odparł:

–Teraz już wiem, o jakiego pacjenta chodziło. Skłamał pan, mówiąc, że nie będę mu w stanie pomóc. Nie wolno mi dać za wygraną. Rzekłbym wręcz, że muszę zrobić wszystko co w mojej mocy. A pacjent jest dość normalny.

Pembroke przyglądał mu się uporczywie, ale nic nie powiedział.

–To pan jest tym pacjentem. I świetnie pan o tym wiedział przez cały czas. Chciał mnie pan zwieść.

Po chwili Pembroke skinął głową.

–I nie jest to sprawa rządowa – ciągnął Superb. – To sprawa między mną a panem. Nie ma nic wspólnego z Nicole. – Przynajmniej nie bezpośrednio, dodał w myślach.

–Niech pan będzie ostrożny – powiedział Pembroke. Wyciągnął służbowy pistolet i położył na kolanach, pod ręką. – Nie mogę panu powiedzieć, jak kontrolować Kongrosiana. Sam go nie potrafię kontrolować. Pan o tym wie.

–Ale wie pan na pewno, czy mogę z nim współpracować – stwierdził Pembroke. – Zna go pan na tyle. – Patrzył przenikliwie na Superba i czekał.

–Musiałby mi pan powiedzieć, do czego chce go pan użyć.

Pembroke podniósł pistolet i wycelował w Superba.

–Niech mi pan powie, co czuje Kongrosian w stosunku do Nicole.

–Jest dla niego Magna Mater. Podobnie jak dla nas wszystkich.

–Magna Mater? Cóż to takiego?

–Wspaniała, pierwotna matka.

–Czyli innymi słowy idealizuje ją. Jest dla niego bóstwem, a nie człowiekiem. Jak by zareagował... – Pembroke zawahał się. – Co by zrobił, gdyby nagle stał się gesem?

Prawdziwym, posiadającym jedną z najlepiej strzeżonych tajemnic państwowych. Taką na przykład, że Nicole zmarła wiele lat temu, a ta, którą nazywamy Nicole, jest aktorką. Dziewczyną o nazwisku Kate Rupert.

W uszach Superba zadźwięczało. Spojrzał uważnie na Pembroke'a i zrozumiał z całą wyrazistością, że to prawda. Kiedy ich rozmowa się skończy, Pembroke go zabije.

**–Bo taka jest prawda – dokończył komisarz PP, po czym włożył pistolet do kabury.
– Czy straciłby dla niej poważanie? Czy byłby w stanie... współpracować?**

Po pewnym czasie Superb odparł:

–Tak. Na pewno.

Pembroke wyraźnie się rozluźnił. Przestał się trząść, a na jego policzki powrócił kolor.

–To dobrze. Mam nadzieję, że zapomni pan o naszej rozmowie, doktorze, bo jeśli nie, wrócę tutaj i niezależnie od tego, co się stanie, zabiję pana. – Nagle wstał. – Żegnam.

–Czy... to koniec mojej pracy?

–Oczywiście. Dlaczegoż by nie? – Pembroke uśmiechnął się spokojnie. – Na cóż pan się może komukolwiek przydać? Pański czas przeminął. To ciekawe, że pan...

–A gdybym powiedział panu to samo?

–Och, proszę to uczynić. Dzięki temu moje zadanie będzie jeszcze łatwiejsze. Widzi pan, doktorze, chcę wyjawić besom tę Geheimnis. Dokładnie w tym samym czasie Karp und Sohnen Werke wyjawia inną.

–Jaką?

–Będzie musiał pan poczekać – uśmiechnął się cierpko Pembroke. – Do czasu, gdy Anton i Felix Karp będą już gotowi. – Otworzył drzwi biura. – Spotkamy się wkrótce, doktorze. Dziękuję za pomoc. – Zamknął za sobą drzwi.

Poznałem najbardziej strzeżoną tajemnicę państwową, pomyślał Superb. Jestem teraz jednym z wyższych gesów.

Ale nie ma to znaczenia. Bo informacja ta w żaden sposób nie pomoże mi dalej w wykonywaniu mojego zawodu. A przecież tylko to jest ważne. Przynajmniej dla mnie. Liczy się tylko moja kariera. A niech to, tylko kariera!

Poczuł wściekłość, przerażającą nienawiść do Pembroke'a. Gdybym tylko mógł go

zabić, pomyślał, zrobiłbym to. Od razu wyszedłbym za nim...

–Doktorze. – Głos Amandy zadzwieczał z interkomu. – Pan Pembroke mówi, że musimy zamknąć biuro. – W jej głosie dało się słyszeć wahanie. – Czy to prawda? Wydawało mi się, że mieli panu pozwolić prowadzić jeszcze praktykę przez jakiś czas.

–Niestety, mówi prawdę – przyznał Superb. – Wszystko skończone. Zadzwoń do wszystkich pacjentów, z którymi jestem umówiony, i ich uprzedź.

–Tak, doktorze – rzekła Amanda pochlipując.

A niech to, pomyślał Superb. Nic nie mogę na to poradzić. Nic a nic.

Interkom włączył się znowu. Amanda odezwała się z wahaniem:

–Powiedział jeszcze coś. Nie chciałam panu mówić, ale to dotyczyło mnie. Wiedziałam, że się pan zdenerwuje.

–Co takiego powiedział?

–Podobno... może mnie zatrudnić. Nie powiedział do czego, ale cokolwiek miał na myśli, wydawało mi się... – Przez chwilę milczała. – Zrobiło mi się niedobrze – dokończyła. – Tak jak nigdy dotąd. Jeszcze nigdy nikt tak do mnie nie mówił i tak na mnie nie patrzył. Tym razem... było inaczej.

Superb podniósł się i otworzył drzwi biura. Pembroke'a oczywiście już nie było. Ujrzał Amandę Connors za biurkiem; wycierała oczy chusteczką. Wyszedł z budynku.

Otworzył bagażnik swojego samochodu i wyjął lewarek. Trzymając go w ręku, ruszył chodnikiem. Rozglądając się za komisarzem PP, czuł w dłoni chłód stalowego narzędzia.

W oddali ujrzał niewielką sylwetkę. Perspektywa, pomyślał Superb. Wygląda na mniejszego. Ale nie jest taki mały. Superb szedł w kierunku policjanta, podnosząc lewarek.

Sylwetka Pembroke'a rosła.

Pembroke go nie widział. Stał nieruchomo w grupie innych przechodniów, którzy patrzyli na tytuły wyświetlane przez mechanicznego gazeciarza.

Tytuły były wielkie, złowrogie i czarne. Superb podszedł i mógł wreszcie je odczytać. Zwolnił, opuścił lewarek, aż w końcu stanął jak inni.

–Karp wyjawia wielką tajemnicę państwową! – skrzeczał mechaniczny gazeciarz do

każdego, kto był w zasięgu jego głosu. – Der Alte to simulakrum! W przygotowaniu jest już nowy der Alte!

Maszyna poczęła oddalać się w poszukiwaniu nowych klientów. Tutaj nie znalazła chętnych do kupna gazety. Każdy stał jak wryty. Superbowi wydawało się, że śni. Zamknął oczy i pomyślał: Nie wierzę. Nie mogę w to uwierzyć.

–Pracownik Karpa wykradł kompletne plany następnego simulakrum der Alte\ – piskliwie oznajmiała maszyna gazeciarska, która zdążyła się już nieco oddalić. Jej głos odbijał się echem. – Plany zostały wyjawione!

Przez te wszystkie lata oddawaliśmy pokłony kukle, pomyślał Superb. Istocie bezwolnej i pozbawionej życia.

Otworzył oczy i ujrzał komisarza PP, który groteskowo nadstawiał ucha, starając się usłyszeć głos maszyny. Pembroke zrobił jeszcze parę kroków w ślad za nią, niczym zahipnotyzowany.

Później ruszył dalej, malejąc w oczach, jak poprzednio. Muszę za nim iść, pomyślał Superb. Musi znowu wrócić do swojego rzeczywistego rozmiaru, żebym mógł zrobić z nim to, co muszę zrobić. Rączka lewarka stała się nieco wilgotna, tak że trudno mu było ją utrzymać.

–Pembroke! – zawołał.

Postać zatrzymała się z nieznacznym uśmiechem.

–A więc teraz zna pan obie tajemnice. Jest pan dobrze poinformowany, doktorze. Mam dla pana radę. Niech pan wezwie maszynę reporterską i sprzeda jej swoją informację. Boi się pan?

Superb miał ściśnięte gardło.

–To za dużo jak dla mnie. – Ledwo zdołał z siebie wydusić te słowa. – Muszę to przemyśleć. – Stał i zdezorientowany wsłuchiwał się w ledwie już słyszalny głos mechanicznego sprzedawcy gazet.

–Ale pan to zrobi – rzekł Pembroke. Nadal się uśmiechał, lecz wyciągnął swój służbowy pistolet i wycelował w skroń Superba. – To rozkaz, doktorze. Nie mamy już czasu, bo Karp und Sohnen zrobili swój ruch. To właściwy moment, doktorze, Augenblick, jak mówią pańscy niemieccy przyjaciele. Zgadza się pan ze mną?

–Wezwę maszynę reporterską – powiedział Superb.

–Niech pan nie podaje źródła informacji, doktorze. Chyba wejdę z panem do środka.

– Pembroke pchnął Superba na schody budynku, przed drzwi jego biura. – Niech pan tylko powie, że jeden z pańskich pacjentów, ges, wyjawiał to panu w zaufaniu, ale panu sprawa wydawała się zbyt istotna, by ją trzymać w tajemnicy.

–W porządku – rzekł Superb kiwając głową.

–I niech się pan nie przejmujecie psychologicznym efektem, jaki wywrze na naród wyjawienie prawdy o Nicole – dodał Pembroke. – Na masy besów. Wydaje mi się, że będą w stanie to przetrzymać, kiedy minie już początkowy szok. Oczywiście zareagują. Podejrzewam, że zniszczą system rządów. Zgadza się pan ze mną? Rozumiem przez to, że nie będzie już der Alte i tak zwanej Nicole ani podziału na gesów i besów. Bo wszyscy będziemy gesami. Zgadza się?

–Tak – rzekł Superb, przechodząc powoli koło biurka Amandy Connors, która bez słowa przyglądała się jemu i Pembroke'owi.

Na wpół do siebie Pembroke mruknął:

–Boję się tylko reakcji Bertolda Goltza. Cała reszta wydaje się w porządku, ale jego działań nie potrafię przewidzieć.

Superb się zatrzymał.

–Proszę mnie połączyć z maszyną redaktorską "New York Timesa" – powiedział do sekretarki

Amanda podniosła słuchawkę i bezwiednie wybrała numer.

Poblady Maury Frauzimmer głośno przełknął ślinę, opuścił gazetę i wymamrotał do Chica:

–Wiesz, kto z nas przekazał informację prasie? – Wyglądał, jakby śmierć zaczęła mu już deptać po piętach.

–Ja...

–Twój brat, Vince. Którego właśnie sprowadziłeś od Karpa. To nasz koniec. Vince pracował dla Karpa. Nigdy go nie zwolnili, przysłali go po prostu do nas. – Maury zgniótł gazetę. – Boże, dlaczego nie wyemigrowałeś? Gdybyś wyjechał, nigdy nie udałoby mu się do nas dostać. Nie zatrudniłbym go bez twojego wstawiennictwa. – Podniósł przepelnione strachem oczy i patrzył na Chica. – Dlaczego nie pozwoliłem ci wyjechać?

Przed budynkiem fabryki Frauzimmer Associates maszyna gazeciarska skrzeczała:

–...wielką tajemnicę państwową! Der Alte to simulakrum! W przygotowaniu jest już nowy Der Alte! – powtarzała swój tekst.

–Zniszcz ją – wychrypiał Maury. – Ta maszyna doprowadzi mnie do szaleństwa. W imię boskie, każ jej odejść.

–Nie odejdzie – odparł Chic. – Próbowałem, kiedy pierwszy raz ją usłyszałem.

Siedzieli naprzeciw siebie i nie mogli wydusić z siebie ani słowa. Zresztą nie było nic do powiedzenia. To był koniec ich działalności.

A może także ich życia.

W końcu Maury powiedział:

–Co z parkingami Stukniętego Luke'a? Z tymi złomowiskami? Rząd zamknął wszystkie, prawda?

–Dlaczego cię to interesuje? – zdziwił się Chic.

–Bo chcę wyemigrować. Muszę się stąd wynieść. Podobnie jak ty.

–Są zamknięte – potwierdził Chic, kiwając głową.

–Wiesz, co to jest? – rzekł nagle Maury. – Zamach stanu. Spisek przeciwko rządowi SZEA. Zorganizowany przez ludzi wewnątrz aparatu, a nie z zewnątrz, takich jak Goltz. Współpracują z kartelami, z Karpem, największym z nich. Mają dużo władzy. To nie jakieś tam bójki uliczne. Żadna zwykła bijatyka. – Wytarł chusteczką czerwoną, spoconą twarz. – Jestem chory. Do diabła, zostaliśmy wrobieni, ty i ja. Chłopcy z PP będą tu za chwilę.

–Ale muszą wiedzieć, że nie chcieliśmy...

–Nic nie wiedzą. Aresztują wszystkich. Od góry do dołu.

Gdzieś w dali dał się słyszeć głos syreny. Maury przysłuchiwał się mu z szeroko otwartymi oczyma.

Kiedy tylko Nicole Thibodeaux zrozumiała powagę sytuacji, wydała rozkaz, by zabić Reichsmarschalla Hermanna Goeringa. Tak należało postąpić. Było bardzo prawdopodobne, że spisek miał jakiś związek z nim. Nie mogła ryzykować. Stawka była zbyt duża.

Na ukrytym dziedzińcu Białego Domu oddział żołnierzy z pobliskiej bazy wojskowej robił swoje. Słuchała w zamyśleniu słabego, prawie niesłyszalnego odgłosu ich strzelb laserowych, mówiąc sobie, że śmierć tego człowieka udowadnia, jak niewiele władzy miał w Trzeciej Rzeszy. Bo jego śmierć nie spowodowała żadnych zmian w jej czasie, w teraźniejszości. Choćby najmniejszych. Był to dobry komentarz do struktury rządowej nazistowskich Niemiec.

Potem wezwała komisarza PP, Wildera Pembroke'a.

–Chcę mieć raport dotyczący ludzi współpracujących z Karpami – poinformowała go. – Oprócz ich własnych pracowników. Nie ma wątpliwości, że nie posunęliby się tak daleko, gdyby nie wiedzieli, że mogą liczyć na sprzymierzeńców. – Patrzyła na komisarza PP z zaplanowaną, dokładnie przemyślaną przenikliwością. – Jak wygląda policja państwowa?

–Jesteśmy gotowi zająć się spiskowcami – spokojnie odparł Wilder Pembroke. Nie wyglądał na poruszonego. Prawdę mówiąc, pomyślała, był bardziej pewny siebie niż zazwyczaj. – Właściwie wszczęliśmy już pewne kroki przeciw nim. Mamy pracowników i dyrektorów Karpa oraz personel ekipy Frauenzimmers. A także wszystkich zamieszanych w tę sprawę. Działamy tutaj w oparciu o sprzęt von Lessingera.

–Skoro używacie maszyny von Lessingera, dlaczego nie byliście na to przygotowani? – spytała ostro.

–Oczywiście, zachodziła taka możliwość, ale była bardzo niska. Jedna na milion wariantów przyszłości. Nigdy nie sądzilibyśmy...

–Właśnie stracił pan posadę. Niech pan przyśle swoich pracowników. Wybiorę spośród nich nowego komisarza.

Pembroke zaczerwienił się i jeszcze nie dowierzając, próbował się bronić:

–Przecież w każdym momencie jest wiele takich nieprawdopodobnych możliwości i gdybyśmy chcieli...

–Ale pan wiedział, że mnie zaatakują – przerwała mu Nicole. – Kiedy to coś, to

marsjańskie zwierzątko mnie ugryzło, powinien pan się domyślić. Od tamtej chwili powinien pan oczekiwać pełnego ataku, bo to był dopiero początek.

–Czy... mamy zgarnąć Luke'a?

–Nie możecie zgarnąć Luke'a. Luke jest na Marsie. Wszyscy uciekli, łącznie z tą dwójką, która była w Białym Domu. Luke ich zabrał. – Rzuciła raportem w Pembroke'a. – Poza tym nie ma pan już żadnej władzy.

Zapadła nieprzyjemna cisza.

–Kiedy tamto coś mnie ugryzło – rzekła Nicole – wiedziałam, że zaczynają się jakieś kłopoty. – Z jednego powodu jednak dobrze było, że tak się stało. Zaczęła być czujna. Teraz nie mogli jej zaskoczyć, była przygotowana i dużo wody upłynie, zanim ktoś albo coś ugryzie ją znowu. W przenośni lub dosłownie.

–Proszę, pani Thibodeaux... – zaczął Pembroke.

–Nie! – ucięła. – Niech pan nie skamle. To koniec. – Jest w tobie coś, co sprawia, że ci nie ufam, pomyślała. Może dlatego że pozwoliłeś papuli mnie ugryźć. To był początek twojego końca. Końca twojej kariery. Od tamtej pory stałam się czujna.

Był to również mój koniec.

Drzwi biura otworzyły się i pojawił się w nich rozpromieniony Richard Kongrosian.

–Nicole, odkąd wyrzuciłem tego psychochemika z A.G. Chemie do pralni, stałem się całkowicie widzialny. To cud!

–Świetnie, Richardzie – rzekła Nicole. – Akurat mamy tu jednak ważne spotkanie. Przyjdź później.

Teraz Kongrosian zauważył Pembroke'a. Wyraz jego twarzy natychmiast się zmienił. Wrogość... Zastanawiała się dlaczego. Wrogość... i strach.

–Richardzie – powiedziała nagle. – Czy chciałbyś zostać komisarzem PP? Ten człowiek – wskazała na Wildera Pembroke'a – został zwolniony.

–Żartujesz!

–Tak. W pewnym sensie. Ale w pewnym sensie mówię poważnie. – Potrzebowała go, ale do czego? Jak mogła skorzystać z niego i jego zdolności? Zupełnie nie wiedziała.

–Pani Thibodeaux – rzekł Pembroke sztywno – jeśli zmieni pani swoją decyzję...

–Nie zmienię.

–W każdym razie będzie mi miło powrócić na moje stanowisko i służyć pani.

Wyszedł.

–On coś knuje – powiedział Kongrosian. – Nie wiem tylko co. Skąd wiadomo, kto jest lojalny w takim momencie? Ja mu nie ufam. Uważam, że należy do siatki konspiratorów, którzy spiskują przeciw mnie. I przeciw tobie, oczywiście – dodał szybko. – Ciebie też chcą zniszczyć, prawda?

–Tak, Richardzie – westchnęła.

Przed Białym Domem przejeżdżał mechaniczny gazeciarsz. Słysząc było, jak rozgłasza tajemnice dotyczące Dietera Hogbena. Maszyna znała całą historię i wykorzystywała ją do swoich celów. Nicole znowu westchnęła. Rada rządząca, te mroczne, złowrogie postacie, które stały za każdym jej ruchem, były niewątpliwie bardzo poruszone, jak gdyby obudzone ze snu. Zastanawiała się, co zrobią. Byli bardzo mądrzy i dość starzy. Byli jak żmije, zimne i ciche, ale bardzo żywe. Bardzo aktywne, choć trudno zauważalne. Nigdy nie pojawiali się w telewizji, nigdy nie oprowadzali wycieczek po Białym Domu.

W tej chwili chciałyby się z nimi zamienić miejscami.

Nagle zdała sobie sprawę, że coś się stało. Maszyna sprzedawała informacje o niej. Nie o następnym der Alte, Dieterze Hogbenie, ale o zupełnie innym gęsie.

Podeszła do okna, żeby lepiej słyszeć, jak maszyna mówi, że... Wytężyła słuch.

–Nicole nie żyje! – krzyczała maszyna. – Zmarła wiele lat temu! Jej miejsce zajmuje aktorka Kate Rupert! Cały aparat rządzący to mistyfikacja. Zgodnie z... – W tym momencie maszyna odjechała dalej, nie można było dosłyszeć słów.

Richard Kongrosian zmarszczył czoło.

–Co... co to znaczy, Nicole? Mówią, że nie żyjesz.

–Czy wyglądam, jakbym nie żyła? – spytała cierpko.

–Ale powiedzieli, że na twoim miejscu jest aktorka. – Przyglądał jej się uważnie, a na jego twarzy było widać zakłopotanie. – Czy jesteś tylko aktorką, Nicole? Oszustem, takim samym jak der Altel – Patrzył na nią, jakby za chwilę miał wybuchnąć pełnym żalu płaczem.

–To tylko kaczka dziennikarska – rzekła stanowczo Nicole, jednak obezwładnił ją ponury, somatyczny strach. Teraz wszystko już zostało ujawnione. Jakiś wysoko postawiony ges, ktoś znajdujący się bliżej niej niż Karp, wyjawiał tę ostatnią, wielką

tajemnicę.

Nie było już nic do ukrycia. Nie było więc także różnicy między wieloma besami i nielicznymi gesami.

Ktoś zapukał do drzwi i po chwili stanął w nich Garth McRae z ponurym wyrazem twarzy. W ręku trzymał "New York Times".

–Ten psychoanalityk, Egon Superb, poinformował maszynę redaktorską – powiedział do Nicole. – Nie mam najmniejszego pojęcia, skąd mógł się dowiedzieć. Przecież nie ma dostępu do informacji o pani. Najwyraźniej ktoś musiał zdradzić mu to z premedytacją. – Spojrzał na gazetę, poruszając po cichu ustami. – Pacjent. Ges powiedział mu to, a on, z powodów, których nigdy nie poznamy, przekazał informację gazecie.

–Aresztowanie go jest chyba bezcelowe – stwierdziła Nicole. – Chciałabym się dowiedzieć, kto się nim posłużył. Tylko to mnie interesuje. – Bez wątpienia było to pytanie retoryczne, z góry skazane na brak odpowiedzi. Prawdopodobnie Egon Superb nigdy im tego nie wyjawi. Przyjmie stanowisko, że była to tajemnica lekarska, coś, co przekazano mu w czasie wizyty. Będzie twierdził, że nie chce wpakować swojego pacjenta w kłopoty.

–Nawet Bertold Goltz tego nie wiedział – stwierdził McRae. – Chociaż co chwila pojawia się tutaj.

–Niedługo ludzie zażądadają wyborów powszechnych – powiedziała Nicole. Po tej wpadce na pewno jej nie wybiorą. Zastanawiała się, czy Epstein, główny radca prawny, uzna, że w zakresie jego obowiązków leży podjęcie czynności przeciw niej. Mogła liczyć na wojsko, ale co z Wysokim Trybunałem? Pewnie stwierdzi, że nie była legalnie u władzy. Może nawet właśnie w tej chwili to uchwała.

Rada będzie się teraz musiała ujawnić. Przyznać publicznie, że to właśnie ona, a nie kto inny, posiada rzeczywistą władzę. A radni nigdy nie zostali wybrani przez ludzi. Byli całkowicie nielegalni.

Goltz mógłby powiedzieć, całkowicie zresztą słusznie, że miał takie samo prawo rządzić jak rada.

Może nawet miał większe prawo. Bo Goltz i Synowie Hioba mają wzięcie wśród ludzi.

Teraz żałowała, że w ciągu ostatnich lat nie dowiedziała się więcej o radzie. Nie wiedziała, kto wchodził w jej skład, kim byli jej członkowie, jakie przyświecały im cele. Właściwie nawet nigdy nie widziała sesji rady. Komunikowali się z nią pośrednio, przez urządzenia elektroniczne.

–Wydaje mi się – powiedziała do Gartha McRae – że lepiej będzie, jeśli wystąpię w telewizji i zwrócę się do ludzi. Kiedy mnie zobaczą, może przyjmą tę informację mniej serio. – Może sama jej obecność, magiczna siła oddziaływania jej obrazu przeważą. Przecież ludzie byli przyzwyczajeni do oglądania jej. Wierzyli w nią od wielu dziesięcioleci. Uświęcony przez tradycję bat i marchewka może jeszcze zadziałać, przynajmniej w ograniczonym wymiarze.

Uwierzą, jeśli będą chcieli uwierzyć, zdecydowała. Mimo informacji podawanych przez maszyny gazeciarskie. Te zimne, bezosobowe agencje “prawdy”. Absolutnego realizmu nie obarczonego ludzką subiektywnością.

–Spróbuję – zdecydowała.

Przez cały ten czas Richard Kongrosian wpatrywał się w nią uparcie. Wyglądało na to, że w żaden sposób nie może odwrócić od niej wzroku. Teraz powiedział ochrypłym głosem:

–Nie wierzę, Nicole. Jesteś prawdziwa! Widzę cię przecież, więc jesteś prawdziwa!

–Jestem prawdziwa! – Zrobiło jej się smutno. Wielu ludzi było teraz w takiej samej sytuacji jak Kongrosian. Z desperacją nie chcieli pozwolić, by jej obraz uległ zmianie, został zniszczony. Ale... czy to wystarczy?

Iludzi, jak Kongrosian, mogło złamać zasadę rzeczywistości? Wierzyć w coś, o czym wiedzieli, że jest iluzją?

Przecież niewielu było tak chorych jak Richard Kongrosian.

Aby pozostać przy władzy, musiałyby rządzić narodem obłąkanych. A ten pomysł niespecjalnie jej się podobał.

W drzwiach stanęła Janet Raimer. Mała, pomarszczona i zaaferowana.

–Nicole, chodź ze mną, proszę. – Jej głos był suchy i cichy. Ale nie dopuszczał sprzeciwu.

Nicole wstała. Rada chciała ją widzieć. Jak to się zwykle działo, skorzystali z usług Janet Raimer, swojej rzeczniczki.

–Dobrze – powiedziała Nicole. Potem zwróciła się do Kongrosiana i Gartha McRae: – Przykro mi. Muszą mi panowie wybaczyć. Garth, chciałabym, żebyś przez jakiś czas pełnił obowiązki komisarza PP. Wilder Pernbroke właśnie wyleciał z pracy. Ufam ci. – Przeszła koło nich i ruszyła za Janet Raimer przez biuro i korytarz. Janet szła szybko, więc żeby za nią nadążyć, musiała się spieszyć.

Kongrosian, ze zwieszonymi bezwładnie ramionami, zawołał za nią:

–Jeśli nie istniejesz, znowu będę niewidzialny! Albo nawet gorzej!

Szła dalej.

–Boję się! – krzyczał. – Co mam robić? Nie chcę, żeby to była prawda! – Wyszedł za nią na korytarz. – Proszę, pomóż mi, zanim będzie za późno!

Nie mogła nic poradzić. Nie obejrzała się nawet. Janet odprowadziła ją do windy.

–Tym razem czekają dwa poziomy niżej – powiedziała. – Zebrali się wszyscy. Dziewięcioro. Ponieważ sytuacja jest groźna, będą z tobą rozmawiać osobiście.

Winda powoli zjeżdżała w dół.

Nicole wyszła za Janet na poziomie, który w poprzednim stuleciu służył jako schron atomowy Białego Domu. Wszystkie światła były włączone i za dużym, dębowym stołem ujrzała sześciu mężczyzn i trzy kobiety. Nie знаła nikogo oprócz jednej osoby. Puste, nieznane twarze. Ale w samym środku z niedowierzaniem dostrzegła znajomego. Z miejsca, jakie zajmował, można było sądzić, że jest przewodniczącym. Zachowywał się z większą pewnością siebie niż pozostali.

Człowiekiem tym był Bertold Goltz.

–Pan?! – zdziwiła się Nicole. – Przywódca rozrób ulicznych? Tego bym się nigdy nie domyśliła. – Była przestraszona i zdenerwowana. Z wahaniem usiadła na prostym, drewnianym krześle, naprzeciw dziewięciu członków rady.

Goltz zmarszczył brwi.

–Wiedziałaś, że mam dostęp do maszyny von Lessingera. A przecież sprzęt do podróżowania w czasie jest w posiadaniu rządu. Najwyraźniej więc w jakiś sposób musiałem mieć kontakty na bardzo wysokim poziomie. Ale to nie ma teraz znaczenia. Musimy omówić bardziej istotne sprawy.

–Wracam na górę – wtrąciła Janet Raimer.

–Dziękuję – skinął głową Goltz. Do Nicole zaś rzekł ponuro: – Jesteś dość niekompetentną, młodą kobietą, Kate. Jednak postaramy się pozbierać i kontynuować naszą pracę. Maszyna von Lessingera wykazuje jedną, wysoce prawdopodobną alternatywę przyszłości, w której komisarz Pembroke rządzi jako dyktator absolutny. Prowadzi nas to do wniosku, iż Wilder Pembroke współpracuje z Karpami, usiłując cię zdetronizować. Wydaje mi się, że musisz natychmiast kazać go aresztować i zastrzelić.

–Stracił posadę – powiedziała Nicole. – Nie dalej jak dziesięć minut temu wyrzuciłam go z pracy.

–I pozwoliłaś mu odejść? – spytała jedna z członkiń rady.

–Tak – przyznała niechętnie Nicole.

–A więc prawdopodobnie za późno na aresztowanie go – rzekł Goltz. – Ale pomyślmy dalej. Nicole, musisz przede wszystkim wystąpić przeciw dwóm kartelom, Karpowi i A.G. Chemie. Anton i Felix Karpowie są szczególnie niebezpieczni. Przejrzeliśmy kilka wariantów przyszłości, w których udaje im się zniszczyć ciebie i przejąć władzę na co najmniej dziesięć lat. Musimy temu za wszelką cenę zapobiec.

–Dobrze – zgodziła się Nicole, kiwając głową. Wydawało jej się to dobrym pomysłem. Tak czy inaczej wystąpiłaby przeciw Karpom, nawet bez rady Goltza.

–Wydaje ci się, że nie potrzebujesz naszych wskazówek, ale naprawdę bardzo ich potrzebujesz. Powiemy ci, jak możesz ocalić życie, a potem urząd. Bez nas zginiesz w ciągu dziesięciu minut. Proszę, zaufaj mi. Użyliśmy maszyny von Lessingera i wiemy wszystko.

–Po prostu w żaden sposób nie mogę się przyzwycząić do myśli, że to pan.

–Przecież to zawsze byłem ja, chociaż nie wiedziałaś o tym. Nic się nie zmieniło oprócz tego, że teraz o tym wiesz, a to przecież naprawdę niewielka różnica, Kate. Powiedz mi zatem, czy chcesz żyć? Czy przyjmiesz nasze polecenia? Czy też może wolisz, żeby Wilder Pembroke i Karp postawili cię gdzieś pod ścianą i rozstrzelali? – Jego głos stał się niemły.

–Oczywiście będę współpracować.

–Świetnie. – Goltz rozejrzał się po swoich kolegach. – Pierwszym poleceniem, jakie wydasz, oczywiście przez Rudiego Kalbfleischa, będzie ogólnopaństwowa nacjonalizacja Karp und Sohnen Werke. Wszystkie aktywa Karpa staną się własnością rządu SZEA. Wydadz rozkazy wojsku. Mają przejąć wszystkie budynki Karpa. Będzie tego trzeba dokonać z pomocą uzbrojonych oddziałów i zapewne przy asyście ciężkiego sprzętu opancerzonego. Trzeba to zrobić natychmiast, najlepiej przed wieczorem.

–Dobrze – powiedziała Nicole.

–Kilku generałów, przynajmniej trzech albo czterech, musi zostać wysłanych do głównej siedziby Karpów w Berlinie. Mają osobiście aresztować rodzinę Karpów. Niech ich zawiozą do najbliższej bazy wojskowej, osądzą przed trybunałem wojskowym i natychmiast stracą, również przed wieczorem. A co do Pembroke'a,

wydaje mi się, że będzie lepiej, jeśli Synowie Hioba wyślą grupę zabójców, by go załatwili. Niech wojsko się w to nie miesza... Czemu się tak skrzywiłaś, Kate?

–Boli mnie głowa – odparła Nicole. – I niech mnie pan nie nazywa Kate. Jak długo jestem u władzy, powinien mnie pan nazywać Nicole.

–Nie lubisz takich decyzji, co?

–Nie lubię nikogo mordować, nawet Pembroke'a i Karpów. Wystarczył mi jeden Reichsmarschall. Nie zabiłam tych dwóch grajków, choć ich papula mnie ugryzła. Tych dwóch pracowników Stukniętego Luke'a. Pozwoliłam im wyemigrować na Marsa.

–Nie możemy w ten sposób postąpić ze wszystkimi.

–Najwyraźniej – zgodziła się Nicole.

Drzwi schronu się otworzyły. Nicole obróciła się, oczekując, że ujrzy Janet Raimer. W drzwiach stał Wilder Pembroke z grupą policjantów i pistoletem w dłoni.

–Jesteście aresztowani – powiedział. – Wszyscy.

Goltz skoczył na równe nogi i sięgnął nerwowo do płaszcza. Pembroke zabił go jednym strzałem. Goltz pochylił się do przodu, opadł na stół. Jego krzesło się wywróciło i ciało osunęło się na podłogę.

Nikt nie drgnął.

–Jedzie pani na górę – powiedział Pembroke do Nicole. – Musi pani wystąpić w telewizji. Jazda. – Machnął pistoletem w jej kierunku. – Niech się pani pospieszy! Program zaczyna się za dziesięć minut. – Z kieszeni płaszcza wyciągnął pomiętą kartkę papieru. – Tu jest tekst. To rezygnacja ze stanowiska – dodał z grymasem, który wydawał się tikiem. – Przyzna także pani, że obie informacje są prawdziwe, ta o der Alte i o pani.

–Na czyją rzecz abdykuję? – spytała Nicole. Własny głos brzmiał dość cienko w jej uszach, ale przynajmniej nie błagalnie. Ucieszyło ją to.

–Przekazuje pani władzę policyjnemu komitetowi kryzysowemu – wyjaśnił Pembroke – który będzie nadzorował nadchodzące wybory, po czym oczywiście zrzeknie się władzy.

Oślupiali, bierni członkowie rady wstali i chcieli pójść za Nicole.

–Nie – oświadczył im Pembroke. Twarz miał białą jak kreda. – Zostajecie tutaj. Z

oddziałem policji.

–Wiesz, co z tobą zrobi, prawda? – spytał Nicole jeden z członków rady. – Wydał już rozkazy, by nas zabito.

–Ona nic na to nie poradzi. – Pembroke jeszcze raz machnął pistoletem w kierunku Nicole.

–Widzieliśmy wszystko dzięki maszynie von Lessingera – rzekła jedna z kobiet. – Ale nie wierzyliśmy, że do tego dojdzie. Bertold nie wierzył. Mówił, że to zbyt nieprawdopodobne. Myśleliśmy, że takie przewroty odeszły już w zapomnienie.

Nicole i komisarz PP wjechali windą na poziom powierzchni ziemi.

–Niech pan ich nie zabija – powiedziała Nicole. – Proszę.

Pembroke spojrział na zegarek.

–Już są martwi.

Winda stanęła.

–Niech pani idzie bezpośrednio do swojego biura – poinstruował Nicole Pembroke. – Stamtąd nadany będzie program. To ciekawe, że rada nie wzięła pod uwagę możliwości, iż ja zabiję ich, zanim oni zabiją mnie. Zaślepieni przez swoją władzę absolutną uznali, że pójdę na śmierć potulnie jak owca. Wątpię, by zadawali sobie nawet trud oglądania dalszych wydarzeń. Musieli wiedzieć, że jest dość spora szansa, iż przejmę władzę, ale najwyraźniej nie sprawdzili, jak to się stanie.

–Nie wierzę, żeby byli tacy głupi. Mając maszynę von Lessingera... – Wydawało jej się niemożliwością, aby Bertold Goltz i inni po prostu pozwolili mu się zabić.

–Bali się – ciągnął Pembroke. – A przestraszeni ludzie przestają myśleć rozsądnie.

Doszli do biura Nicole.

Na podłodze przed drzwiami leżało nieruchome ciało. Była to Janet Raimer.

–Byliśmy zmuszeni to zrobić – wyjaśnił Pembroke. – Albo raczej... powiedzmy to sobie wyraźnie, chcieliśmy to zrobić. Bądźmy ze sobą szczerzy. Nie musiałem zabijać pani Raimer, był to dla mnie akt czystej, nieprzymuszonej woli. – Przeszedł nad ciałem Janet i otworzył drzwi do biura Nicole.

W biurze był Richard Kongrosian.

–Coś straszego się ze mną dzieje – zawodził. – Nie mogę już odróżnić siebie od

otoczenia. Czy wiecie, jakie to uczucie? Okropne! – Podszedł do nich, drżąc na całym ciele. Oczy przepelniał mu strach, a kark, czoło i dłonie miał mokre od potu. – Czy możecie to zrozumieć?

–Później – rzekł nerwowo Pembroke. Nicole znowu zauważyła tik, niezamierzony skurcz twarzy. Pembroke zwrócił się do niej: – Najpierw przeczyta pani ten tekst. Proszę zaczynać. – Jeszcze raz spojrzął na zegarek. – Technicy telewizyjni powinni być już przygotowani.

–Odesłałem ich – rzekł Kongrosian. – Kiedy przyszli, było mi jeszcze trudniej. Spójrzcie... widzicie to biurko? Teraz jestem jego częścią, a ono jest częścią mnie! Patrzcie! – Stojący na biurku wazon z białymi różami uniósł się i przesunął w powietrzu w kierunku Kongrosiana, wtopił się w jego klatkę piersiową i znikł. – Teraz jest wewnątrz mnie. – Kongrosian drżał. – Wchłonąłem go. Teraz jest mną. A... – wskazał na biurko – ja jestem nim!

W miejscu gdzie stał wazon, Nicole ujrzała formującą się gęstą, kolorową płataninę materii organicznej, gładkie, czerwone rurki i coś, co wyglądało na część systemu wewnątrzwydzielniczego. Zdała sobie sprawę, że jest to część organizmu Kongrosiana. Prawdopodobnie śledziona i naczynia krwionośne, które ją odżywiały. Organ pulsował rytmicznie. Był żywy i aktywny. Bardzo skomplikowany. Nie mogła od niego oderwać oczu. Nawet Wilder Pembroke patrzył z niedowierzaniem.

–Wywracam się na lewą stronę! – jęczał Kongrosian. – Jak tak dalej pójdzie, wchłonę cały wszechświat i to, co się w nim znajduje. Na zewnątrz mnie pozostaną tylko moje organy wewnętrzne i wtedy pewnie umrę!

–Niech pan posłucha, Kongrosian – rzekł ostro Pembroke. – Dlaczego odesłał pan stąd ekipę telewizyjną? Potrzebuję ich tutaj. Nicole będzie przemawiać do narodu. Niech pan idzie i sprowadzi ich tu zaraz. – Skinął na Kongrosiana pistoletem. – Albo niech pan każe jakiemuś pracownikowi Białego Domu...

Urwał. Pistolet wyleciał z jego dłoni.

–Pomóżcie mi! – wył Kongrosian. – Staje się mną, a ja muszę być nim!

Pistolet znikł w ciele Kongrosiana.

W ręce Pembroke'a pojawiła się miękka, różowa masa tkanki płucnej. Pembroke rzucił ją natychmiast na ziemię, a w tym momencie Kongrosian krzyknął z bólu.

Nicole zamknęła oczy.

–Richardzie, opanuj się – jęknęła chrapliwie. – Przestań.

–Tak – rzekł Kongrosian i zachichotał bezradnie. – Mogę się opanować. Wszystkie moje organy leżą wokół mnie na ziemi. Może jakoś uda mi się wepchnąć je z powrotem.

–Możesz mnie stąd wydostać? Proszę cię, Richardzie, wydostań mnie stąd.

–Duszę się – dyszał Kongrosian. – Pembroke miał w ręce część mojego aparatu oddechowego i upuścił ją. Pozwolił jej spaść na podłogę. – Uczynił gest w kierunku policjanta.

Pembroke zaczął powoli blednąć, jakby uchodziło z niego życie.

–Wyłączył coś wewnątrz mnie – powiedział ze zdziwieniem. – Jakiś ważny organ.

–Tak! – zaskrzeczał Kongrosian. – Wyłączyłem... nie, nie powiem ci. – Pokiwał palcem na Pembroke'a. – Powiem tylko tyle: będziesz żyć jeszcze jakieś cztery godziny. – Zaśmiał się. – Co ty na to?

–Czy mógłby pan to naprawić? – wycharczał Pembroke. Wykrzywił twarz z bólu. Cierpiał.

–Jak będę chciał. A nie chcę, bo nie mam czasu. Muszę się pozbierać. Jestem zajęty wyrzucaniem z siebie wszystkich przedmiotów, które zdołały wejść we mnie. Chcę jeszcze pożyć. Muszę zebrać się do kupy. Dosłownie. – Kongrosian spojrzał na różową gąbczastą masę tkanki płucnej. – Jesteś mną – powiedział do niej. – Jesteś częścią świata mnie, a nie nie-mnie. Rozumiesz?

–Proszę, zabierz mnie stąd – błagała go Nicole.

–Dobrze, dobrze – zgodził się zdenerwowany Kongrosian. – Gdzie chcesz być? W innym mieście? Na Marsie? Kto wie, jak daleko uda mi się ciebie wyekspediować? Ja tego w każdym razie nie wiem. Jak powiedział pan Pembroke, nie nauczyłem się jeszcze politycznych zastosowań mojego talentu. Ale teraz siedzę po uszy w polityce – zachichotał z zachwytem. – A może do Berlina? Mogę cię przenieść stąd do Berlina. Tego jestem pewien.

–Gdziekolwiek – zgodziła się Nicole.

–Wiem, gdzie cię wyślę! – krzyknął nagle Kongrosian. – Wiem, gdzie będziesz bezpieczna, Nicky. Bo chcę, żebyś była bezpieczna. Wierzę ci, wiem, że istniejesz. Nieważne, co mówią te głupie maszyny gazeciarskie. Przecież kłamią. To widzę. Starają się zniszczyć moje zaufanie do ciebie. Wszystkie się zmówiły i mówią dokładnie to samo. Wysłałam cię do mojego domu, do Jenner w Kalifornii. Możesz tam zostać z moją żoną i synem. Pembroke was tam nie dopadnie, bo do tej pory będzie martwy. Wyłączyłem w nim kolejny organ, a ten, nieważne który to, jest nawet

ważniejszy od poprzedniego. Nie przeżyje nawet sześciu minut.

–Richardzie, pozwól mu... – zaczęła Nicole i nagle przerwała, bo Kongrosian, Pembroke, jej biuro w Białym Domu, wszystko rozmyło się i znikło. Stała w mrocznym lesie tropikalnym. Z liści kapąła rosa. Ziemia pod stopami była miękka, wilgotna. Las spowijała zupełna cisza.

Nicole zaczęła iść. Czowała się sztywna i stara, trudno było jej się poruszać. Czowała się tak, jakby przez milion lat tkwiła tam w ciszy i deszczu. Jakby była tam od zawsze.

Przed sobą, poprzez zarośla i gąszcz krzewów ujrzała kształt walącego się, nie pomalowanego, drewnianego budynku. Dom. Podeszła do niego, drżąc z zimna.

Kiedy odsunęła ostatnią gałąź, ujrzała przed sobą zaparkowaną, archaicznie wyglądającą autotaxi stojącą na środku podwórka.

Otworzyła drzwi taksówki.

–Zabierz mnie do najbliższego miasta – poleciła.

Mechanizm taksówki nie odpowiedział. Pozostał nieruchomy, jakby popadł już w całkowitą ruinę.

–Nie słyszysz? – spytała głośniejsze.

Z pewnej odległości doszedł ją głos kobiety.

–Przykro mi, panienko. Ta taksówka należy do ludzi z firmy płytowej. Nie może jej pani wydawać poleceń, bo nadal jest przez nich używana.

–Czy pani jest żoną Richarda Kongrosiana?

–Tak – odparła kobieta stojąca w drzwiach domu. – A pani... – Zamrugnęła ze zdziwienia. – Pani jest Nicole Thibodeaux.

–Byłam nią – przyznała Nicole. – Czy mogę wejść do środka i dostać coś ciepłego do picia? Nie czuję się najlepiej.

–Oczywiście – powiedziała Beth Kongrosian. – Zapraszam. Czy przyjechała pani spotkać się z Richardem? Nie ma go tutaj. Ostatnio dzwonił do mnie ze szpitala neuropsychiatrycznego w San Francisco. Zna pani ten szpital?

–Znam. Ale teraz go tam nie ma. Nie, nie szukam go. – Nicole weszła po schodach na ganek.

–Ludzie z firmy płytowej są tu już od trzech dni. Nagrywają, co się tylko da.

Zaczynam sądzić, że nigdy stąd nie wyjadą. To mili ludzie i lubię ich towarzystwo. Przychodzą tutaj na noc. Przyjechali, żeby nagrać męża, zgodnie ze starym kontraktem z Art-Cor, ale, jak powiedziałam, nie ma go. – Gestem zaprosiła Nicole do środka.

Dom był ciepły i suchy. Co za ulga po ponurym krajobrazie na zewnątrz. Nicole podeszła do kominka, w którym płonął ogień.

–Dziękuję za gościnę.

–Właśnie słyszałam jakieś dziwne informacje w telewizji – ciągnęła Beth Kongrosian.
– O pani. Nic z tego nie rozumiałam. Mówili, zdaje się, że pani nie istnieje. Czy wie pani coś na ten temat?

–Chyba nie.

–Pójdę przygotować kawę. Oni... Pan Flieger i pozostali z EME wrócą niedługo. Na kolację. Czy pani jest sama? Nie ma z panią nikogo?

–Jestem zupełnie sama. – Nicole zastanawiała się, czy Wilder Pembroke już nie żyje. Miała taką nadzieję, dla swego własnego dobra. – Pani mąż – powiedziała – to bardzo dobry człowiek. Dużo mu zawdzięczam. – Zawdzięczam mu życie, pomyślała.

–On o pani myśli podobnie – odparła Beth Kongrosian.

–Czy mogę tutaj zostać?

–Oczywiście. Jak długo pani zechce.

–Dziękuję. – Nicole westchnęła. Czuła się nieco lepiej. Może wróce, pomyślała. Janet nie żyje, Bertold Goltz nie żyje, nawet Reichsmarschall Goering nie żyje, no i oczywiście Wilder Pembroke. Pewnie już też nie żyje. Podobnie jak cała rada rządząca i wszystkie pozostające w ukryciu osoby, które za nią stały. Przyjmując oczywiście, że ludzie z PP wykonali rozkazy, a na pewno to uczynili.

Nie mogę już rządzić, pomyślała. Dopilnowały tego maszyny gazeciarskie, na swój ślepy, wydajny, mechaniczny sposób. One i Karpowie. Teraz więc, zdecydowała, kolej na Karpów. Mogą przez pewien czas utrzymać się u władzy. Ale potem i oni zostaną zdetronizowani, tak jak ja.

Nie mogę nawet polecieć na Marsa. W każdym razie nie blaszakiem! Tego sama dopilnowałam. Ale są przecież inne sposoby. Duże, legalne statki handlowe i statki rządowe. Bardzo szybkie statki należące do wojska. Może zdołałabym przejąć któryś z nich. Mogłabym działać przez Rudiego, chociaż jest już martwy. Z prawnego punktu widzenia wojsko przysięgało mu wierność. Powinni robić to, co im każe.

–Kawy? Czy dobrze się pani czuje? – spytała Beth Kongrosian, patrząc na nią uważnie.

–Tak, dziękuję.

Nicole poszła za żoną pianisty do kuchni wielkiego starego domu. Na zewnątrz lało. Nicole zadrżała i starała się nie patrzeć przez okno. Deszcz napawał ją strachem, był jak zły omen. Przypominał jej jakieś straszne przeznaczenie, które miało się spełnić.

–Czego się pani boi? – spytała nagle ostro Beth Kongrosian.

–Nie wiem – przyznała Nicole.

–Mąż też się tak zachowywał. To pewnie przez tutejszy klimat. Jest taki ponury i monotony. Ale wydawało mi się, że pani nigdy mu się nie podda. Richard zawsze mówił, że jest pani taka dzielna. Taka silna.

–Przykro mi, że panią rozczarowałam. Beth Kongrosian poklepała ją po ramieniu.

–Nie rozczarowała mnie pani. Bardzo panią lubię. Jestem pewna, że to z powodu klimatu tak się pani czuje.

–Może – odparła Nicole. Ale czuła, że tak nie jest. Tu chodziło o coś więcej niż deszcz. Znacznie więcej.

Niemłody już policjant z PP o przenikliwym spojrzeniu powiedział do Maury'ego Frauenzimmerera i Chica Strikerocka:

–Jesteście obydwaj aresztowani. Proszę ze mną.

–Widzisz? – rzekł z wyrzutem Maury. – Mówiłem ci! Skurczybyki nas aresztują. Jesteśmy kozłami ofiarnymi. Najniższymi na drabinie hierarchii, ostatnimi pionkami.

Wyszli z małego, dobrze znanego, zagraconego biura Frauenzimmer Associates. Policjant szedł tuż za nimi. Dreptali smutno, w milczeniu, do policyjnego samochodu.

–Parę godzin temu mieliśmy wszystko – wybuchnął nagle Maury. – Teraz, z powodu twojego brata, mamy klops.

Chic nie odpowiedział. Nie mógł nic wymyślić.

–Jeszcze cię dopadnę, Chic – powiedział Maury, kiedy zamknęły się drzwi i samochód policyjny ruszył w kierunku autobahnu. – Bóg mi świadkiem.

–Wyjdziemy z tego – rzekł nieśmiało Chic. – Miewaliśmy już przecież problemy. I zawsze jakoś z nich wychodziliśmy.

–Gdybyś wyemigrował... – powtórzył Maury.

Ja też żałuję, że nie wyemigrowałem, pomyślał Chic. Pewnie teraz bylibyśmy z Richardem Kongrosianem... właśnie, gdzie byśmy byli? W głębokiej przestrzeni kosmicznej, w drodze na farmę, gotowi rozpocząć czyste, nowe życie. Zamiast... tego. Zastanawiał się, gdzie Kongrosian może teraz być. Czy powodzi mu się równie źle? To chyba niemożliwe.

–Następnym razem, kiedy będziesz chciał opuścić firmę... – zaczął Maury.

–Dobra! – zdenerwował się Chic. – Zapomnij już o tym. Co teraz na to poradzisz? – Chciałbym tylko dorwać mojego braciszka, Vince'a, pomyślał. A potem Antona i starego Felixa Karpa.

Siedzący obok niego policjant nagle rzekł do kierowcy:

–Patrz, Sid. Blokada drogowa.

Samochód zwolnił. Blokada składała się z opancerzonego pojazdu wojskowego i barykady. Umieszczony na pojeździe wielki karabin wycelowany był w nadjeżdżające ośmioma pasami ruchu samochody, które zatrzymywały się w pobliżu.

Policjant siedzący przy Chicu wyciągnął broń. Podobnie uczynił kierowca.

–Co się dzieje? – zdziwił się Chic, a serce zaczęło mu walić. Policjanci nie odpowiedzieli. Patrzyli na oddział wojska blokujący autobahn. Obydwaj byli bardzo spięci. Chic wyczuwał to. W całym samochodzie panowała bardzo napięta atmosfera.

W pewnym momencie, gdy samochód policyjny wolniutko podjechał do samochodu jadącego przed nim, przez otwarte okno wcisnęła się reklama Theodorusa Nitza.

–Czy wydaje ci się, że ludzie widzą wszystko pod twoim ubraniem? – skrzeczała, podobna do nietoperza, chowając się pod przednim siedzeniem. – Czy kiedy jesteś w miejscu publicznym, wydaje ci się, że masz rozpięty rozporek i musisz co chwilę sprawdzać...

Reklama zamilkła, gdyż kierowca ją zastrzelił.

–Jezu, nie cierpię tego – rzucił nienawistnie.

Na odgłos strzału samochód policyjny został natychmiast otoczony przez żołnierzy. Wszyscy byli uzbrojeni.

–Proszę odłożyć broń! – krzyknął dowodzący nimi sierżant.

Obydwaj policjanci niechętnie odłożyli pistolety. Jeden z żołnierzy otworzył drzwi samochodu. Policjanci wyszli z podniesionymi rękami.

–Do kogo strzelaliście? – spytał sierżant. – Do nas?

–Do reklamy Nitza – wyjaśnił drżącym głosem jeden z policjantów. – Spójrzcie do samochodu, pod siedzenie. Nie strzelaliśmy do was, jak Boga kocham!

–Mówi prawdę – zawyrokował jeden z żołnierzy. – Pod siedzeniem jest martwa reklama Theodorusa Nitza.

Sierżant pomyślał, po czym rzekł:

–Możecie jechać. Ale zostawcie broń. I więźniów – dodał. – Od tej chwili rozkazy odbierać będziecie ze Sztabu Głównego, a nie od policji.

Policjanci natychmiast wskoczyli z powrotem do samochodu i odjechali poprzez wyłom w wojskowej barykadzie. Chic i Maury patrzyli za nimi.

–I co teraz? – spytał Chic.

–Możecie odejść – poinformował ich sierżant. – Wracajcie do domów i pozostańcie w nich. Nie wychodźcie bez względu na to, co miałyby się wydarzyć.

Oddział żołnierzy odszedł, pozostawiając Chica i Maury'ego samych.

–To przewrót – stwierdził zaskoczony Maury. – Przewrót wojskowy.

–Albo polityczny – zaproponował Chic. – Będziemy musieli się zabrać autostopem. – Nie jeździł autostopem od czasów wczesnej młodości. Wydawało mu się dziwne, że musi robić to teraz. Chociaż z drugiej strony poczuł się młodszy. Zaczął iść wzdłuż sznura samochodów z wyciągniętym kciukiem. W twarz wiał mu wiatr.

–Zaczekaj! – krzyknął Maury i podbiegł.

Nagle na północnym niebie pojawiła się wielka, podobna do grzyba chmura. Rozległ się grzmot, aż Chic podskoczył. Zrobił z dłoni daszek nad oczami i starał się dostrzec, co się stało. Zapewne wybuchła mała, taktyczna bomba atomowa. Nabrał do płuc zapachu popiołu i zrozumiał, co to było.

–Lokalna filia Karp und Sohnen Werke – powiedział przez ramię jakiś żołnierz, wyszczerzył zęby w uśmiechu i pospieszył dalej.

–Wysadzili ich – powiedział Maury cicho. – Wojsko wysadziło Karpa.

–Chyba tak – przyznał oszołomiony Chic. Jeszcze raz wyciągnął kciuk, szukając okazji.

Nad nimi przemknęły dwie rakiety wojskowe w pogoni za statkiem PP. Chic patrzył za nimi, aż znikły z pola widzenia.

Wojna na pełną skalę, powiedział do siebie zdumiony.

–Ciekawe, czy nas też wysadzą – rzekł Maury. – To znaczy fabrykę. Frauenzimmer Associates.

–Jesteśmy zbyt mali – odparł Chic.

–Tak, chyba masz rację – przyznał Maury z nadzieją w głosie.

W takich chwilach dobrze jest być małym, pomyślał Chic. Im mniejszym, tym lepiej. A najlepiej w ogóle zapaść się pod ziemię.

Przed nimi zatrzymał się samochód. Podeszli do niego. Gdzieś na wschodzie niebo przesłoniła kolejna chmura w kształcie grzyba. Ponownie rozległ się grzmot i ziemia się zatrzęsała. To pewnie A.G. Chemie, zdecydował Chic, podchodząc do oczekującego ich samochodu.

–Dokąd idziecie, chłopcy? – spytał kierowca, pulchny rudowłosy mężczyzna.

–Wszędzie i nigdzie, proszę pana – odparł Maury. – Jak najdalej od wszystkich tych kłopotów.

–Rozumiem. – Kierowca włączył silnik. – Och, jak was dobrze rozumiem.

Samochód był stary i niemodny, ale jeździł. Chic Strikerock usiadł z tyłu i wyciągnął się wygodnie. Obok niego usiadł najwyraźniej także odprężony Maury Frauenzimmer.

–Chyba dobrali się do skóry wielkim kartelom – rzekł kierowca, ruszając do otworu w barykadzie.

–Najwyraźniej – zgodził się Maury.

–Najwyższy czas – ciągnął kierowca.

–Zgadza się – mruknął Chic Strikerock. – Ma pan całkowitą rację.

Samochód nabierał szybkości.

Po dużym, starym, drewnianym budynku pełnym kurzu i dudniącym echem krzżeli się chupperzy. Rozmawiali między sobą, popijali colę, niektórzy tańczyli. To właśnie taniec interesował Nata Fliegera i w tym kierunku wysunął przenośny ampek F-a2.

–Taniec, nie – powiedział do niego Jim Planck – śpiew, tak. Poczekaj, aż zaczną znowu śpiewać. Jeśli można to w ogóle tak nazwać.

–Dźwięki ich tańca są rytmiczne – zauważył Nat. – Myślę, że je także powinniśmy nagrać.

–Z technicznego punktu widzenia ty tu dowodzisz – przyznał Jim. – Ale nagrałem w życiu mnóstwo materiału i powiadam ci, że to bez sensu. Utrwalisz to na taśmie, a właściwie w swoim robalu, ale będzie to brzmiało beznadziejnie. Całkowicie beznadziejnie.

I tak spróbuję, powiedział do siebie Nat.

–Są tak przykurczeni – zauważyła stojąca obok niego Molly. – Wszyscy... i tacy niscy. Większość z nich nie dorównuje wzrostem nawet mnie.

–Są skazani – stwierdził Jim wruszając ramionami. – Pamiętasz, co się stało dwieście tysięcy lat temu? Trzysta tysięcy lat temu? Tak czy inaczej, jakiś czas temu. Tym razem chyba długo nie przetrwają. Wyglądają na... przy duszonych ciężarem.

Rzeczywiście, zgodził się z nim w myślach Nat. Chupperzy, neandertalczyki, wyglądali na przytłoczonych zadaniem, które stało przed nimi. Zadaniem przeżycia.

Jim miał absolutną rację. Nie mieli wystarczających środków, żeby podolać temu zadaniu. Byli spokojni, mali i zgarbieni, skruszzeni, powłóczyli nogami i mamrotali. Pojawili się na swojej drodze istnienia, która już wkrótce miała się zakończyć.

Dlatego lepiej będzie, jeśli wszystko nagramy, zdecydował Nat. Bo możemy nie mieć kolejnej szansy. A może... się mylę?

Jeden z chupperów, dorosły mężczyzna ubrany w kraciatą koszulę i jasnoszare spodnie robocze, wpadł na Nata i wymamrotał nieartykułowane przeprosiny.

–Nie ma sprawy – zapewnił go Nat. Nagle poczuł chęć sprawdzenia swojej teorii, rozweselenia tej wymierającej formy życia, tej żywej skamieliny. – Postawię panu piwo, dobrze? – Na tyłach budynku, w wielkiej, centralnej hali rekreacyjnej zarządzanej przez wszystkich chupperów, był bar.

Chupper spojrzał na niego nieśmiało i wymamrotał:

–Nie, dzięki.

–Czemu nie?

–Bo... – Chupper nie był w stanie wytrzymać wzroku Nata. Patrzył na podłogę, zaciskał i rozluźniał dłonie w nawracającym spazmie. – Nie mogę – wydusił w końcu z siebie. Jednak nie odszedł. Stał nadal przed Natem, patrząc w dół. Prawdopodobnie boi się, pomyślał Nat. Jest zakłopotany i przestraszony.

–Słuchaj, potrafisz zaśpiewać którąś z piosenek chupperów? – spytał przeciągle Jim Planck. – Nagramy cię. – Mrugnął do Nata.

–Zostawcie go w spokoju – rzekła Molly. – Widzicie przecież, że nie umie śpiewać. Nie umie nic robić... to oczywiste. – Odeszła na bok, najwyraźniej zła na obu towarzyszy. Chupper powiódł za nią apatycznie wzrokiem, drepcząc w sposób typowy dla chupperów. W oczach miał pustkę.

Ciekawe, pomyślał Nat, czy cokolwiek jest w stanie ożywić te oczy. Dlaczego chupperzy chcą przetrwać, jeśli życie oznacza dla nich tak niewiele? Może czekają, pomyślał nagle. Na coś, co jeszcze się nie wydarzyło, ale o czym wiedzą albo mają nadzieję, że się zdarzy. To wyjaśniałoby ich... bierność.

–Zostaw go – powiedział Nat do Jima Plancka. – Ona ma rację. – Położył rękę na ramieniu Jima, ale ekspert od nagrań się odsunął.

–Myślę, że potrafią znacznie więcej, niż nam się wydaje – powiedział.

–Wygląda to tak, jakby chcieli zyskać na czasie, nie przemęczając się przy tym. Nie

próbując nawet. A niech to, cholernie bym chciał, żeby się wysilili.

–Ja też – przyznał Nat. – Ale nie uda nam się ich do tego zmusić.

W rogu sali hałasował telewizor, wokół którego plątało się wielu chupperów, mężczyzn i kobiet. Podchodzili do odbiornika i stawali przed nim nieruchomo. Nat zdał sobie sprawę, że w telewizji właśnie nadają jakieś bardzo ważne informacje. Coś się stało.

–Słyszysz, co mówi spiker? – spytał go Jim. – Mój Boże, wydawało mi się, że słyszałem słowo “wojna”!

Przedarli się przez gromadę chupperów do odbiornika. Molly już tam stała, słuchając wiadomości.

–To rewolucja – powiedziała oszołomiona do Nata ponad głuchymi, dudniącymi dźwiękami wydobywającymi się z telewizora. – Karpowie i A.G. Chemie starali się przejąć władzę w porozumieniu z policją państwową.

Na ekranie ukazały się dymiące ruiny, pozostałości budynków, ogromnych instytucji przemysłowych, które zostały zrównane z ziemią. Nat nie rozpoznawał zgliszcz.

–To filia Karpa w Detroit – zdołała zakomunikować Natowi Molly ponad rykiem telewizora. – Wojsko ją zniszczyło. Jak Boga kocham, przed chwilą mówił o tym komentator.

Jim Planck patrzył nieruchomo w ekran.

–Kto wygrywa?

–Jeszcze nikt – stwierdziła Molly. – Chyba. Nie wiem. Patrz i słuchaj, co mówią. Właśnie rozpoczęli transmisję, dopiero się zaczyna.

Chupperzy słuchali i patrzyli w ciszy. Muzyka, do której tańczyli, także ucichła. Prawie wszyscy chupperzy stali teraz zgromadzeni wokół odbiornika, w napięciu oglądając sceny walki między siłami zbrojnymi SZEa i policją państwową wspieraną przez system kartelowy.

–...w Kalifornii – ciągnął spiker – oddział policji państwowej z Zachodniego Wybrzeża poddał się bez walki Szóstej Armii generała Hoheita. Jednak w Nevadzie... – Na ekranie ukazała się scena uliczna z Reno. Wzniesiono tam na oczekaniu barykadę, a snajperzy policyjni strzelali do niej z okien pobliskich budynków. – Fakt, że siły zbrojne posiadają monopol na broń atomową, wydaje się gwarantować im zwycięstwo – powiedział komentator. – W chwili obecnej jednak możemy tylko... – ciągnął podniecony. Wszystkie znajdujące się w miejscach konfliktu maszyny

reporterskie zbierały dla niego informacje.

–Zapowiada się długa walka – powiedział Jim Planck do Nata. Wyglądał, jakby nagle się postarzał. – Chyba mamy cholerne szczęście, że tu jesteśmy – mruknął na wpół do siebie. – Schowaliśmy się na czas.

Ekran ukazywał przebieg potyczki między patrolem policyjnym a oddziałem wojskowym. Żołnierze i policjanci strzelali do siebie, pochylając się pod świszczącymi kulami z automatycznych karabinków. Jakiś żołnierz upadł na twarz, po chwili policjant w szarym mundurze również został trafiony.

Stojący obok Nata Fliegera chupper, który wyglądał na zaabsorbowanego transmisją, szturchnął stojącego obok kolegę. Obaj wymienili tajemnicze, porozumiewawcze uśmiechy. Nat to dostrzegł. Wtedy zdał sobie sprawę, że oczy wszystkich chupperów rozjaśniła ta sama, skryta przyjemność.

Co się tutaj dzieje? – pomyślał.

–Nat, mój Boże, oni na to czekali – rzekł cicho Jim Planck.

A więc o to chodziło... Przebiegły go ciarki. Pustka, otępienie i apatia, wszystko minęło. Podnieceni chupperzy przyglądali się obrazowi telewizyjnemu i słuchali rozgorączkowanego komentatora. Czemu tak się tym interesują? – zastanawiał się Nat. Patrzył na rozemocjonowane, podniecone twarze. Dla nich oznacza to, że mają szansę, zdecydował. To może być ich szansa.

Niszczymy siebie nawzajem na ich oczach. Dzięki temu... mogą zyskać miejsce na ziemi. Miejsce nie ograniczone do tej małej, ponurej enklawy, ale będące całym światem. Będą mogli żyć wszędzie.

Uśmiechając się do siebie, chupperzy gorliwie śledzili przebieg wydarzeń.

Obawy Nata rosły.

–Dalej was nie zabiorę, chłopcy. Będziecie musieli wysiąść. – Rudowłosy kierowca zwolnił i zatrzymał się przy krawężniku.

Byli już w mieście i zjechali z autobahnu. Po obu stronach czmychali ludzie szukający schronienia. Wóz policyjny z rozbitą przednią szybą jechał powoli, wypełniony ludźmi uzbrojonymi w karabiny.

Chic i Maury wyszli ostrożnie z samochodu.

–Mój dom, Abraham Lincoln, jest niedaleko stąd – stwierdził Chic. – Dojdziemy piechotą. Chodź. – Machnął na Maury'ego i obydwaj dołączyli do tłumu

przestraszonych, dezorientowanych ludzi. Co za bałagan, pomyślał Chic. Ciekawe, jak to się wszystko skończy. Ciekawe, czy nasze społeczeństwo i nasz sposób życia przetrwają.

–Żołądek mnie boli – mruknął Maury, ciężko biegnąc za nim. Twarz miał szarą z wysiłku. – Nie jestem przyzwyczajony... do tego.

Dotarli do Abrahama Lincolna. Budynek był nietknięty. Przy drzwiach stał żołnierz i Vince Strikerock, oficjalny kontroler identyfikatorów. Zaabsorbowany swoim zajęciem Vince sprawdzał każdego po kolei.

–Cześć, Vince – rzucił Chic, kiedy razem z Maurem dotarli do budynku.

Jego brat podskoczył, podniósł głowę. Spojrzeli na siebie w milczeniu.

W końcu Vince odparł:

–Cześć, Chic. Miło cię widzieć żywego.

–Możemy wejść? – spytał Chic.

–Pewnie – odpowiedział Vince. Skinął na sierżanta, potem znowu zwrócił się do Chica: – Możesz wchodzić. Cieszę się, że nie złapała cię policja. – Ani razu nie spojrzał na Maury'ego Frauenzimmer. Udawał, że go w ogóle nie widzi.

–A co ze mną? – spytał Maury.

–Ty... też możesz wejść – odparł Vince zmienionym głosem – Jako specjalny gość Chica.

–Hej, pospieszcie się! – rzekł rozdrażniony mężczyzna stojący za nimi w kolejce. – Tu nie jest najbezpieczniej. – Popchnął Chica do przodu.

Chic i Maury weszli szybko do Abrahama Lincolna. W chwilę później jechali windą na górę, do mieszkania Chica na ostatnim piętrze.

–Ciekawe, co twój brat z tego miał – powiedział w zadumie Maury.

–Nic – odparł krótko Chic. – Karpa nie ma. On i wielu innych ludzi są teraz skończeni. – I Vince nie jest jedyną znaną mi osobą, która należy do tej grupy, pomyślał.

–My też – dodał Maury. – Wcale nie jesteśmy w lepszej sytuacji. Oczywiście wiele zależy od tego, kto wygra.

–Nie ma znaczenia, kto wygra – skrzywił się Chic. Destrukcja, wielki państwowy

kataklizm nadal trwał. W wojnie domowej było coś strasznego. Niezależnie od tego, jak się kończyła, zawsze była porażką. Katastrofą. Dla wszystkich.

Kiedy dotarli do mieszkania, stwierdzili, że drzwi są otwarte. Z ogromną ostrożnością Chic otworzył je na oścież i zajrzał do środka.

Ujrzał Julie.

–Chic! – powiedziała i zrobiła krok w jego kierunku. Obok niej stały dwie wielkie walizki. – Właśnie się pakowałam. Załatwiłam wszystko, żebyśmy mogli emigrować. Mam bilety... i nie pytaj mnie, jak je dostałam, bo nigdy ci nie powiem. – Była blada, ale opanowana. Wyglądała wyjątkowo ładnie. W tym momencie zauważyła Maury'ego. – A to kto? – spytała niepewnie.

–Mój szef – wyjaśnił Chic.

–Zdobyłam tylko dwa bilety – rzekła z wahaniem.

–W porządku – powiedział Maury. Uśmiechnął się, żeby rozładować sytuację. – Muszę zostać na Ziemi. Mam tutaj wielką firmę, którą ktoś musi kierować. – Potem rzekł do Chica: – To chyba dobry pomysł. A więc to o tej dziewczynie mówiłeś mi przez telefon. Z jej powodu spóźniłeś się dzisiaj do pracy. – Poklepał Chica przyjacielsko po plecach. – Życzę ci szczęścia. Udowodniłeś, że jesteś jeszcze młody... wystarczająco młody, w każdym razie. Zazdroszczę ci.

–Nasz statek odlatuje za czterdzieści pięć minut – wtrąciła się Julie. – Modliłam się, żebyś przyszedł. Próbowałam dodzwonić się do ciebie do pracy...

–Zgarnęła nas policja – wyjaśnił Chic.

–Wojsko kontroluje port kosmiczny – ciągnęła Julie. – Nadzorują odloty i przyloty. Musimy tylko dotrzeć jakoś do lotniska. Wzięłam wszystkie twoje i moje pieniądze, żeby kupić bilety – dodała. – Były niewiarygodnie drogie. A ponieważ nie ma już żadnych złomowisk...

–Lepiej już ruszajcie – przerwał jej Maury. – Zostanę tutaj, jeśli nie macie nic przeciwko temu. Wygląda na to, że jest tu dość bezpiecznie, biorąc pod uwagę okoliczności. – Usiadł ciężko na kanapie, założył nogę na nogę, po czym wyjął cygaro Dutch Masters i zapalił.

–Może jeszcze kiedyś się spotkamy – powiedział do niego niezręcznie Chic. Nie wiedział, jak ma się pożegnać.

–Może – uśmiechnął się Maury. – Tak czy inaczej, zadzwoń do mnie z Marsa. – Podniósł jakieś pismo ze stołu i zaczął je przeglądać.

–Co będziemy robić na Marsie? – spytał Chic Julie. – Założymy farmę? A może o tym też już pomyślałaś?

–Założymy farmę. Weźmiemy sobie kawałek dobrej ziemi i zaczniemy ją uprawiać. Mam tam krewnych. Pomogą nam na początku. – Julie podniosła jedną z walizek, którą Chic jej odebrał, po czym podniósł drugą.

–Na razie – rzucił Maury udawanym, aż nazbyt lekkim tonem. – Życzę miłego kopania w pylistym czerwonym gruncie.

–Powodzenia – odparł Chic. Ciekawe, kto będzie go więcej potrzebował, zastanawiał się. Ty tutaj na Ziemi czy my na Marsie.

–Może pošlę wam parę simów – rzekł Maury. – Żeby dotrzymały wam towarzystwa. Kiedy to wszystko się rozpieprzy. – Puścił dymek z cygara i patrzył, jak odchodzą.

Muzyka znowu zagrała i chupperzy wrócili do swojego powłóczystego tańca.

–Chyba nagraliśmy już wystarczająco dużo – powiedział Nat Flieger do Molly. – Możemy wracać do domu Kongrosiana. Skończyliśmy.

–Może sami jesteście skończeni, Nat – odparła Molly ze smutkiem. – Przecież tylko dlatego, że byliśmy gatunkiem dominującym przez dziesiątki tysiącleci, nie musimy...

–Wiem. Ja też widziałem ich twarze. – Odprowadził ją do miejsca, gdzie pozostawili ampek F-a2. Jim Planck szedł za nimi. Stanęli razem przy przenośnym aparacie. – I co? – spytał Nat. – Wracamy? Skończyliśmy?

–Skończyliśmy – odparł Jim, kiwając głową.

–Ale wydaje mi się – zaczęła Molly – że powinniśmy pozostać tutaj, w okolicy Jenner, aż skończą się walki. Nie byłoby zbyt bezpiecznie wracać teraz do Tijuany. Jeśli Beth Kongrosian pozwoli nam zostać, zostaniemy. W jej domu.

–Niech i tak będzie – podsumował Nat. Zgadzał się z nią w zupełności.

–Słuchajcie, tamta kobieta idzie wprost na nas – rzekł nagle Jim Planck. – Ona nie jest jedną z nich, tylko... no wiecie, jest taka jak my.

Zgrabna młoda kobieta z krótko przyciętymi włosami, w niebieskich bawełnianych spodniach i białej koszuli szła w ich kierunku poprzez gromadę tańczących chupperów. Znam ją, pomyślał Nat. Widziałem ją z milion razy. Znał ją, a jednak jej nie poznawał. To było dziwne. Jest tak cholernie ładna, myślał. Prawie groteskowo, nienaturalnie piękna. Nikt w naszym świecie nie jest tak atrakcyjny oprócz... oprócz Nicole Thibodeaux.

–Czy pan Nat Flieger? – spytała, podchodząc blisko do niego. Popatrzyła mu prosto w oczy. Odkrył, że jest bardzo niska. W czasie transmisji telewizyjnych nie było to widoczne. Zawsze mu się wydawało, że Nicole Thibodeaux jest przerażająco wielka, wręcz złowieszczo ogromna. Był zdumiony, jak bardzo się mylił. Nie mógł tego pojąć.

–Tak – odparł.

–Sprowadził mnie tutaj Richard Kongrosian, a ja chciałabym wrócić do siebie – wyjaśniła. – Czy może mnie pan zabrać pańską taksówką?

–Pewnie. Z przyjemnością spełnię każdą pani prośbę.

Żaden z chupperów nie zwracał na nią uwagi. Wydawało się, że nie wiedzą i nie chcą wiedzieć, kim jest. Tymczasem Jim Planck i Molly patrzyli na nią z milczącym niedowierzaniem.

–Kiedy wyjeżdżacie? – spytała Nicole.

–Cóż... – zawahał się Nat – zamierzaliśmy jeszcze tu zostać. Z powodu walk. Tu chyba jest bezpieczniej.

–Nie – natychmiast rzekła Nicole. – Musicie wracać. Musicie robić swoje. Czy chcecie, żeby zwyciężyli?

–Nie wiem nawet, o kim pani mówi – stwierdził Nat. – Nie potrafię zrozumieć, o co właściwie chodzi w tym wszystkim, kto z kim walczy. Czy pani to wie? Mogłaby mnie pani oświecić. – Ale wątpię, dodał w myślach. Wątpię, żeby udało się pani wyjaśnić to wszystko w jakiś sensowny sposób. Bo cała sytuacja jest bez sensu.

–Co musiałoby się stać, żebyście mnie zawieźli z powrotem albo przynajmniej wywieźli stąd? – spytała Nicole.

Nat wzruszył ramionami.

–Nic. – Nagle się zdecydował. Wszystko było teraz jasne. – Bo po prostu tego nie zrobię. Przykro mi. Zamierzamy przeczekać. Na mam pojęcia, jak Kongrosian zdołał tu panią sprowadzić, ale chyba miał rację. Może to najlepsze miejsce na przeczekaanie. Dla pani i dla nas. I to na długo. – Uśmiechnął się, ale Nicole nie odpowiedziała uśmiechem.

–A niech to szlag! – zaklęła. Nat nadal się uśmiechał. – Proszę, niech mi pan pomoże. Przecież już prawie pan się zgodził.

–Może właśnie w ten sposób najlepiej pani pomoże, pani Thibodeaux – wtrącił się ostro Jim Planck. – Zatrzymując panią tutaj.

–Mnie też się wydaje, że Nat postępuje słusznie – dodała Molly. – Jestem pewna, że w Białym Domu nie byłaby pani bezpieczna.

Nicole spojrzała na nich ze złością. Potem westchnęła zrezygnowana.

–Jednym słowem utknęłam tutaj. A niech Richarda cholera weźmie! To jego wina. Kto to jest? – Uczyniła gest w kierunku chupperów, którzy tańczyli w wielkiej sali.

–Nie jestem pewien – rzekł Nat. – Nasi krewni, ktoś mógłby powiedzieć. Prawdopodobnie nasi następcy.

–Raczej pradziadowie – poprawił go Jim Planck.

–Czas pokaże, kto z nas ma rację – dokończył Nat.

Nicole zapaliła papierosa.

–Nie podobają mi się. Będę się czuła lepiej, kiedy dotrzemy do domu. Przez nich czuję się jakoś strasznie nieswojo.

–To dobrze – stwierdził Nat. On czuł się podobnie.

Chupperzy tańczyli swój monotonny taniec, nie zwracając na nich uwagi.

–Wydaje mi się jednak – zauważył Jim Planck – że będziemy się musieli do nich przyzwyczaić.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-24

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/